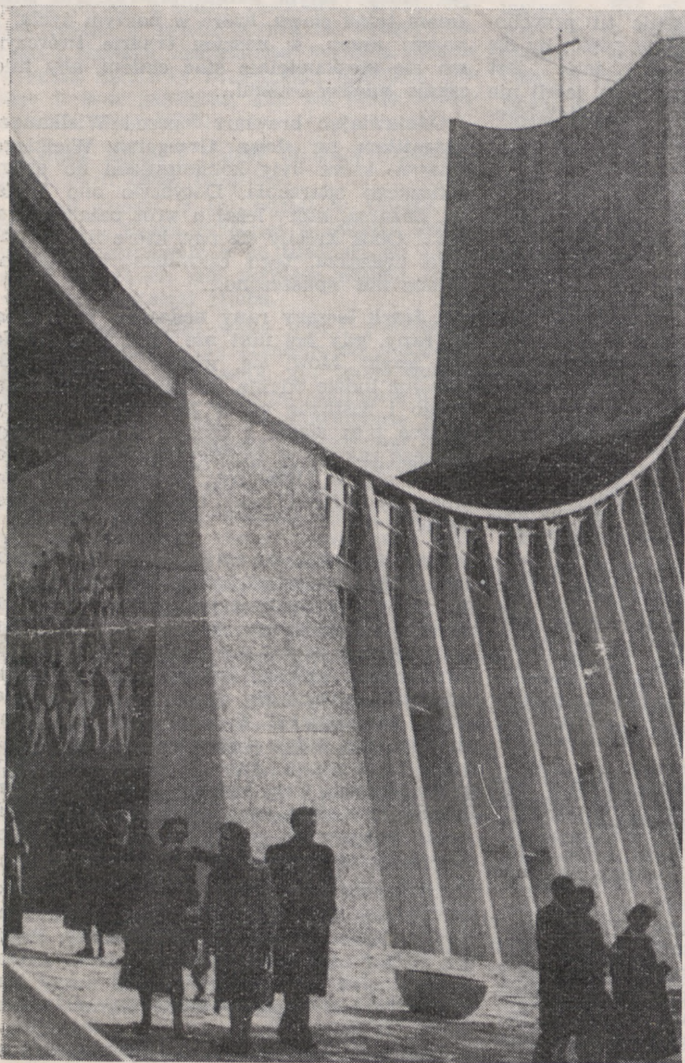


# ŻYCIĘ

ROK XII Nr 7 (556)

CENA 3/-

LONDYN, LIPIEC 1958 R.



„...Czy ludzie sami wrócą do Kościoła? Sami nie wrócą! Trzeba do nich wyjść... Naprawdę kapłan bije w dzwon kościelny, ludzie nie zwracają uwagi zasluchani w syreny fabryk - świątyni techniki przemysłowej, gdzie świat współczesny żyje i oddycha. Musimy z powrotem zostać misjonarzami, jeżeli chcemy, żeby chrześcijaństwo stało się znowu życiodajnymi drożdżami cywilizacji...

...Umiejętność głoszenia wzniosłych doktryn i, w myśl tych doktryn, umiejętność wczucia się w każdy przejaw ludzkiego cierpienia, zajęcia się losem wyzutych, osieroconych, przestępców i zropaczonych... jest nadal najistotniejszym środkiem, dzięki któremu w humanizm nowej epoki będzie można wcielić autentyczny sens życia, ideał i nadzieję: oto sztuka duszpaństwa i apostołstwa...“

(Arcybiskup Montini — z przedmowy do zbioru papieskich wskazań pt. „Katolickie Kapłaństwo“)

JULIUSZ JACYNA

„Civitas Dei” w Brukseli

Służyć Słowu i Prawdzie — Z PRZEMÓWIENIA PRYMASA

Księga Hioba — ZOFIA SALACHOWA

Rewizjonści — STEFAN ŁOCHTIN

W świetle Beaty Obertyńskiej — ZOFIA KOZARYNOWA

„TWÓRCZY DARWINIZM SÓWIECKI” — KS. DR ROMUALD ZANIEWSKI ■ O PRZYJACIELU POLSKIEJ OŚWIATY — STANISŁAW SZYDŁOWSKI ■ WSPOMNIENIE O KONSTANTYM GÓRSKIM — ANTONI LANCKORDŃSKI ■ WIERSZE — MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

# ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY  
ROK XII NR 7(556)  
Lipiec 1958 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWCZY  
„VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2.  
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

**Prenumerata** (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

## SPIS TREŚCI:

- SŁUŻYĆ SŁOWU I PRAWDZIE — z przemówienia Frymasa (str. 2)
- KSIĘGA HIOBA — Z. Salachowa (str. 3)
- O „TWÓRCZYM DARWINIZMIE SOWIECKIM” — ks. dr R. Zaniewski (str. 6)
- DE REBUS EMENDANDIS — Z. E. Wałaszewski (str. 9)
- O „POKOLENIU BEZ PRZYDZIAŁU” — J. Giertych (str. 12)  
— J. Giertych (str. 12)
- Nasze sprawy: LICZBA POWOŁAŃ — Polonus (str. 13)
- Życie Kościoła: OJCZYŻNA LUDZKA I WIECZNA; SPRAWIEDLIWA OBRONA — z przemówień Ojca św. (14); „CIVITAS DEI” W BRUKSELI — J. Jacyna (str. 15); KATOLICY I NOWA AFRYKA — J. Kozłowski (str. 16)
- Życie międzynarodowe: NASTĘPNY ETAP — S. G.; REWIZJONISCI — S. Łochtin (str. 17); TRZY FEDERACJE NIEMIECKIE — S. C. (str. 18)
- Polacy na obczyźnie: NASI KAPŁANI (str. 19); O PRZYJACIELU POLSKIEJ OSWIATY — S. Szydłowski (str. 20); WSPOMNIENIE O KONSTANTYM GÓRSKIM — A. Lanckoroński (str. 21)
- WIERSZE — M. Paszkiewicz (str. 22)
- Książki: MODLITEWNIK KS. STANISZEWSKIEGO — Z. I. (str. 24); W ŚWIECIE BEATY OBERTYNSKIEJ — Z. Kozarynowa (str. 25); BEZ PANIKI I BEZ DEMAGOGII — M. C. (str. 26)
- TERESA HEYDEL — E. G. (str. 28)
- Film: „KANAL” I HISTORIA — J. C. (str. 28)
- POLAK W „CIOIC” — S. G. (str. 29)
- Listy i uwagi: T. FELSZTYN, POŁONUS, R. JASIEŃCZYK, Z. Z., K. E. PAWŁOWICZ i B. WATRASIEWICZ, W. WASIUTYŃSKI i B. O. JEZEWSKI, S. LAM.

## SŁUŻYĆ SŁOWU I PRAWDZIE...

Wyjątki z przemówienia J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Polski do Pielgrzymki pisarzy i pracowników literatury na Jasną Górę, 4 maja 1958 roku.

„Stanęliśmy tutaj w obliczu świętej Bożej Rodzicielki, Matki Słowa Przedwiecznego... Tej, której udało się dzięki mocom Bożym wydać na świat Słowo bez skazy.

Czyż nie zrobiliśmy słusznie tu przychodząc? A dokąd my mielibyśmy pójść, by się nauczyć tej niezwyklej sztuki, jaką jest służba słowu bez skazy, bez zmaży, jeżeli nie u Tej, która musiała korzystać z wyjątkowego przywileju całkowitej i pełnej wolności od wszystkiego, co małe, by usłużyć w pełni Słowu, Słowu Przedwiecznemu, Słowu Bożemu, Słowu Prawdy, D o b r e j Nowinie.

O jakby trzeba... wejrzeć głęboko w siebie, we własne osobiste życie, aby poznać wysoką i wyjątkową godność posłannictwa głosicieli Słowa, tych, w których się dzieje przez jakieś głębokie wewnętrzne zapłodnienie duchowe to, iż słowo Ciałem się staje.

...Miałem profesora, który gdy kończył cykl wykładów na Wydziale, to skrypta dał i rzucał w piec. Byłem świadkiem takiej operacji bolesnej, pytam, co czyni. „Bym nie miał pokusy powtarzać drugi raz tego samego, bym się zmusił do gruntownego i rzetelnego przemyślenia tego, co już jest napisane, azali pokrywa się to z rzeczywistością“.

Dzisiaj jesteśmy często poganiani największym niestety wrogiem poprawności i czystości słowa, tym od wiersza płaconym, niewolniczym groszem. I to nam przeszkadza, aby słowo zrodzone dojrzało, jak ziarno w jakimś wspaniałym inkubatorze. Jesteśmy gorączkowi, bo niestety nieszczyście dzisiaj ludzi, którzy sprawiają, że słowo ciałem się staje, jest grosz...

Stanęliśmy dzisiaj na Jasnej Górze w uroczystość... Krzyża Świętego. Pod krzyżem stała Matka Słowa Przedwiecznego, a na krzyżu Słowo, które Ciałem się stało, pisało na ziemi nie inkaustem, ale pisało na ziemi Boże znaki własną krwią.

Czy wy znacie tajemnicę tworzenia w krwi, w bólu? Jest przecież powszechnie znana rzecz — przeżyjemy historię literatury i twórczości, by się przekonać o prawdzie tych słów — jest znana rzecz, że jednak człowiek służący słowu, człowiek przemieniający słowo w ciało, taki człowiek ma w sobie coś z krzyża...

...cała wielkość człowieka, która się wypowiedziała w ich słowie, co ciałem się stało, zależała od wielkości wewnętrznych przeżyć, duchowych zmagani, bólów, cierpień, które się łączyły bardzo często i z cierpieniem fizycznym i z jakąś chorobą, męką ciała a niekiedy i z cierpieniem ekonomicznym, z nędzą, z niedostatkiem, z poddaszem, z głodem, z zimnem...

...wszystko inne, co jest emitowane bez głębokiego przeżycia, staje się papierem, staje się śmieciem...

Naprawdę, Najmilsi, to jest problem współczesnej twórczości, czy ona jest wolna od męki, czy ona jest służbą czy też interesem handlarskim...

Wracamy w tym dniu uroczystości Krzyża pod krzyż kalwaryjski, służby Słowa, boć za takich się uważamy. I spoglądamy na to, jak z krzyża Słowo Przedwieczne pisze znaki Boże na ziemi, nie inkaustem, krwią własną,

krwawym potem, aż do ostatniej kropli. Te znaki są trwałe! One nie niszczą, a owoce tych znaków zbiera Służebnica Pańska, stojąca pod krzyżem, jak my stoimy dzisiaj przed Jej obliczem...

Rozumiemy, dlaczego tu jesteśmy, dlaczego tu przyszliśmy, dlaczego tu stanęliśmy przed Nią, aby się właśnie od Niej nauczyć. Jak służyć całym swoim przeczystym wnętrzem temu słowu, które w naszym życiu, w naszej pracy, w naszym trudzie twórczym ma się nieskazitelnie stać ciałem, aby mieszkało między ludźmi...

Odmawiając brawiarz przed Wielkanocą natrafiłem na słowa Grzegorza Wielkiego, pisarza, które były komentarzem do ewangelicznego zdarzenia. Dotyczyło ono biedaka, Łazarza, który leżał u wrót pałacu bogacza... Obok kręciły się psy, które lizały rany tego nędzarza, tego człowieka, którego na pałacu nie wpuszczono...

...Język leczący rany nędzarza, język liżący rany, gdy już nikt nie chce tego czynić, psi język! Mówi się, wierny jak pies! Bo gdy już ludzie odejdą od człowieka nieszczęsnego i zostawią go w jego męce i nędzy, jeszcze pies siedzi i czuwa. Nazwano sługi jednego zakonu w świecie: dominikanie. Nie, którzy mówią: Boże psy, bo mieli służyć słowem, by ocierać rany człowieka współczesnego.

Może się na mnie obrażacie, wytworni pisarze! Wszystko mi jest jedno. Obrażcie się i wy na mnie! To będzie tylko jeszcze jedna kategoria obrażających się na Prymasa. Jest mi wszystko jedno! Ale wam powiem: macie być psami, którym jednym może zostanie odrobina miłości dla człowieka pokaleczonego i poranionego! I wasz język musi mu usłużyć, gdy ludzie wielcy i wspaniali, uczujący w pałacach, już nie widzą człowieka poranionego!...Czy będziez dziobał piórem brudnym w jego rany, będziez je rozdrażniał, będziez je zanieczyszczał, będziez przelewał całą swoją brudną duszę?

...Nazwałem was psami właśnie dlatego, że musicie użyć swego języka, aby wylizać rany Polaków. I nie cofnę tej nazwy. Bądźcie raczej psami, byście tylko pełnili to zadanie, które jest tak potrzebne duszy Narodu. To jest dopiero służba Słowu Wcielonemu! I nic tu nie pomogą rozważania i komentarze, że sztuka taka czy inna wymaga, by rany rozgrzebywać, by, gdy ich nie ma, stworzyć je, bo pamiętajcie o zasadzie filozoficznej: non sunt multiplicanda entia sine necessitate sufficienti. Jesteśmy powołani do tego, by tworzyć dobro, a nie zło... Bo zła już jest i tak dość, by zapisywać książki wyobraźnią, która mnoży zło. Po cóż, kiedy rzeczywistość i tak już jest bolesna. ...Jestem psem mojego społeczeństwa i mojego narodu, by rany leczyć. To jest zadanie literatury, twórczości słowa. Rany leczyć, a nie rozgrzebywać, chronić przed infekcją, chociażby za cenę tej służby osobistej, jak najbardziej drastycznej, by słowo wszędzie ciałem się stało.

...A teraz to was zaproszę, byście wzięli udział w tej wielkiej pracy, którą podjął Kościół przed tysiącleciem chrześcijaństwa w ojczyźnie naszej, by właśnie leczyć rany. Bo Kościół też uważa się w tej ojczyźnie za sługę i za psa tego narodu poranionego, którego rany leczyć chce, i was do tej pracy, do współpracy zaprasza.“

## K S I Ę G A H I O B A

Stary Testament jest nieodłączny od Nowego. Między nimi jest nie tylko ciągłość i harmonia. Nowy Testament jest spełnieniem tego, co w Starym było zapowiedziane, jest pełnością tego, co w Starym było tylko jakby w zarodku objawione. Wielkie postacie i wydarzenia Starego Testamentu są prefiguracją tajemnicy Odkupienia, o której nam mówią Ewangelie. Oba Testamenty stanowią jedność, tak że Ewangelie stale się powołują na Pisma, a Stary Testament zawsze należy czytać w świetle Ewangelii. Teksty Starego i Nowego Testamentu wchodzi łącznie w skład modlitwy liturgicznej Kościoła. Należy o tym pamiętać, gdy się czyta którąkolwiek część Biblii.

Księga Hioba\*) należy do ksiąg dydaktycznych, czyli ksiąg mądrości.

Jeżeli chodzi o jej udział w liturgii, to 9 lekcji z Hioba czytamy w Jutrznii Żalobnej, a Ofiarowanie z 12 niedzieli po Zielonych Świątkach jest skrótem wstępu historycznego z Księgi Hioba.

Mimo że bardzo wiele prac poświęcono Księdze Hioba, nie stwierdzono dokładnie ani czasu jej powstania, ani osoby autora, ani też czynników, jakie na napisanie Księgi wpłynęły. Autor żył prawdopodobnie 500-400 lat przed Chrystusem. Zacerpnął temat z opowieści na pół legendarnej, bardzo starej i znanej nie tylko w Izraelu.

Księga opowiada historię Hioba, człowieka sprawiedliwego, który przez całe życie wiernie służył Bogu w bojaźni. Bóg mu błogosławił, obdarzył bogactwem, licznym potomstwem i poważaniem otoczenia. Aż oto za dopuszczeniem Bożym spadają na Hioba różne nieszczęścia: zlodzieje rabują stada, owczarnia płonie od pioruna, trąba powietrzna burzy dom grzebiąc pod gruzami wszystkie dzieci; wreszcie nawiedza Hioba choroba okrywając całe jego ciało wrzodami, tak że Hiob nie tylko cierpi męki fizyczne, ale staje się wstrętnym i niebezpiecznym dla otoczenia. „Szatan zaraził Joba wrzodem bardzo złym od stopy nogi aż do wierzchu głowy jego. A on ropę skorupą obskrobywał siedząc na gnoju“ (2, 7-8). Prawdopodobnie był to trąd, a wiemy, że dotkniętych tą chorobą wyrzucano poza osiedla mieszkalne. Dowiedziawszy się o jego nieszczęściu trzej przyjaciele: Elifaz Temanitczyk, Baldad Suhitczyk i Sofar Naamatczyk przychodzą z dala, aby go pocieszyć. Każdy z nich twierdzi, że skoro Hiob tak cierpi, to musiał zgrzeszyć. Hiob broni się twierdząc, że jest niewinny. Oni zaś jeszcze bardziej upierają się przy swym zdaniu. Wtedy zabiera głos czwarty przyjaciel, dużo młodszy od nich wszystkich. Mówiąc tonem mentorskim gani on i Hioba i przyjaciół, ale i on nie znajduje rozwiązania zagadnienia. Wreszcie przemawia Pan Bóg i upomina, że człowiek nie ma prawa sądzić Boga i Jego rządów nad światem. Hiob oczyszczony cierpieniem uznaje wielkość Boga i przyznaje, że mówił nierozsądnie. Bóg gani przyjaciół, a Hiobowi wraca wszystko, co dawniej posiadał. Taka jest w wielkim skrócie treść Księgi.

\*) Referat pt. „Księga Hioba“ wygłosiła autorka na zebraniu Koła Pań P.K.S.U. „Veritas“ dnia 18 maja 1958 r. w cyklu poświęconym wielkim postaciom Starego Testamentu.

Księga Hioba powszechnie jest uznana za arcydzieło literatury dydaktycznej. Jest to piękna „hagada“, złożona z następujących części: wstęp historyczny, trzy części właściwego poematu i epilog, razem 42 rozdziały. W oryginale hebrajskim cała główna część ma formę poetycką, wstęp i zakończenie napisane są prozą. W s t ę p, zwany historycznym, nic nam nie mówi o epoce, w której Hiob żył; dotyczy jedynie jego losów osobistych. „Był w ziemi Hus mąż imieniem Job“ — to sposób opowiadania wszystkich czasów i pokoleń, sposób szczególnie drogi ludzom Wschodu. Wspomnijmy na przykład Bajki z 1001 nocy. Autor używa tej samej formy właściwej wszystkim opowieściom dla podania nam nauki samego Boga.

„A niektórego dnia, gdy przyszli synowie Boży, aby stali przed Panem, był też między nimi i szatan. Rzekł mu Pan: „Skąd przychodzisz?“ A on odpowiadając rzekł: „Okrażyłem ziemię i schodziłem ją.“ I rzekł Pan do niego: „A baczyłeś sługę mego Joba, że mu nie masz na ziemi podobnego, człowieka szczerego i prostego, a bojącego się Boga i odstupującego od ziego?“ Odpowiadając Mu szatan rzekł: „Ażali się Job darmo Boga boi? Ażależ go Ty nie ogrodziłeś i dom jego i wszystką majątność wokół zewsząd? Pobożogłosiłeś uczynkom rąk jego i dobytek jego rozrósł się na ziemi. Ale ściągnij trochę rękę Twoją, a dotknij wszystkiego, co ma czy Ci w oczy błogosławić nie będzie.“ (1, 6-11).

Tu mamy zawiązek akcji dramatycznej. Od tego momentu Hiob, nie wiedząc o tym, jest rzecznikiem sprawy Bożej. Od jego postawy wobec cierpienia zależy, kto ten zakład wygra: czy Pan Bóg, który stawia na Hioba, i jego szczerą do Boga miłość, czy też szatan, który wszędzie podejrzewa tylko interesowność czyli egoizm.

Część I samego poematu stanowią mowy trzech przyjaciół. Każdy z nich wygląda mową kolejno, na każdą mowę Hiob odpowiada. Ten cykl powtarza się trzykrotnie. Część II to cztery mowy młodego przyjaciela, imieniem Eliu. Ten podział na poszczególne przemówienia jest dość sztuczny, ale poza fasadą tych mów stale rozwija się akcja zasadnicza, tj. to, co Hiob ze swoim cierpieniem robi, jak się do niego ustosunkowuje i co to cierpienie robi z nim. Widzimy, jak Hiob szarpie się w ciemnościach, czasem wychodzą z ust jego słowa buntu, czasem słowa całkowitej rezygnacji, ale nawet w momentach krytycznych Hiob nigdy nie zrywa nici łączącej go z Bogiem. „By mię też zabił, w Nim ufać będę“ (13, 15). Cierpienie znoszone w łączności z Bogiem oczyszcza duszę Hioba i przygotowuje na przyjęcie słów Bożych. Część III to mowy Boga, które Hiob w pokorze przyjmuje. Zakończenie mówi nam, że Pan Bóg przywraca wszystko Hiobowi. Ostatnie zdanie brzmi: „A Job żył potem sto i czterdzieści lat, i widział synów swych i synów synów swoich aż do czwartego pokolenia, i umarł, będąc starą i pełen dni“ (42, 16).

Patrząc na budowę poematu widzimy, jak bardzo niepodobny jest do innych ksiąg Starego Testamentu, może jedynie Księgę Tobiasza można by z nim porównać. Księga Estery i Księga Judyty są także opowieściami o zbliżonym typie, ale obie oparte są na zdarzeniach historycznych i tym się zasadniczo różnią od Księgi Hioba.

Pogodne zakończenie Księgi otwierało Izraelowi drogę nadziei: i oni w ciężkim utrapieniu, czyniąc pokutę, mogą ufać, że Bóg im przywróci utraconą świetność narodową. I w tej księdze, jak we wszystkich prawie księgach Starego Testamentu widać to stale powtarzające się nawoływanie do pokuty.

Ale Księga Hioba ma i swoje specjalne zadanie w budowie gmachu objawienia Bożego. Stawiając problem cierpienia człowieka sprawiedliwego i nie dając rozwiązania, zwraca coraz bardziej uwagę na konieczność nagrody pozagrobowej. Myśl o życiu pozagrobowym nie była w tamtym świecie zupełnie nieznaną. Ale właśnie z Księgi Hioba pochodzi tekst, który się zwykle cytuje jako klasyczny dowód wiary Izraela w zmartwychwstanie: „Wiem bowiem, że Odkupiciel mój żyje, a w dzień ostateczny powstanę z ziemi, i znów obleczone będę w skórę moją i w ciele moim oglądać będę Boga mego, którego ujrzyć mam ja isty, i oczy moje oglądać, a nie inny: schowana jest ta nadzieja moja w zanadru moim“. (19, 25-27).

Księga Hioba w wielu punktach daje prefigurację Odkupienia. Już w IV wieku biskup Werony Zeno, a później św. Grzegorz Wielki przeprowadzali paralele między Hiobem a Chrystusem. Hiob, bogacz zasobny w dobra ziemskie, a potem ich nagle pozbawiony, przedstawia Chrystusa, który z miłości do ludzi opuścił dobra niebieskie i stał się biednym, aby nas wzbogacić. Hiob, leżący na gnoju, pokryty odrażającymi wrzodami, prefiguruje Chrystusa, który przyjął na siebie całą ohydę wszystkich grzechów ludzkich. Hiob, oprócz cierpiń fizycznych, znośić musi drwiny młodszych od siebie, którzy nie tylko nim gardzą, ale z odrazą „pływają na oblicze jego“. Przypominają się tu analogiczne momenty z męki Zbawiciela. Te paralele niektórzy autorzy prowadzą dość daleko.

Jest niewątpliwe, że główną linią łączącą Hioba z Chrystusem jest cierpienie. Hiob, człowiek sprawiedliwy, dotknięty cierpieniem — jest pytaniem, Chrystus jest odpowiedzią. Problem cierpienia znalazł swą pełnię w najdoskonalszym i najbardziej niezawinionym cierpieniu Zbawiciela.

Mimo że Księga Hioba — jako księga dydaktyczna — ma przede wszystkim charakter moralizatorski, zawiera również bardzo wiele prawd teologicznych. Przytoczę tylko niektóre. Oczywiście, że inną wagę będziemy przypisywać słowom, które w księdze mówi Bóg, inną tym, które mówi Hiob, a jeszcze inną słowom, wygłaszanym przez przyjaciół, których Bóg w końcu poematu gani, bo ich rozumowanie jest zbyt uproszczone a przez to nieraz błędne. Tym niemniej nawet i w ich mowach jest głęboka wiara w Boga osobowego, wszechmocnego, nieskończenie przewyższającego wszystko, co stworzone, Boga, któremu człowiek winien cześć i posłuszeństwo.

Bóg jest Stworzycielem: „Duch Boży uczynił mię i tchnienie Wszechmocnego ożywiło mię“ (33, 4). „Oto i mnie, jako i ciebie, Bóg uczynił i z tegoż błota jam też jest utworzon“ (33, 6).

Bóg — pierwsza Przyczyna — mówi: „Bo któż się sprzeciwić może twarzy Mojej? Kto mi dał pierwej, żebym mu oddał? Wszystko, co jest pod niebem, Moje jest“ (41, 1-2).

Jaki jest Bóg? „Wyższy niż niebo, a cóż uczynisz? Głębszy niżli piekło, a skądże poznasz? Dłuższa niżli ziemia miara Jego, a szersza niż morze“ (11, 8-9). Jest tu wyrażona i najwyższa siła wszechmocy Bożej; nieskończoność wieczności określona jest przez długość, a szerokość — to przewidująca miłość Boża, ogarniająca wszystko. Boga nie dosięgnie się ani przez wspinanie na góry, ani przez nurkowanie w głębinie, ani przez gonienie na krańce świata. Bóg nie jest fizyczną masą, do której można dojść krokami ciała. Najnowsze zdobycze nauki mogą nas zbliżyć do innych planet, ale cały ten wszechświat materialny istnieje tylko dlatego, że go Bóg stworzył i w bycie utrzymuje. „On rozciąga północny kraj nad próżnią i zawiesza ziemię nad niczym. On więzi wody w obłokach swoich, aby razem nie spadły na dół. On trzyma twarz stolicy swej, a rozciąga nad nią mgłę swoją. Otoczył granicą wody, gdzie się kończą światło i ciemności“ (26, 7-10). Ten tekst przypomina tak bardzo słowa Kochanowskiego z hymnu o dobrodziejstwach Boga. („Za Twoim rozkazaniem morze w brzegach stoi, a zamierzonych granic przeskoczyć się boi“ itd.) „Któż nie wie, że to wszystko ręka Pańska uczyniła? W którego ręce dusza wszelkiej rzeczy żywej i duch wszelkiego ciała człowieczego“ (12, 9-10). „Oto Bóg wysoki w mocy swej, a żaden nie jest Mu podobny między prawodawcami“ (36, 22). „On działa wielkie rzeczy i nieogarnione, i dziwy, którym nie masz liczby. Jeśli przyjdzie do mnie, nie ujrzę Go; jeśli odejdzie, nie zrozumie“ (9, 10-11). Jest więc niepojęty.

O sprawiedliwości Bożej: „Zaprawdę bowiem Bóg nie potępi bez przyczyny, ani Wszechmocny nie wywróci sądu“ (34, 12).

O mądrości Bożej: „U Niego jest mądrość i moc, On ma radę i rozumienie“ (12, 13). „Skądże tedy mądrość pochodzi? i które jest miejsce rozumu? Skryta jest od oczu wszystkich żyjących, ptaki też niebieskie nie wiedzą o niej. Zatrącenie i śmierć rzekły: „Uszami naszymi słyszeliśmy wieść o niej“. Bóg rozumie drogę jej i On zna miejsce jej. On bowiem widzi kraje świata i na wszystko, co jest pod niebem, patrzy. Który uczynił wiatrom wagę i wody zawiesił pod miarą. Gdy stanowią dżdżom prawa i drogę nawalnościom szumiącym, wtedy ją widział i opowiedział, i nagotował, i zbadał. I rzekł człowiekowi: „Oto bojaźń Pańska to jest mądrość, a warować się złego, rozum“ (28, 20-28). W końcu poematu Hiob wyznaje: „Wiem, iż wszystko możesz, a nie jest Ci żadna myśl tajna“ (42, 2).

Głównym bohaterem księgi jest Hiob. Jest to postać na pół legendarna. Nie możemy dokładnie określić, kiedy żył. Prawdopodobnie za czasów patriarchów. W każdym razie nie jest mitem i jako typ człowieka cierpiącego przeszedł do historii. Jest Idumejczykiem, to znaczy poganinem, ani rasą ani religią nie związany z Izraelem. Ale nie jest bałwochwalcą. Religia jego jest czysta i nieskażona. Mówiąc o jego wierze w Boga Jedyne, trudno jest stwierdzić, jaki udział miały tu resztki objawienia danego Adamowi, a jaki kontemplacja Boga, który przez swą Opatrzność rządząc światem, a przez swe prawo panując w sumieniu, daje się poznać ludziom. Z orzeczeń Kościoła wiemy, że człowiek może własnym rozumem bez pomocy Objawienia dojść do przekonania o istnieniu Jedyne Boga. Mógł więc i Hiob nie znając objawienia danego Izraelowi, wierzyć w Jedyne Boga i przez tę wiarę być zbawionym. Św. Grzegorz Wielki pisze o Hiobie,

że to nie bez przyczyny stawia nam Stary Testament życie sprawiedliwego poganina za wzór w jednym szeregu z wielkimi postaciami z pokolenia Abrahama. Chrystus przyszedł dla zbawienia zarówno żydów jak i pogan, dlatego też chciał być przepowiadany głosem i żydów i pogan. Gdy w III części Księgi Pan Bóg przemawia do Hioba, i mówi mu o swej wszechmocy i nieskończoności, to pamiętając, że mówi do poganina, nie powołuje się na żadne objawienie dane ludowi wybranemu ani na żadne fakty z historii Izraela, które są dowodem ingerencji Boga w losy ludzkie; mówi tylko o naturze, o jej wspaniałości i panującym w niej ładzie, o wszędzie widocznej celowości.

Hiob jest wzorem człowieka sprawiedliwego. Księga powiada o nim: „A był to mąż szczerzy i prosty, i bojący się Boga, a odstepujący od złego“ (1,1). Podkreślone tu są następujące zalety: prostota — postawa człowieka wobec samego siebie; szczerłość — postawa w stosunku do innych; i wreszcie bojaźń Boża, która każe Hiobowi oddawać Panu Bogu cześć i być posłusznym Jego prawom. Gdy w czasie jego choroby żona, zamiast mu pomóc, namawia go, by zlorzeczył Bogu, Hiob — jako bogobojny mąż — napomina ją: „Jako jedna z niewiast szalonych rzekłaś. Jeśliśmy przyjęli dobra z ręki Bożej, złego czemu byśmy przyjmować nie mieli?“ (2, 10). Z zalet Hioba, jako ojca rodziny, autor Księgi podkreśla przede wszystkim jego poczucie odpowiedzialności moralnej za dzieci. Tekst mówi: „Poświęcał ich, a wstawy rano, ofiarował całopalenia za każdego z nich. Bo mówił: By snadź nie zgrzeszyli synowie moi“ (1, 5). Dalszy tekst mówi, że był opiekunem wdów i sierot, ojcem ubogich i w każdej sprawie starał się dojść prawdy i dać zwycięstwo sprawiedliwości. Dzięki temu miał wielkie poważanie wśród swych ziomków. Mówi on o sobie: „Gdy wychodził do bramy miejskiej, a na ulicy gotowano mi stolicę, widzieli mnie młodzieńcy i kryli się, a starcy powstawszy stali, księżęta przestawali mówić i kładli palec na usta swoje“ (29, 7-9). „Którzy mnie słuchali, czekali zdania, i pilnie słuchali, milcząc, rady mojej. Nie śmieli nic przydawać do słów moich“ (29, 21-22). Jak widzimy, bardzo słusznie nazywa się Hioba patriarchą idumejskim.

Mówiąc o stosunku Hioba do Pana Boga, trzeba by podkreślić jego wielką ufność i płynące stąd poddanie się woli Bożej. W czasie dyskusji z przyjaciółmi Hiob niejednokrotnie powtarza, że nie zgrzeszył, że czuje się niewinny. Nie ma w tym jednak nic z postawy faryzeusza, ani śladu egocentrycznego zachwycenia się sobą. Hiob jest stale zwrócony do Pana Boga, a głównym motywem jego postępowania jest zawsze bojaźń Boża. Ta wielokrotnie w Księdze podkreślana bojaźń Boża Hioba nie ma jednak nic z bojaźni służalczej. Niejedną tekst można by przytoczyć na dowód, że Hiob żył w tkliwej przyjaźni z Bogiem np.: „Kto by mi to dał, abym był wedle dawnych miesięcy, wedle dni, których mi Bóg strzegł; gdy świeciła świeca Jego nad głową moją, a przy świetle Jego chodziłem w ciemności; jakom był za dni młodości mojej, gdy potajemnie Bóg był w przybytku moim; gdy Wszechmocny był ze mną, a wokół mnie dzieci moje“ (29, 2-5).

Księga Hioba, tak jak wszystkie księgi mądrości, uczy nas postawy wewnętrznej wobec Boga. Pokora i bojaźń Boża są nieodzownym warunkiem spotkania z Bogiem. Hiob w ostatnich słowach poematu mówi:

„Przetom niemądrze mówił i to, co nad miarę przechodziło wiadomość moją“ (42, 3). Jest w tym i pokora i uznanie własnej ograniczoności. Ale jest u Hioba również pragnienie słuchania głosu Boga. A chcieć słuchać głosu Boga, to znaczy rozumieć potrzebę kontemplacji; to znaczy rozumieć, że głos papieża to głos samego Chrystusa, stąd obowiązek poznania przemówień papieskich; to znaczy przede wszystkim czytać Pismo Święte.

Jean Danielou w książce pt. „Holy Pagans of the Old Testament“ mówi o Hiobie jako o jednym z tych świętych pogan. Prorok Ezechiel (14, 20) wspomina Hioba jako człowieka sprawiedliwego i stawia go na równi z Noem i Danielem. W Nowym Testamencie św. Jakub Apostoł w liście apostołskim wychwala cierpliwość Hioba i nazywa go błogosławionym. Co więcej, tradycja liturgiczna świadczy o czci oddawanej świętemu Hiobowi. Etheria, pisząc pod koniec IV wieku, mówi o tej czci w Idumei w następujących słowach: „Chciałam udać się do ziemi Hus, odwiedzić grób świętego Hioba, aby się tam modlić“. W starej modlitwie wstawienniczej za dusze wspomniany jest Hiob, będący wzorem ludzi, których Bóg zbawia. Rzymskie Martyrologium obchodzi jego święto 10 maja, obrządek grecki i koptyjski 6 maja. A zatem zarówno w Piśmie Świętym, jak i w tradycji mamy dowody, że Hiob jest świętym. Świat cały jest i zawsze był Chrystusowy; miłość Boża nie wyklucza pogan z udziału w synostwie Bożym.

Akcja Księgi rozgrywa się zasadniczo między Panem Bogiem a Hiobem, ale wplatają się w nią i inne osoby, a więc najpierw szatan. Wemy z Pisma Św., że niejednokrotnie szatan występował w postaci widzialnej, przeważnie jednak woli działać z ukrycia i może temu zawdzięcza jedno z największych swych zwycięstw, tj. to, że ludzie przestają wierzyć w jego istnienie. W Księdze Hioba szatan występuje jawnie. Jedną z właściwości szatana, którą niestety często od niego sobie przyswajamy, jest mówienie źle o innych. Do pierwszych rodziców w raju mówił źle o Panu Bogu, tutaj do Pana Boga mówi źle o Hiobie: posądza go o wyrachowanie.

Drugą cechą szatana tu podkreśloną jest jego nieustępliwość w kuszeniu. Nie zraża się pierwszą przegraną z człowiekiem, atakuje nadal i to coraz mocniej. Gdy Hiob, po stracie majątku i dzieci mówi: „Nagom wyszedł z żywota matki mojej i nago się tam wróci; Pan dał, Pan odjął: jako się Panu podobało... niech będzie imię Pańskie błogosławione“ (1, 21), szatan wytarguje u Pana Boga zezwolenie na dalsze gnębienie Hioba, bo za wszelką cenę chce go od Pana Boga odwrócić i skusić do zlorzeczenia. A wreszcie, gdy sam nie może dać rady, używa pośrednictwa kobiety. Niestety, o żonie Hioba nic dobrego powiedzieć nie można. Albrecht Dürer uwiecznił ją jako wiedźmę, wylewającą wiadro pomoy na świętego męża, który leży na gnoju. Oczywiście, to już wytwór wyobraźni artysty. Faktem jest, że w momencie ciężkiej próby żona Hioba nie staje na wysokości zadania. Nie jest mu pomocą, przeciwnie: nie widząc wytłumaczenia, dlaczego człowiek sprawiedliwy tak cierpi, sztydzi z niego: „A jeszcze trwasz w prostocie twojej?“ (2,9) i namawia go, by zlorzeczył Bogu a umarł. Widocznie trzeba było dla pełności Hiobowego cierpienia, aby był on pozabawiony i tej pociechy, jaką dać może bogobojna żona.

Trzej przyjaciele są obrazem ludzi tak



stów mówi o cierpieniu. Przytoczę tylko trzy, które z różnych stron naświetlają problem cierpienia:

Św. Paweł w liście do Rzymian (8, 18) powiada: „Albowiem mam to za pewne, że utrapienia czasu niniejszego nie są godne przyszłej chwały, która się w nas objawi”. — Wyraźnie określony stosunek do cierpienia i nagrody pozagrobowej.

Św. Jan (9, 1-3) mówi: „A przechodząc ujrzał Jezus człowieka ślepego od urodzenia. I spytali go uczniowie jego: Rabbi, kto zgrzeszył, on, czy rodzice jego, że się ślepym na-

rodził? Odpowiedział Jezus: Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego; ale żeby się okazało w nim sprawy Boże.” — Cokolwiek nas z ręki Bożej spotyka, potrzebne jest w planach Bożych, których w naszej ograniczonejności zrozumieć nie możemy, mamy je przyjąć przez wiarę.

Zaś Św. Paweł w liście do Kolosan (1, 24-25) pisze: „A ja raduję się teraz w utrapieniach za was, i dopełniam tego, czego nie dostaje utrapieniom Chrystusowym, w ciele moim za ciało jego, którym jest Kościół”. — Odkupienie jest tajemnicą pełną paradoksów.

Męka Chrystusa była na pewno pełną ceną naszego odkupienia, a przecież w jakiś sposób może być dopełniana przez cierpienia ludzi. Chrystus umarł na krzyżu przeszło 1900 lat temu, ale męka Jego zaczęła się od momentu, gdy Adam zgrzeszył, i trwa do końca świata. Chrystus cierpiał nie po to, żeby człowiek nie cierpiał, ale aby nasze cierpienia mogły mieć taką wartość, jak cierpienia Chrystusowe.

Zofia Salachowa

KS. DR ROMUALD ZANIEWSKI

## O „twórczym darwinizmie sowieckim”

Ks. dr Romuald Zaniewski studiował teologię w Warszawie, a psychologię i nauki społeczne w Louvain. Jego praca naukowa skupia się dokoła zagadnień pochodzenia człowieka oraz wpływu nań środowiska. Z tym łączą się badania współczesnych herezji — rasizmu i komunizmu. Dzieła „L'influence du milieu physique en éducation”, Louvain, 1946, Bruksela, 1957; „L'influence du foyer familial sur la formation de la personnalité de l'enfant”, Louvain, 1947, Bruksela, 1957; „Les théories des milieux et la pédagogie mésologique”, Paris - Tournai, Casterman, 1952 (z przedmową prof. dr. A. Busemanna z uniwersytetu w Marburgu; przekład hiszpański i polski); „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański”, Londyn, 1953, „Veritas” (przekład hiszpański w przygotowaniu); „Déprolétarianisation du prolétariat”, t. I, Louvain, Nauwelaerts, 1957, t. II — w przygotowaniu. RED.

Chociaż ostrość dyskusji między niektórymi biologami sowieckimi, a uczonymi Zachodu stopniowo się zaciera, tym niemniej problem sam nie został jeszcze rozwiązany. Jego naukowe uzasadnienie będzie wymagało wielu żmudnych poszukiwań i doświadczeń laboratoryjnych.

Nie bez korzyści będzie raz jeszcze zanalizować genezę oraz przebieg dyskusji dając syntezę obecnej jej fazy.

Kontrowersja toczy się wokół zagadnienia dziedziczności. Na całym świecie w naukach biologicznych została uznana nową gałąź nauk biologicznych zwana powszechnie „genetyką”, której zasady opracował niemiecki biolog Weismann(1), austriacki mnich Mendel(2) oraz współczesny nam prof. Morgan(3) ze Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z twierdzeniem Weismanna(4) w organizmie ludzkim należałoby rozróżnić dwa zasadnicze składniki: a) somę, tzn. ciało złożone z organów, sprawiających różnorakie funkcje, z wyjątkiem funkcji rozrodczych, oraz b) „germen”, tzn. seksualne gruczoły albo „gonady”, zapewniające ciągłość potomstwa. Zgodnie z tym założeniem, uczy „genetyka”, wszystkie właściwości przekazywane potomstwu przez swoich rodziców byłby zawarte w „chromosomach”, skoncentrowanych w jądrze rozrodczym. Zawierają one w zależności od swej wielkości dziesiątki lub setki małych cząsteczek zwanych „genami”, od których zależą poszczególne cechy osobników.

Wynikałoby więc z tego, że tylko komórki rozrodcze w istocie żywej, zachować by miały zdolność rozrodczą gatunku, podczas gdy cały organizm sprowadzałby się do żywiciela tych właśnie komórek. Samo ciało jednak niezdolne byłoby ich wytworzyć. Doświadczenia Mendla, a zwłaszcza ostatnio Morgana, miałyby w zupełności potwierdzić powyższe zasady, z których by wynikało, że świat organiczny nie jest tak znów zmienny jak wielu ewolucjonistom się wydawało, że nauka Lamarcka o tzw. dziedziczności cech nabytych, pozostaje i nadal hipotezą nie stwierdzoną wcale przez doświadczenie.

Wprost odwrotnie, w przyrodzie znajdują się pewne zasadnicze jednostki biologiczne, tzw. „genotypy”, albo „linie czyste”, posiadające w reprodukcji zawsze podobną krzywą wariacji świadcząca o stałych konstytutywnych właściwościach gatunku.(5) Wprawdzie mogą one być zmodyfikowane w pewnym stopniu pod wpływem czynników zewnętrznych otoczenia dając tzw. „fenotypy”, różnice te jednak nie są nigdy dziedziczne, gdyż żadna selekcja nie zdoła ich utrwalić w potomstwie. Cóż za zawód dla transformistów! Doświadczenia przedsięwzięte w celu wykazania ciągłości rozwoju gatunków i ewolucji w ogóle, doprowadziły do wniosków rewelacyjnych i nieoczekiwanych: stałość życia, powiada znany biolog Guyénot.(6)

Przeciwko tym zasadom uznanym na całym świecie wystąpił T. D. Łysjenko. Na podstawie swych własnych doświadczeń, wzorowanych na doświadczeniach Mieczurina — ogrodnika-amatora — doszedł on do wniosku, że dziedziczność świata organicznego w istocie swej jest zmienną i to w zależności od wpływów właściwego mu środowiska.

Tezę tę przedstawił już w 1929 r. na walnym Kongresie Genetyków Sowieckich, który się odbył pod przewodnictwem głównego organizatora biologii sowieckiej prof. Wawilowa.(8)

Od roku 1935 Łysjenko prowadzi prawdziwą nagonkę przeciw zasadom genetyki zachodniej, reprezentowanej w Sowietach przez prof. Wawilowa i jego uczniów. Stara się on wykazać, że nauka ta nie jest zgodna z dialektycznym materializmem, ani z darwinizmem, a wiąże się z nazistowską teorią rasy. Podkreślał, iż zarzucają biologii sowieckiej, opartej na zasadach genetyki, że przyczyniła się do zahamowania wszelkich ulepszeń tak w gospodarce rolnej jak też i w hodowli zwierząt.

Dzięki poparciu partii komunistycznej i samego Stalina.(9) teza Łysjenki została w Sowietach przeforsowana, jako jedynie

prawdziwa i patriotyczna, a prace Mendla, Batesona, Weismanna i Morgana zostały potępione jako zarażone herezją „klerykałną”, „burżuazyjną” i „faszystowską”. Łysjenko zostaje prezesem Akademii Agronomii, Wawilow zaś jest pozbawiony godności i aresztowany w r. 1940.

Na kongresie biologów sowieckich w 1936 roku Wawilow już nie był przewodniczącym, lecz wysoki urzędnik z Moskwy, A. J. Murałow.

Rozpatrzmy pokrótce, na czym polegała zwycięska teoria Łysjenki. Wychodząc z założeń Lamarcka o wpływie środowiska oraz przekazywania w potomstwie cech nabytych.(10) tym niemniej Łysjenko ze swymi uczniami odwołuje się do nauk Darwina, kontynuowanych w Rosji przez Timiraze-

(1) Weismann, August, biolog niemiecki, ur. we Frankfurcie n. Menem w 1834, zmarł we Fryburgu (im Br.) w 1914.

(2) Mendel, Johann, (zakonie Gregor), ur. w Heizendorf (Śląsk), zmarł w Brunn w 1884. Prace jego z botaniki wydane w Brunn w latach 1865 i 1869 nie były zauważone. Dopiero w 1900 r. botanik holenderski de Vries, wydosłował je z zapomnienia.

(3) Morgan, Thomas Hunt, (1866-1945), amerykański biolog, urodzony w Lexington. W 1933 dostał nagrodę Nobla.

(4) Weismann, A., „Vorträge über Descendenztheorie”, Jena 1913.

(5) Zob. Zaniewski, R., „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia, a naturalizm chrześcijański”, str. 209-210.

(6) Guyénot, „L'origine des especes”, str. 66.

(7) Łysjenko, T., „Agronomie, génétique, selection et production des semences”, Moscou. Edit. en langues étrangères, 1953, str. 278.

(8) Cf. Dobzhansky, Th., „N. I. Vavilov a Martyr of genetics (1887-1942)”, in: „The Journal of Heredity”, New York, August 1947, str. 227 i nast.

(9) Zresztą Łysjenko sam to przyznaje, mówiąc: „Si la doctrine de Mitchourine fait désormais partie du trésor de nos connaissances, du fonds d'or de la science, la biologie progressiste en est redevable à Lénine et à Staline, ces génies de l'humanité”. Łysjenko, „Agronomie”, str. 57.

(10) Zob. w tej sprawie: Zaniewski, R., „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański”, Londyn, Veritas, 1953, str. 188 i nast.

(11) Beale, G. H., „Timizarev, Founder

wa(11) i Mieczurina. Ten ostatni zwłaszcza wywarł największy wpływ. Samouk, pracując jako magazynier w składach dworca miasta Kozłowa (obecnie nazwane od jego imienia Miszurinsk), oddawał się jednocześnie z pasją ogrodnictwu, stawiając sobie za cel, przez różnorodne szczepienia, udoskonalić w miarę możliwości istniejące już gatunki roślin. Biorąc za podstawę te zbyt nieokreślone jeszcze rezultaty jego doświadczeń, Łysjenko, wraz z głośnym pisarzem Prezentem, opracował nową teorię dziedziczności, nazwaną przez niego miczurynizmem w biologii, albo „Twórczym Darwinizmem Sowieckim”, mającym przekształcić oblicze świata.(12)

Dziwny naprawdę jest ten darwinizm, w którym — jak zaznacza Dobzhansky(13) — nie bierze się wcale pod uwagę „selekcji naturalnej”, ignoruje się istnienie „przejściowych form”(14), nie uznaje się „stopniowego” przechodzenia jednego gatunku w inny, propagując raczej myśl o nagłych przemianach „skaczkom”(15) (skokiem), przypominających raczej teorię mutacjonizmu, znaną oczywiście przez Darwina, ale nie brana wcale pod uwagę w jego teorii ewolucji świata organicznego.(16)

Pominąwszy więc tak kluczowe tezy swego mistrza, Łysjenko w teorii swej kładzie cały punkt ciężkości, bez najmniejszej wzmianki o jej autorze, na hipotezę tzw. „pangenizmu”(17), według której komórki rozrodcze byłyby jedynie miejscem skupienia „genów” (gemmules) reprezentujących każdą komórkę ciała. Te ostatnie występowałyby w roli twórcy i nosiciela przekazywanej dziedziczności.

Jednak już Darwin, nazywając teorię tę „provisional hypothesis of pangenesis”, powątpiewał mocno w jej realną wartość, a doświadczenia przeprowadzane w dość wielkiej ilości w XIX i XX wiekach wykazały jej całkowitą bezpodstawność. Jak widać z listów samego Darwina, hipoteza ta była wynikiem chwilowego jego ustępstwa na rzecz „lamarkizmu”, próbą wytłumaczenia mechanizmu przekazywania cech nabytych, głównej troski, nie żyjącego już wówczas Lamarka.(18)

Otóż Łysjenko miałby odrzucić tę starą i zapomnianą teorię, dając jej nowe podstawy oddalające się zresztą bardzo od głównych założeń doktryny nie tylko Darwina, ale i Lamarka.(19) Pierwszym twierdzeniem różniącym go od zwykłego „lamarkizmu” jest przekonanie o możliwości „naruszenia” lub „rozłożenia” pod wpływem działań środowiska, zasadniczej konstytucji jądra. Proces ten tzw. „niestałości” dziedzicznej, raz zapoczątkowany, wpływać by miał na utrwalanie się nowych cech w potomstwie.

Dla zwolenników „miczurynizmu” — siedliskiem właściwości dziedzicznych byłyby więc nie tylko chromosomy, jak uczy współczesna genetyka, lecz także każda część ciała. Procesy bowiem, zachodzące w komórkach rozrodczych nie różniłyby się wcale od tych, które zachodzą wskutek ogólnego metabolizmu w organizmie. Podobnie jak organizm pod wpływem zewnętrznym się przekształca, tak też i „konstytucja dziedziczna” jądra może być zmieniona przez asymilację wpływów środowiska.

W hipotezie tej proces dziedziczności sprowadzałby się do procesu asymilacji, ogólnego metabolizmu, którego zmiana pociągałaby za sobą zmianę cech dziedzicznych. Konstytucja jądra, powiada Łysjenko, jest zwykłym wynikiem koncentracji działań warunków zewnętrznych zasymilowanych przez

organizm w poprzednich generacjach.(20) Zmienić ją zawsze można przez odpowiedni wpływ środowiska.

Wychodząc z powyższych założeń, według Łysjenki, istniałyby w przyrodzie dwa rodzaje wariacji. — Jedne z nich, które nazwalibyśmy „fenotypycznymi”, zachodzą wówczas, gdy roślina czy zwierzę, żyjąc w odpowiednim środowisku, zdolne są zaspokoić wszelkie potrzeby swego organizmu, zgodnie z ich naturalnymi skłonnościami. W potomstwie więc otrzymuje się zawsze te same gatunki, te same właściwości dziedziczne z małymi zmianami indywidualnymi — w wyniku procesu ich rozwoju.

Inne — to są wariacje natury, tzn. samej dziedziczności, zachodzące wówczas, gdy roślina lub zwierzę znajduje się w warunkach życia dla siebie niesprzyjających, nieodpowiadających, jak mówi Łysjenko, ich właściwościom dziedzicznym.

Wówczas „wszechpotężny” wpływ środowiska będzie oddziaływał na zmianę formy czy typu danej jednostki, powodując jednocześnie zmiany i jej dziedziczności, która w potomstwie okazuje się już niezmienną i stałą, byleby warunki środowiska nie uległy ponownej zmianie. W innym bądź razie ten proces przemiany posuwałby się dalej, dopóki by nie nastąpiła kompletna stabilizacja zewnętrznych warunków życia. Jako przykład własnych osiągnięć w tym względzie Łysjenko podaje fakt, że zdołał przez

of Soviet Genetics” in: „Nature”, vol. 159, 1947; także dłuższy życiorys: „Bolszaja Sowietskaja Encyklopedia”, t. 42, str. 431; (ur. w 1843 — zmarł w 1920).

(12) Cf. Łyszenko, T. D., „Heredity and its Variability”, New York, King's Crowns Press, 1946, translated by Th. Dobzhansky. — Cf. comp. rendu: „Lysenko's Genetics”, in: „The Journal of Heredity”, New York, January 1946, str. 5-9; także: „Agrobiologie”, 1953 — pełny zbiór jego różnych artykułów i przemówień. Zob. także: Prenant, Marcel, „Biologie et Marxisme”, Paris; także Haldan, J. B., „Hérédité et Politique”, trad. par Paul Coudere, Paris, P.U.F.

(13) Cf. Lysenko's „Genetics”, in: „The Journal of Heredity”, New York, January 1946, str. 7.

(14) Pawlow, H. B., „O widoobrazowaniu putiem pierierozdijenij”, „Botaniceskij Zurnal”, Moskwa-Leningrad, 1953, tom 38, str. 278.

(15) Cf. Łyszenko, Du nouveau dans la science, touchant l'espèce biologique, dans: „Agrobiologie”, str. 594.

(16) Zob. Darwin, „The Origin of Species”, London 1886, str. 8; także: „De la variation des animaux et des plantes”, 1887.

(17) Cf. Darwin, Ch., „De la variation des animaux et des plantes à l'état domestique”, Paris, 1880, t. II rozdz. XXVII, str. 369 i nast.

(18) Cf. Encyclopaedia Britannica, Chicago-London-Toronto, 1951, vol. 7 str. 66.

(19) Należy przestrzec przed błędnym rozumieniem doktryny Lamarka! Według niego, nie bezpośredni wpływ środowiska powoduje zasadnicze zmiany w organizmie, lecz raczej wewnętrzny wysiłek woli każdej istoty żywej, dążącej do zaspokojenia najróżnorodniejszych potrzeb organizmu spowodowanych przez zmianę środowiska, sprawić by miał, że używanie pewnego organu powiększałoby jego sprawność, nieużywanie zaś powodowałoby jego zanik. Środowisko

odpowiednie działanie z zewnątrz przekształci właściwości zboża zimowego na zboże wiosenne. Cecha ta, według niego, miałaby pozostać na zawsze.

Drugą metodą „rozłożenia” cech dziedzicznych byłaby stosowana przez Mieczurina tzw. metoda „szczepienia”, np. jednej części jakiejś rośliny do łodygi innej rosnącej w ziemi (mentor), tak jak tego dokonał Łysjenko szczepiąc dwa różne gatunki pomidorów.(21)

Trzecia wreszcie metoda polegałaby na krzyżowaniu dwu roślin różnych.

Na ogół na Zachodzie większość biologów z bardzo wielkim sceptycyzmem przyjęła twierdzenia Łysjenki. Sprzeciwiają się one bowiem wyraźnie ostatnim zdobycjom genetyki. Ogólnie się twierdzi, że Łysjenko zbyt lekkomyślnie wyciągnął wnioski nie sprawdzone dokładnie przez fakty. Jak zaznacza Waddington,(22) doświadczeniom jego brakowało precyzji, albowiem materiał użyty do doświadczeń nie był genetycznie czysty, a rzekoma dziedziczność nie była trwała. Według Juliana Huxleya,(23) miczurynizm byłby wynikiem przestarzałych i błędnych zasad, które współczesna nauka Zachodu już dawno odrzuciła. Dlatego też teorii tej nie można wziąć za jakiś system naukowy, lecz raczej trzeba by ją uważać jako doktrynę partii komunistycznej, której ta ostatnia chce podporządkować fakty biologiczne.(24)

więc nie jest tu sprawcą zmian zachodzących w organizmie — jak sądzą niektórzy — lecz tylko okazją ku temu. — Zob. Lamarck, „Philosophie zoologique”, wyd. z 1874, t. I, str. 223; także: Zaniewski, „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia”, str. 192-3. Podobną doktrynę, podkreślającą uczucie potrzeb jako przyczynę psychiczną, poprzedzającą i determinującą strukturę anatomiczną zwierzęcą, głosił zwłaszcza A. Pauly. — Zob. streszczenie tej teorii przez Cuenot, „Invention et finalité en biologie”, str. 127-129.

(20) Łyszenko, „Agrobiologie”, str. 317.

(21) Jak zaznacza Kolar, już nieraz w pracach swych genetyka natrafiała na zjawiska dziwne, zdawałoby się nie mieszczące się w jej ramach; zawsze jednak dały się one sprowadzić do ogólnie już znanych praw, wzbogacając je przez pewne nowe szczegóły. Kolar, S., „Après la disgrâce de Lysenko” w: „Diogenes”, Paris, Gallimard, 1953, nr 4, str. 125-126.

(22) Waddington, C. H., „Lysenko and the scientists”, in: „New Statesman and Nation” 25. XII. 1948, t. I, 1949.

(23) Huxley, J., „Soviet Genetics and world science”, London Chatto and Windus, 1949; tłum. franc. pt. „La génétique soviétique et la science mondiale”, Paris, Stock, 1950.

(24) Dowód na to można by było znaleźć w licznych cytatach przytoczonych przez Huxleya, a zaczerpniętych ze sprawozdań posiedzeń Akademii Agronomicznej w Moskwie. Uczni rosyjscy, przeciwnicy teorii Mieczurina i Łysjenki, zostali zmuszeni przez partię do odwołania swoich poglądów. Oto jeden z przykładów obietnicy poprawy. Zukowski powiada co następuje: „W świetle orzeczeń Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej, oznaczającej linię demarkacyjną między dwiema tendencjami w biologii, mowa moja wygłoszona wczoraj była niegodną członka Partii Komunistycznej i uczonego sowieckiego. Była to jednak ostatnia moja mowa niewłaściwa tak z punktu wi-

W istocie, prawo przekazywania cech nabytych jest, według marksistów, naukowym wytłumaczeniem obietnic doktrynalnych o lepszym świecie w przyszłości. Nadzieja ta cparta jest na dialektycznym sposobie myślenia.(25) zgodnie z którym świat cały i otaczająca nas przyroda jest w ciągłym i nieustannym postępie. Zmienione warunki struktury socjalnej i materialnej — przez silną wolę człowieka — zmieniają też wkrótce oblicze świata.(26)

Mimo tak optymistycznych założeń doktryny, praktyczne wyniki odkryć Łysjenki — jak dotąd — były co najmniej nikłe. Struktura roślin lub zwierząt, jak świadczą dane współczesnej genetyki, jest zmienna w pewnych granicach, nikt jednak dotąd nie zdołał i prawdopodobnie nie zdoła naruszyć istoty ich natury. Wprawdzie ogólny postęp, ułatwiający życie materialne człowieka, odbywa się ciągle, nie tylko w Związku Sowieckim, lecz jeszcze w większym stopniu na całym świecie, nie dzieje się to jednak na skutek przemiany gatunków zwierząt i roślin, lecz raczej przez intensywną, racjonalną i maszynową gospodarkę, dającą lepsze wyniki.

Nic też dziwnego, że po ukazaniu się w paryskim komunistycznym miesięczniku „Europa“ głównych tez teorii Łysjenki posypały się ze wszech stron i to nie amatorów biologii, lecz najbardziej zaawansowanych uczonych w tym względzie, jak najenergiczniejsze protesty. Zarzucano ogólnie brak oryginalności w twierdzeniach Łysjenki o tzw. „cytoplazmicznej“, albo „vegetatywnej“ dziedziczności w przeciwstawieniu do dziedziny „seksualnej“, zawartej w chromosomach i uznanej powszechnie przez genetyków całego świata.

Ponadto stwierdzono, że ta rzekomo wolna dyskusja biologów sowieckich była w

rzeczywistości jawnym forsowaniem uznanej przez rząd sowiecki ideologii politycznej, nie mającej nic wspólnego z nauką; że przytoczone eksperymenty, znane powszechnie i na Zachodzie, nie obalają wcale wyników doświadczonych współczesnej genetyki, nie sprzeciwiają się prawom sformułowanym przez Mendla, ani też nie udowadniają dziedziczności cech nabytych. Interpretacja faktów biologicznych przez Łysjenkę i jego zwolenników była zbyt zaprawiona fantazją. Co więcej. Oburzano się na nieuzasadniony i nielogiczny z punktu widzenia nauki zwrot do średniowiecznych metod powoływania się na autorytety; potępienia wszelkich opozycjonistów, jako „reakcjonistów“, „idealistów“, „metafizyków“ i „mystyków“.

Dlatego też jakie by tam nie były praktyczne rezultaty osiągnięć Łysjenki w dziedzinie ogrodnictwa, uprawy roślin i drzew, o czym oficjalne sowieckie(27) czynniki rządowe tak długo się rozwodzą, wartość wkładu Łysjenki do prawdziwej naukowej biologii, powiada Dobzhansky, równałaby się wkładowi zdeklarowanego nieuka. (thoroughgoing obscurantist).(28)

„Nie bądźmy śmieszni, chcąc za wszelką cenę „upolitycznić“ chromosomy albo wierzyć w „reakcyjny“ charakter mendelizmu, dlatego tylko, że był wynaleziony przez augustyniańskiego mnicha, powiada Rostand, jeden z niezależnych współczesnych biologów francuskich.(29)

Nie mniej surowa krytyka spotkała teorię Łysjenki ze strony jego własnych kolegów, biologów sowieckich. Mimo że teoria jego uznana została w Związku Sowieckim jako oficjalna, większość uczonych radzieckich nie podziela tu wcale wskazań partii. Jak czytamy w oficjalnym sprawozdaniu z dyskusji biologów sowieckich nad warto-

ścią teorii Łysjenki, w ciągu dziesięciu lat na fakultecie biologii uniwersytetu moskiewskiego, wszystkie odczyty i konferencje były poświęcone krytyce wyżej wspomnianej teorii jako, powiędzmy łagodnie: nieopracowanej, nie mającej nic wspólnego z prawdziwą nauką uniwersytecką.(30)

Jedynie dzięki interwencji osobistej Stalina i partii, sytuacja ta radykalnie się zmieniła. Dzięki tej wyjątkowej protekcji, pisze Turbin, teoria Łysjenki, w przeciągu 2-3 lat, została wprowadzona w Związku do ogólnych programów nauczania; umieszczono ją także w drugim wydaniu wielkiej Encyklopedii Rosyjskiej, stwierdza Kulikow (31) nie tylko bez poddania tej doktryny rzeczowej krytyce, piętnując jej słabe strony, lecz wprost odwrotnie, przedstawiając ją jako nowe, olbrzymie osiągnięcie biologii Miczurina, jako nową i twórczą biologię radziecką — oburza się Pawłow.(32) Tymczasem rzeczywistość, powiada Kulikow, jest zupełnie inna. Twierdzenia Łysjenki są raczej natury „metafizycznej“, aniżeli udowodnionymi naukowo tezami, albowiem ich autor nie dostarczył ani jednego dowodu na poparcie swych twierdzeń.

Jeżeli chodzi o eksperymentalne podstawy doktryny Łysjenki, to sprowadzają się one, jak zaznacza Turbin, do doświadczeń na paru roślinach, gdyż Łysjenko nie dał ani jednego nawet przykładu ze świata zwierząt na potwierdzenie swej tezy.

Przeprowadzane przez zwolenników teorii Łysjenki eksperymenty, jak pisze Turbin, są naprawdę mało przekonujące. Oto parę cyfr wyników z dokonanych oficjalnych doświadczeń.

Pszenvca staje się żytem:		znaleziono 4 ziarenka żyta	
na 13.850	przejranych kłosów pszenicy	na 9.000	„ „ 1 ziarnko żyta
		na 74.000	„ „ 8 ziaren żyta
		na 200.000	„ „ 8 ziaren żyta

I oto na podstawie tych kilku niedokładnych danych, gdzie procent przemiany pszenicy w żyto faktycznie jest równy zeru, wyciąga się daleko idące wnioski — pisząc, że nastąpiło w organizmie pszenicy prodegnie żyta — rezultat niesprzyjających warunków dla pierwszej, (uwaga: okolica, gdzie się zazwyczaj sieje 84% pszenicy), bo odpowiadających raczej gatunkowej specyfice żyta.

Według Iwanowa,(33) wszystkie temu podobne eksperymenty, sprowadzające się do rzekomych wzajemnych przemian pobliskich sobie gatunków, wprowadzają Łysjenkę jakby w zaczarowane koło „idealistów“ i „teologów“, gdzie się naprawdę właściwie nowego nie tworzy — pszenica-żyto-pszenvca. Aby teoria Łysjenki mogła mieć chociaż pozory prawdopodobieństwa, powiada Iwanow, trzeba, by jej autor potrafił udowodnić, że zdolny jest stworzyć nowe gatunki. Łysjenca się zdaje, pisze dalej Iwanow, że świat przyrody, którego poszczególne człony stanowią by miały różnorodne gatunki roślin i zwierząt, jest powiązany w jednym nieprzerwanym łańcuchu. Tymczasem już Timiriazjew nauczał.(34) że powiązanie świata przyrody nie przypomina wcale idealnego łańcucha, albowiem poszczególne jego człony bardzo często nie mają ze sobą nic wspólnego. To właśnie było (zresztą i jest — przyp.nasz) przyczyną podziału przyrodników na dwa wielkie i ścierające się ze sobą obozy.

Zagadnienie dwóch sprzecznych teorii jak dawniej istniało, tak też i dzisiaj istnieje.

dzenia biologicznego jak też i ideologicznego. Stwierdzam, że odtąd będę propagował biologię Miczurina. Proszę mi wierzyć, że czynię to jako członek Partii...“ Tekst zaczerpnięty u Huxleya, str. 71-72. Tłumaczenie własne.

(25) Rozumowanie dialektyczne, inaczej mówiąc sztuka dyskusowania przez opozycję przeciwnych sobie opinii, była praktykowana już przez Platona. Arystoteles ją potępia. W logice jego nie ma miejsca na sprzeczności, albowiem uznawał on, że istnieje tylko jedna prawda uniwersalna, absolutna i wieczna. Hegel nawiązuje znowu do zasad Platona twierdząc, że prawda nie polega na uznaniu jednej idei za błędną, innej zaś za prawdziwą, lecz raczej na połączeniu tych dwóch punktów widzenia w jakiejś nowej twórczej myśli. Sprzeczności więc, według niego, są niezbędnym warunkiem postępu. Marks i Engels zapożyczają u Hegla tę dialektyczną metodę myślenia, odrzucając jednak jego idealistyczną filozofię na rzecz materializmu. To nie duch determinuje materię, powiada Marks, lecz materia determinuje kreację ducha. Zob. Engels, Fr., „Herren Eugen Dühring's Umwälzung der Wissenschaft“, tytuł skrócony — „Anti-Dühring“, durchgesehene und vermehrte Auflage, Stuttgart, 1894.

(26) Jak widać z deklaracji Prezydium Akademii Nauk Związku Sowieckiego, teoria Miczurina została uznana za jedynie możliwą do przyjęcia nie tylko dla motywów naukowych, lecz także ze względu na to że potwierdza ona rewolucyjną zasadę możliwości przekształcania Natury dla dobra ludu.

Wszystkie zaś zdobycze współczesnej genetyki odrzuca się jako „pseudo-naukowe“, albowiem miałyby być one podporą pojęciom o Boskim pochodzeniu świata, obdarzonego przez Stwórcę wiecznymi i niezmiennymi prawami. Zob. List Zdanowa opublikowany w „Prawdzie“ w dniu 7 sierpnia 1948.

(27) Co oczywiście i gdzie indziej bezkrytycznie powtórzono. Zob. np. prof. Birecki, M., „O dziedziczności i jej zmienności: człowiek tworzy nowe rośliny itp.“, „Wszelki świat, życie, człowiek“, 1955, str. 331-537 i nast.

(28) Dobzhansky, Th., „Lysenko's 'Genetics'“ in: „The Journal of Heredity“, New York, January, 1946, str. 9; także: Ashby powiada: „Lysenko's attitude to modern genetics — one of militant obscurantism“ — op. cit.

(29) Cf. „Combat“, 9 września 1948; także: Aragon, „De la libre discussion des idées“, „Europe“, Paris, octobre 1948, str. 12.

(30) Cf. „Europe“, octobre 1943, str. 114. — Récit du prof. Beletsky.

(31) Cf. Kulikow, M. B., „Nowoje w naukie o biologicesko-m widie“, „Botaniczeskij Żurnal“, Moskwa-Leningrad, maj - czerwiec 1953, tom 38, nr. 3, str. 390.

(32) „O widoobrazownii putiem pierierozhdienij“, „Botaniczeskij Żurnal“, Moskwa - Leningrad, 1953, tom 38, str. 380.

(33) Iwanow, H. D., „O nowom uczenii T. D. Lysenko o widie“, „Botaniczeskij Żurnal“, 1952, t. 37, nr 6, str. 831.

(34) Timiriazjew, znany biolog rosyjski, przychylny rewolucji, stał jego wielki wpływ w biologii sowieckiej. (1843-1920).



W imię bezstronności trzeba tu zaznaczyć, że nie brak też i gorących obrońców oficjalnej doktryny w Związku Sowieckim, między którymi należy zwłaszcza wymienić znaną przyrodniczkę Lepieszynską i wielu pomniejszych, jak: Izajew, Mierkurjewa, Stroganowa, Fiejginson i inni. Szermierka ścierających się ze sobą obozów jest w istocie swej słowna, powiedzielibyśmy „scholastyczna”, nie obracająca się wcale na gruncie praw i zasad biologii. Główną troską uczonych radzieckich jest dopasowanie faktów biologicznych do powiedzeń Marksa, Engelsa czy Stalina i Lenina, ludzi czytanych, ale łagodnie mówiących — amatorów na tym polu nauki, których teorie już zresztą dawno przebrzmiały. (35)

Co więcej, wypowiedzi „ojców marksizmu”, sformułowane w różnych okolicznościach i bez większego starannego przygotowania, zawierają wiele zdań sprzecznych, (36) w których każda ze ścierających się stron znajduje odpowiedni argument na poparcie swych twierdzeń.

Jako ostatni argument wysuwa się groźbę — a wiemy co to znaczy — dla kariery a nawet życia sowieckiego uczonego. Podobnie czyni znana przyrodniczka Lepieszynska (37) oburzając się, że w 36 roku sowieckiej władzy w Rosji, jeszcze śmie ktoś sprzeciwić się orzeczeniu Stalina i partii. „Ożywicielka” zmiądzonych komórek, a nawet komórek pochodzących z materii nieorganicznej, uznana w Sowietach jako ta, która już kilkanaście lat temu miałyby znaleźć nieodparty argument obalający istnienie Stwórcy, przy przeróbce podobnych doświadczeń w laboratorium berlińskim kompromituje się całkowicie. „Moc twórcza” towarzyszkii Lepieszynskiej opuszcza ją na tę właśnie decydującą chwilę, bo komórki w Sowietach inaczej zupełnie reagują aniżeli w Niemczech — powada zawstydzona autorka tego soit-disant „naukowego” doświadczenia. Od tej chwili milczenie pokryło sfabrykowany dowód przeciwko istnieniu Boga, już się go więcej nie eksportuje. (38) Oto nieobliczalne szkody, jakie dla rozwoju nauki przynosi niewłaściwa interwencja władz państwowych, czego tak żarliwie domagają się polscy komuniści. (39) Oto przykład do jak fałszywych rezultatów prowadzi naciąganie badań (biologicznych czy innych) do z góry uznanych przez państwo teorii...

Władza sowiecka podporządkowała sobie

w sposób brutalny życie intelektualne Rosji, kalecząc je w sposób monstrualny. Stwierdza to nawet Malenkow (40) protestując przeciw powszechnej praktyce, gdzie „nauczynje woprosy rieszajutisia administratiwnym putiom” (zagadnienia naukowe rozstrzygane są w drodze administracyjnej). Podobnie i teoria Łysjenki, skądinąd ciekawa, a może nawet zawierająca dużą dozę prawdy, przez chęć służenia komunizmowi, a nie prawdzie, została w istocie swej zniekształcona, przybierając raczej formę „anegdody”, jak powiada Kolar (41), aniżeli naukowej teorii. Od czasów Galileusza, powiada tenże autor, świat nie widział podobnej interwencji władz świeckich do oceny wyników badań naukowych. Galileusz przynajmniej, kontynuują Kolar, po poddaniu się orzeczeniu władzy, nie był zmuszony do samoskarżania się lub jakichkolwiek innych tłumaczeń. Uczniowie sowieccy natomiast nie są pozostawieni w spokoju, dopóki się nie oczyszczą przez poniżające godność ludzką samobiczowanie się, przez wyzbycie się nie tylko słowne, lecz i w praktyce, swoich dawnych teorii, podobnie jak się wyzbywa, po-

wiada Kolar, niepotrzebnych mebli, lub nie dopasowanych butów.

Jeszcze bardziej monstrualnie wygląda ta propaganda, gdy powtarzana jest przez polskich pseudo-naukowców, gorszących się (42) spalanem przez św. Inkwizycję Giordano Bruno (43), a nie dostrzegających likwidacji uczonych rosyjskich. Jeżeli spalenie Giordano Bruno uważa się dziś powszechnie za wielki błąd, to był to, należy przyznać, jedyny tego rodzaju błąd, jak pisze profesor Zonn (44), popełniony przez św. Inkwizycję w stosunku do „największych myślicieli XVI wieku”.

Po czyjej stronie więc jest „ciemnogród”, termin tak często stosowany do kół katolickich w Kraju przez różne zespoły pism komunistycznych? Niech przytoczone powyżej fakty staną się „bolesną” ilustracją dla wszystkich polskich i nie-polskich „Łopatek” (45), domagających się jeszcze dziś politycznej kontroli partii (a więc ludzi nie mających nic wspólnego z nauką) — w sferze niezależnych badań naukowych.

Ks. Romuald Zaniewski

(35) Zob. Zaniewski, „Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański”, Londyn, 1933, rozdz. VI.

(36) Takich sprzeczności w marksizmie jest moc. Dlatego też wielu młodych komunistów prosiło Stalina, wówczas redaktora „Prawdy”, o wyjaśnienia które z różnych wypowiedzi byłyby prawdziwe. Zob. Staline, J., „Le marxisme et les problèmes de linguistique”, Moscou 1952, str. 47 i nast. „Au comarade A. Kholopow”.

(37) Cf. Lepieszynskaja, O. B., „Niedobro-kacześciwna kritika H. W. Turbina i H. D. Iwanowa roboty T. D. Lysenko o widie”, „Botaniceskij Żurnal”, Moskwa-Leningrad, 1953, t. 38, nr 3, str. 388.

(38) Już choćby z powyższego widzimy jak płytka jest ta propaganda pseudo-uczonych sowieckich. W zacierzawieniu swym nie mogą zrozumieć, że jeśliby nawet Lepieszynskiej udało się kiedyś ożywić komórkę z materii martwej, to przez to samo nie zaprzeczyłaby, lecz raczej potwierdziła istnienie Stwórcy, którego prawa, zawarte od wieków w naturze udało jej się odkryć. Cóż w tym nadzwyczajnego?

(39) Zob. Łopatka, Adam, „Czy możliwa jest owocna praca partyjna na samorządowym uniwersytecie?”, „Polityka”, 24 listopada 1957 r.

(40) Malenkow, G., „Otcziotnyj dokład XIX sjezdu partii o rabotie centralnowo Komitietu”, BK. P. (b), Gospolitizdat, 1952, str. 96.

(41) Kolar, Stefan: „Après la disgrâce de Lyssenko”, „Diogenè”, Paris, 1953, Nr 4, str. 133.

(42) Cf. np. a) „Przyrodnicze podstawy poglądu na świat”, (wydawnictwo polskiego radia), Warszawa - Kraków, 1951; b) „Wszechświat, życie, człowiek”, „Książka i Wiedza”, 1955 — i temu podobne popularne wydawnictwa.

(43) Bruno (Giordano), filozof włoski, ur. w Nole (Królestwo Neapol.), w 1550, spalony na stosie za herezję w 1600 r.

(44) Zob. „Z dziejów astronomii” — „Wszechświat, życie, człowiek”, str. 15.

(45) Zob. artykuł w „Polityce”, z 24 listopada 1957.

## DYSKUSJA „SPROWOKOWANA\*\*)

# DE REBUS EMENDANDIS

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

Motto: „Wszelkie programy młodych są fikcją, o ile nie są przygotowane do działalności w ramach całego społeczeństwa, do kontynuowania i rozwijania tego wszystkiego, czego dokonały pokolenia poprzednie.”

(J. B. ŻYCIE nr 5, 1958 r.)

Biorąc powyższy cytat z artykułu pt. „Wiek kłeski” jako motto do rozważań na temat omawianych ostatnio na łamach ŻYCIA spraw młodszego i starszego pokolenia, powodowany jestem dwoma względami: po pierwsze, jego słusnością, po wtóre, faktem, iż pochodzi on z ust pisarza generacji starszej. Chciałbym bowiem, aby był to gest dobrej woli, przekreślający zarazem twier-

dzenie, jakobyśmy, zadufani w swoim narcyzymie, nie potrafili dostrzec i docenić słusności wielu prawd wyrażanych przez naszych seniorów. Zasadnicze nieporozumienia, które stoją na przeszkodzie uczciwej współpracy wpływają najczęściej z niewściągliwych uogólnień, przeciwko którym wystąpił z wielką słusnością Mieczysław Paszkiewicz, a którym się z małymi wyjątkami skwapliwie poddają dyskutanci z obu stron, oraz z głęboko wkorzenionych w psychice polskiej tendencji do prowadzenia polemiki na najwyższych rejestrach uczuciowych, tak aby przeciwnikowi „poszło w pięty”. Przykro mi osobiście, że niektóre zwroty w czerwcowej wypowiedzi Romana Jasińczyka nie osiągają poziomu jego artykułu z maja, gdzie z przekonaniem propa-

guje umiar. Podobnie szkoda, że artykuł, z którego wzięłem powyższe motto, tonem i uogólnieniami zadrażni raczej niż złagodzi stosunki. Może warto przypomnieć mądre słowa Goethego, że mistrza poznaje się dopiero poprzez ograniczenia, które na siebie nakłada: „Denn in Beschraenkung zeigt sich erst der Meister”. Po co zatem te kolubryny satyryczne, błyskotliwość paszkwi-

\*) Patrz artykuły: Z. Ławrynowicza „Pokolenie bez przydziału” i M. Paszkiewicza „W sprawie młodych” — ŻYCIE nr 4/58, w nr. 5/58 — J. B. „Wiek kłeski” i R. Jasińczyka „O wspólny język” oraz w nr. 6/58 — T. Skórzewskiej „Starzy i młodzi” i R. Jasińczyka „Kłeska wieku”.

lu, jeśli idzie o to, aby łączyć, a nie dzielić? Apeluję więc jeszcze raz o umiarkowanie i miłość chrześcijańską, caritas, ażeby dyskusja wszczęta w ŻYCIU nie stała się równie bezcelowa, jak to miało miejsce gdzie indziej.

Ze ruchu, programy czy poczynania w historii narodów nie przynosiły spodziewanych rezultatów, o ile nie liczyły się z tradycją, dorobkiem, upodobaniami, charakterem zainteresowanych społeczeństw, jest oczywistym truizmem. Co więcej, wszelkie próby narzucenia przemocą, już nie tylko zmiany światopoglądu, ale małych, arcyważnych nieraz, ulepszeń, budziły wszędzie, nie tylko w Polsce, kraju indywidualistów, zrozumiałe sprzeciw i efekty wręcz przeciwe. Stąd też chciałoby się przypomnieć niektórym radykałom spośród młodszych i najmłodszych, domagającym się zmiany warty na wszystkich odcinkach życia społeczno-politycznego na emigracji, że zdają się nie liczyć z możliwością, nawet gdyby do tego doszło, znalezienia się w jeszcze większym odosobnieniu względem społeczeństwa niż generacja starsza w chwili obecnej. Jednostka wybitna może bowiem często przeskoczyć wiele stopni w rozwoju, brûler les étapes, jak mawiają Francuzi, ale społeczeństwo, złożone z ludzi o ogromnej różnorodności intelektualnej i wielkim przywiązaniu do tradycji narodowej, do takiej karkołomnej skakanki nie jest zaprawione. Na tym terenie do zmian dochodzi powoli, i głównie dzięki systematycznej pracy u podstaw, a nie rozkrzykiwaniu walkom między pokoleniami. Jeżeli nam, to jest młodszym, na tym zależy, aby Polska szła ku coraz wyższym osiągnięciom kulturalnym i cywilizacyjnym, na czym nam przecież, mimo pozorów, które spowodowały liczne rozdarcia szat nad naszą bezideowością i ostepczością od spraw polskich, głównie i przede wszystkim zależy, żadna separacja generacji, żadne odrębne wysiłki, żadne programy grup czy grupki, propagowane osobno, nie przyniosą takich korzyści, jakie mogłyby dać przy wspólnych poczynaniach, i co więcej, gotowe do reszty zniechęcić tych, dla których rzeczy te nie są błahę. Jedyny z tego wniosek: skojarzyć wysiłki, dotąd tak umiejętnie kierowane na nieplodne tereny spraw nieistotnych, gdzie umiera myśl wszelka i trwoni się energia społeczeństwa. Wszelkie marnowanie sił na jałowe walki jest jeszcze jednym zawiedzeniem ojczyzny, której winniśmy służyć, każdy na swój sposób i według swych zainteresowań i zdolności, ale z myślą, aby to tworzyły wspólny dorobek, wspólny plon. Dostyc tego kompleksu Edypa, dostyc bezmyślnej walki z pokoleniem, z którego biologicznie i umysłowo się wywodzimy. Jeżeli przekazało nam ono dużo wad, jeszcze zapewne więcej przekazało nam dobrego, wśród czego niepoślednie zajmuje miejsce przywiązanie i wierność, jak to świetnie powiedział Kasprowicz, „do rzadko na naszych ustach pojawiającego się najdroższego wyrazu — Ojczyzna“.

Czy istnieją szanse współpracy tu na emigracji? Czy dojść mogłoby do porozumienia między starszymi i młodszymi, lub czy narastające wciąż uprzedzenia nie zmrózają takiego ruchu w zarodku? Sądzę, że nie unosię się w sferach utopii twierdząc, iż możliwości takie są dziś lepsze niż kiedykolwiek. A oto garść przesłanek do takiego wniosku. Primo, nieporozumienie między pokoleniami tu na emigracji już trwa zbyt długo, aby mogło jeszcze kogokolwiek pasjonować. Jest to przebój dawno już zgrany. Walkuje się to, często z nudów i przyzwyczajenia myślowego. Secundo, zwyk-

łe gdy się ktoś długo a bardzo kłóci dochodzi wreszcie do pewnego modus vivendi, jeżeli nie zgoda do zacieśnienia więzów uczuciowych. Tertio, co już wielokrotnie zauważano, tak zwani „młodzi“ przestali być młodzieżą i zewnętrznie nie różnią się wyglądem do tego stopnia, aby sam fakt bycia młodym mógł kluczyć kogoś w oczy. Quarto, po pierwszych upałach popaździernikowych, które wielu przedstawicieli obu generacji postawiły po przeciwnych krańcach prostej, nastąpiło bardzo wyraźne zbliżenie, jeśli chodzi o ocenę sytuacji w Polsce. I tu trzeba przyznać, że odwrót z wysuniętych placówek przypadł nam, młodszym, a nie ostrożniejszym seniorom.

Może wystarczy, bo po co mnożyć przykłady, jeżeli wartościowsze zapewne będzie rozważanie elementów, na podstawie których do takiej współpracy dojść by mogło i powinno. W założeniu bowiem postawiłem sobie raczej zadanie nakreślenia pewnych ram współpracy niż jeszcze jednej analizy sytuacji. Uczynili to zresztą wyczerpująco, z palcem na ranie, Z. Ławrynowicz, M. Paszkiewicz i R. Jasińczyk.

Wpierw jeszcze spraw kilka gwoli wyjaśnienia i większej precyzji w późniejszych rozważaniach. A więc jeszcze sprawa nomenklatury.

Wydaje mi się, że wiele złej krwi i nieporozumień zaoszczędzimy sobie z obu stron przyjmując mniej drastyczne epitety. Nikt, jak świat światem, nie chce być starym, podobnie zresztą nikt nie życzy sobie, aby go wciąż obdarzano tytułem „młody“, gdy ma to być synonimem niedorozwinięcia umysłowego, niedojrzałości i nieumiejętności wszelkiego rodzaju. Tu dodam nawiasem, że wielu spośród młodych poetów emigracyjnych nazwy tej sobie od dawna nie usurpuje, przeciwnie, widzi w jej używaniu przez starszych kolegów po piórze pewną dozę lekceważenia i jak gdyby chęć kontynuowania nad nimi protekcyjnej opieki. Najlepiej byłoby zatem, aby jedynym elementem różnicującym pokolenia była chronologia: starsi, młodszy, najmłodszy. Starsi, to tacy co już w Polsce pracowali w swoim zawodzie, młodszy, to ci co studia pokończyli zagranicą i tu albo rozpoczęli już pracę zawodową, lub to niebawem uczynią; najmłodszy — od kołyski do jakiegoś 25 roku życia. W normalnych warunkach obecnych, najmłodszy kończą studia ok. roku 23 lub 24, nie tak jak my, średniacy, z pięcioletnim czy dłuższym opóźnieniem, około trzydziestki. Stąd też w przyszłości do przejścia do pokolenia dojrzałego i do uznania go za takie, dojdzie znacznie wcześniej. Jeśli chodzi o nas, „pokolenie bez przydziału“, poniesiemy jeszcze chyba długo niezawinione piętno pokolenia spóźnionego.

Jeżeli przyjąć taki podział, niesłuszne zdają się niektóre uwagi artykułu p. J. B. pt. „Wiek kłęski“. Abstrahuując od kwestii dojrzałości i zdolności poszczególnych jednostek z młodszej generacji, udział jej w życiu społeczno-politycznym i kulturalnym, jak również wpływ na to życie i sprawy emigracyjne, jest obowiązkiem spoczywającym równie dobrze na nich samych jak na pokoleniu starszym. Nie chodzi tu o wypychanie i uchwycenie steru, ale o rzetelne dołożenie ręki do spraw najistotniejszych. Sztuczne bowiem odsuwanie jej od tych spraw pod pozorem problematycznej niedojrzałości, spowodować może tragiczną jej stratę. Wyboconą ręką własną i ręką ojców z tego życia, rozpląnąć się może w szybkim tempie w krajach zamieszkania.

urywając ciągłość naszego życia kulturalno - społeczno - politycznego na emigracji o całą generację wcześniej, dzięki li tylko niewłaściwemu ustosunkowaniu się do niej ludzi, którzy wywiedli ją na sypkie piaski emigracyjnego bytowania. Jest to o tyle smutniejsze, iż jak wynika z artykułu J. Buszy w nr. 5 ŻYCIA, pokolenie najmłodsze uszło już kawał drogi w procesie upoloniowania się.

Co było właściwie kamieniem obrazy i powodem rozejścia się tych dwu pokoleń? Po głębszej refleksji dochodzi się do wniosku, iż sprawy, które nas dzielą, nie sięgają tak głęboko, aby wykluczały możliwość porozumienia. To, że negujemy celowość niektórych „dokonań“ w historii polskiej, i tu chciałbym sprecyzować treść motta — nie tyle powinniśmy „kontynuować i rozwijać wszystko to czego dokonały pokolenia poprzednie“, ale rozwijać i kontynuować takie tylko dokonania pokoleń poprzednich, które okazały się dodatnie, zbawienne i celowe dla naszego bytu narodowego — to nie robimy tego bezpodstawnie. Ze się rzekomo nie interesujemy sprawami polityki, twórczości emigracyjnej i życia społecznym, jest to tylko w niewielkim stopniu prawdą i dlatego niewystarczającym powodem do rozbratu. Jeżeli zatem nie ma nas tam, gdzie być powinniśmy, są tylko dwa powody: albo nas odepchnięto, albo przerażeni skostnieniem myśli i apodyktycznością wyroków znikomych jednostek wśród czynników kierowniczych, usunęliśmy się w cień aby nie zawsze tylko gnuśnieć lub rozbijać się samochodami. Oczywiście, są między nami i tacy, może i liczni, których sprawy ducha wcale nie obchodzą, ale tak zawsze było na wszystkich szerokościach geograficznych, że postęp kulturalny opierał się na barkach procentowo nielicznych jednostek. Nic tu nie zmienimy w naturze ludzkiej.

A że nie jesteśmy tylko pokoleniem negatywnym, pokoleniem renegatów, chętnie, kto sprawiedliwy, przyzna. Do artykułu Mieczysława Paszkiewicza, który daje nam kilka sylwetek ludzi nie straconych, każdy z nas dorzucił mógłby wiele nazwisk swoich znajomych, historyków, ekonomistów, inżynierów, lekarzy, architektów, którzy nie przestali się kształcić i zdobywać dalszej wiedzy z myślą, że się to przyda dla własnego kraju. Nie braknie wśród nich ludzi o aspiracjach literackich, prozaików i poetów. Inni z nich śledzą współczesne literatury obce, starając się zgłębiać nurtujące je prądy i biorą się do krytyki i tłumaczeń. Ci poświęcają się studiom politycznym i dyplomatycznym, tanci oddają się dyscyplinom filozoficznym i logicznym. Dotychczas znane są jedynie nieliczne ich nazwiska, ale i tych jest niemało. O wielu z nich czytelnik polski nie wie, choć już przedstawiali swe prace w czasopismach specjalnych obcych. Pracują w ciężkich warunkach, na marginesie pracy zawodowej, ale wbrew zniechęceniu, które niejednokrotnie dławi ich wysiłki, nie zawsze dają za wygraną. Dobrze, że nie widać wśród nich materiału na wieszczów i nowe mistycyzmy; wartościowszym na pewno będzie ich realizm. Szkoda, że nie ma jednostek genialnych, ale tych zawsze było mało i z pewnością mniej niż się potocznie sądzi. Stanowią oni jednak dużą potencjalną siłę i cały problem sprowadza się do tego, jak tę siłę skupić i skierować w jednolitym kierunku pracy dla swego narodu. Największą bowiem przeszkodą jest ich rozproszenie, osamotnienie i wzajemna nieznajomość. Nie chcę być głosem usypiającym czujność, twierdząc, że

wszystko jest w porządku, ale zdajemy sobie sprawę z tego, iż perspektywy nie są tak czarne, jak się je często maluje. Rozdzielają nas wielkie przestrzenie, czasem nawet międzykontynentalne, stąd też wszelka akcja scalenieowa musiałaby objąć całą tę rozproszoną młodszą generację intelektualną zagranicą. Zacząć trzeba by jednak od Londynu i Anglii, gdzie większa liczba zainteresowanych mogłaby zapewnić temu przedsięwzięciu większe szanse powodzenia w okresie trudnych początków.

A teraz warto by się zastanowić, co można by zrobić, aby ułatwić taką koncentrację wysiłków. Pierwsza myśl zjawia się sugerować utworzenie wspólnego ośrodka, ale jakiego? Wydaje mi się, że najbardziej odpowiadałby potrzebom tej rozproszonej grupy ludzi wykształconych „Klub Inteligencji Katolickiej”, który winien powstać wokół ZYCIA, na wzór podobnych klubów w Polsce. Klub taki musiałby oczywiście obejmować nie tylko przedstawicieli pokolenia młodszego, dla których formacja uczyniłaby on z pewnością więcej niż wszelkie inne dotychczasowe wysiłki, ale także członków pokolenia starszego, na podstawie równouprawnienia. Nie znaczy to oczywiście, że pokolenie starsze musiałoby się zupełnie zrzec jakiegokolwiek wpływu na rzecz młodszych. Idzie mi tylko o wytworzenie platformy, na której współpraca pokoleń nie będzie z góry zagrożona przez schematyczny podział na rządzących i rządzonych, i gdzie elementem podziału będzie wiek. Zyczliwość i takt, wspólne cele, wspólny punkt, gdzie moglibyśmy się spotykać, dyskutować i wzajemnie na siebie wpływać, mógłby projekt taki uwieńczyć pewnym sukcesem. Raz przełamane lody zniosłyby z prądem odradzającej się współpracy cudaczne uprzedzenia i wieloletnie niechęci.

Co mógłby dać taki „Klub Inteligencji Katolickiej”? Przed wszystkim stały kontakt, ciągłą wymianę zdań, wzajemne docenienie wysiłków i last but not least — zastęp nowych ludzi chętnych do pracy tego typu. Ułatwiłby poznanie tych wszystkich, którzy w pojedynkę, bez zachęty, borykają się z ogromnymi trudnościami w kontynuacji swych zainteresowań i studiów. Umożliwiłby pewien wgląd na pola zainteresowań poszczególnych członków, aby nie było straty czasu i energii na dublowanie wysiłków. Otworzyłby nowe pola do popisu w działach nie objętych przez nikogo. Usprawniłby i ułatwił wszelkie akcje i poczynania, włączając nowych współpracowników w tok chwałebnych często inicjatyw pokolenia starszego, które niejednokrotnie wegetują tylko z powodu małego poparcia społeczeństwa. Tu myślę o pomocy dla Polskiej Macierzy Szkolnej w organizowaniu i prowadzeniu szkół sobotnich, o organizowaniu kursów wakacyjnych z zakresu literatury, historii, geografii i wiadomości o Polsce dla młodzieży w wieku gimnazjalnym, połączonych z wypoczynkiem na wsi, o pomocy w układaniu podręczników, przystosowanych do zmienionych warunków emigracyjnych. Pomocy potrzebują liczne instytuty naukowe i biblioteki polskie, a przede wszystkim zapewnienia im finansów i bezpieczeństwa na przyszłość. Członkowie Klubu mogliby się podjąć akcji propagandowo-odczytowej, aby uzyskać potrzebne fundusze i zapewnić istnienie tej zapewne najwartościowszej spuścizny po naszej emigracji. Poparcia i pomocy potrzebują cenne a niedoceniane przez ogół społeczeństwa szkoły wyższe w Londynie: Polski Uniwersytet na Obczyźnie i Szkoła Nauk Politycz-

nych i Społecznych. Pomocy potrzebują polskie organizacje społeczne i polityczne, do których wejść powinniśmy, każdy według swoich przekonań. To wszystko ożywiłoby trochę nasze podwórko emigracyjne. Klub dałby ZYCIU pewną ilość nowych piór, gro- no prelegentów do akcji odczytowej do wyjazdu w teren, gdzie zapotrzebowanie na takie imprezy jest żywe, zdolnych do wypełnienia programu interesująco i możliwie szeroko. Umożliwiłyby wreszcie wprowadzenie w życie często przez Papieża Piusa XII ponawianego polecenia, aby inteligencja katolicka coraz więcej i wydatniej przyczyniała się do naprawy świata piórem, czynem i przykładem życia. Takie zgalwanizowanie wysiłków wokół Klubu Inteligencji Katolickiej, której organem stałby się znów tygodnik ZYCIE, lub powiększony objętościowo i tematycznie miesięcznik, stałoby się może zaczął naprawy stosunków międzypokoleniowych na emigracji. Sprawna akcja terenowa i pewen rozgłos, który przyniosłoby prawdopodobnie takie „zjednoczenie” młodszych ze starszymi, przy młodszych z natury rzeczy bardziej bliskiej ostrości i drażliwości w stawianiu problemów i przy starszych większej równowadze i doświadczeniu życiowym, wyprowadziłyby nas z obecnego impasu.

Klub Inteligencji Katolickiej w Londynie winien objąć jak najszersze kręgi inteligencji polskiej poza Londynem i poza Anglią. Uważam, że istnieć powinno również członkostwo korespondencyjne aby fakt zamieszkiwania poza Anglią nikogo od udziału w tym dziele nie odsuwał. Jestem przekonany z rozmów prywatnych, że jest dużo osób, którym by taka inicjatywa odpowiadała i które by chętnie w takim celu wyszły ze swej dotychczasowej anonimowości. Przy sprzyjających warunkach mogłoby z czasem powstać Kluby w innych miejscowościach, gdzie skupiska polskie umożliwiałyby ich istnienie, przez co rozszerzyłby się zasięg akcji „KiK-U”. W mniejszych ośrodkach można by stworzyć grupy „Przyjaciół KiK”, którzy stałoby się propagatorami organu „KiK-U” — ZYCIA, organizowałyby zebrania, odczyty i dyskusje, na które zapraszać by mogli prelegentów i mówców poprzez centralę w Londynie.

Ażeby inicjatywa w powyższej lub innej formie wyjść miała poza ramy życzeń, trzeba by, dla zapewnienia jej życiowego startu, użyć pewnej reklamy. Notatki o formowaniu takiego klubu musiałoby się ukazać w głównych pismach emigracyjnych. Może warto by zrobić próbną sondaż opinii i upewnić się, czy takie przedsięwzięcie ma jakieś szanse. Jedną z najefektowniejszych form propagandy okazać się może jednak bezpośredni kontakt z osobami każdemu z nas bliżej znanymi. W międzyczasie powstać winien komitet organizacyjny, który by się zajął wypracowaniem ram organizacyjnych Klubu, skontaktował się z Hierarchią Kościelną oraz z organizacjami katolickimi na emigracji, tudzież wypracował program współpracy na najbliższą przyszłość z ZYCIEM, jako jego organem.

Drugą, palącą, jak mi się zdaje, sprawą, byłoby zorganizowanie w przyszłości, na przykład w okresie letnim 1959 roku, zjazdu młodszej inteligencji polskiej na emigracji, w celu przedyskutowania z przedstawicielami pokolenia starszego ram współpracy na polu kulturalnym, społecznym i politycznym. Zjazd ten musiałby skupić jak największą ilość absolwentów wszelkich fakultetów, byłych stypendystów Komitetu Oświaty, Uniwersytetu Wolnej Europy w Strassburgu, działaczy społecznych i szcze-

gólnie serdecznie wszystkich malkontentów z pokolenia młodszego. Umiejętnie poprowadzony, rzeczowy, pełen umiaru, wskazujący osiągnięcia i pomyłki po obu stronach, sugerujący nowe kanały dla wspólnej działalności na przyszłość, zjazd młodszej inteligencji emigracyjnej mógłby zakończyć długi okres nieporozumień i niechęci. Co więcej wciągnąłby do akcji rzeszę młodszych emigrantów, którzy w zmienionych warunkach, chętnie garnęliby się do pracy na wspomnianych polach. Szczególnie dokładnie trzeba by rozważyć w czasie zjazdu możliwości wykorzystania faktu, że wśród tej inteligencji ogromną przewagę mają ludzie o wykształceniu ścisłym. Znajdują się oni w znacznie trudniejszym położeniu niż ich koledzy humaniści, bo zapotrzebowanie na prace z zakresu ich specjalności jest na emigracji znikome. Można by jednak otworzyć im pole do popisu w dziedzinie zbierania materiału do prac informacyjno-naukowych i w dziedzinie tłumaczeń na język polski książek naukowych, do publikacji w Polsce. Aby zapewnić celowość zjazdu, program musiałby być doskonale opracowany i podany do wiadomości, aby dyskusja, której przypadałaby większa część czasu, była zwięzła, przemyślana, istotna i konstruktywna.

Organizacja takiego zjazdu młodszej inteligencji wymagałaby dużego nakładu pracy i szerokiej działalności przygotowawczej. Powstaje również problem finansowy i doboru miejsca. Sądzę, że w większości wypadków młodszy inteligencji mogliby te koszty pokryć z własnej kieszeni, ale nie jest to zupełnie wykluczone, że pewne fundusze na ten cel udałoby się uzyskać u swoich i obcych.

Rzucając te dwa projekty zdaję sobie sprawę, że dla wielu treść ich wydawać się będzie utopijna, godna wzruszenia ramion. Może winien temu będzie w części sam artykuł, w którym trzeba się niestety ograniczyć do podania niekompletnego schematu. Inni, zniechęceni kilkoma próbami porozumienia między pokoleniami, nie będą gotowi udzielić nowej próbie wystarczającego kredytu zaufania. Może jednak, znudzeni ciągłymi swarami, wykrzeszemy z siebie iskierkę zainteresowania i entuzjazmu, i wyciągniemy do siebie ręce. Oby nam w tym pomogła myśl, że jesteśmy już w drugim roku wielkiej Nowenny Narodu Polskiego w oczekiwaniu na Millennium naszego bytu państwowego i przynależności do chrześcijaństwa, i że rok ten jest poświęcony rozważaniu Łaski. A jak mawiał Bernanos: „Tout est Grâce”, (wszystko jest Łaską).

Zdzisław E. Wałaszewski

★

Redakcja ZYCIA w.t.a z zainteresowaniem propozycje przedstawione w artykule p. Z. E. Wałaszewskiego. Są one tym ciekawsze dla nas, że padły niezależnie od naszych uwag w czerwcowym numerze ZYCIA w artykule „PÓŁROCZE” (nr 6, str. 2):

„...W Kraju dokonywa się mobilizacja społeczeństwa katolickiego na ogromną skalę. Pomimo tylu zawiedzionych nadziei, kluby inteligencji katolickiej stają się siłownikami myśli i czynu. To hasło zjednoczenia dla roboty pozytywnej, policzenia się i zwielokrotnienia sił w zbiorowym działaniu — hasło „Klubu Inteligencji Katolickiej” powinno być podjęte na obczyźnie.”

Będziemy wdzięczni wszystkim zainteresowanym za wypowiedzi w tej doniosłej sprawie.

## O „POKOLENIU BEZ PRZYDZIAŁU”

Przeczytałem z zainteresowaniem artykuły pp. Ławrynowicza i Paszkiewicza. Chciałbym dorzucić kilka słów w dyskusji — ze stanowiska człowieka starego.

1) Nie należy przesadzać w dzieleniu ludzi na pokolenia, bo pokolenia mniej się od siebie różnią niż się to wydaje na pozór, a przemiany są zwykle stopniowe. W dzisiejszych stosunkach polskich przedziały są o tyle wyraźne, że w wyniku wojny i jej skutków ludzie wzrastali i kształtowali się w odmiennych warunkach, ale nawet ta odmienność warunków nie zmieniła faktu, że ludzie różnią się przede wszystkim wedle poglądów, ideologii, etyki itd.

2) Jeśli już mówimy o podziałach wedle wieku, pp. Ławrynowicz i Paszkiewicz mają rację rozróżniając dziś trzy polskie pokolenia: tych, co dojrżeli i uformowali się przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Obaj mówią głównie o średnim z tych pokoleń, do którego należą sami. Istotą problemu tego pokolenia jest to, że jest to kolenie zawiedzione i rozczarowane. Nie otrzymało ono w spokojniejszych czasach gruntowniejszej formacji ideowej i światopoglądowej, która dałaby mu busołą w zmienionych warunkach. Uformowało się ono nie pod wpływem myśli i idei, lecz pod wpływem samego tylko działania — w akcji konspiracyjnej i powstania w Kraju, oraz w emigracyjnych formacjach wojskowych, nie toczących samodzielnej polskiej wojny, lecz tylko uczestniczących w operacjach cudzych — i naiwnie wierzyło, że znaczenie i skuteczność jego czynów była dużo większa niż naprawdę. Życie wyprowadziło ich z błędu — i stąd kompleks niewiary w wartość i skuteczność jakichkolwiek poczynań, jakichkolwiek wysiłków i poświęceń i jakiegokolwiek idei przewodniej, a w związku z tym skłonność do zasklepienia się w sprawach życia prywatnego i w rezultacie bierność, a jeśli nie egoizm to coś, co jest do egoizmu bardzo podobne w skutkach.

3) Nie należy generalizować, mówiąc o młodych, ale nie należy także generalizować, mówiąc o starych. To nie stare pokolenie zbankrutowało, ale pewna polityka, której wyznawcy i uczestnicy są dziś licznie w polskim Londynie reprezentowani i są starzy. Zwolenników tej polityki nie brak także i między młodymi. A z drugiej strony wielu jest starych, także i w Londynie, którzy nie mają i nie mieli z tą polityką nic wspólnego.

Nazwijmy rzeczy po imieniu: zwłaszcza p. Ławrynowicz krytykuje, choć może nie ma świadomości tego, politykę i postawę romantyczno-powstańczą i jej nowoczesne wcielenie: obóz polityczny, który rządził Polską w latach 1926-1939, który sprawował władzę w A.K. i który przeważając liczebnie w korpusie oficerskim i w dyplomacji, wywierał faktycznie zawsze wpływ decydujący w „państwie na emigracji”. „Państwo na emigracji” jest w praktyce dalszym ciągiem systemu pomajowego w Polsce i, jeśli odgrywają w nim dziś jakąś rolę ludzie, którzy wyszli z przedwojennej opozycji, to tylko tacy, którzy podlegli procesowi asymilacji i którzy dziś tylko pozornie są czymś od obwozu pomajowego odmiennym. Ale to nie znaczy, że całe stare pokolenie w narodzie polskim, czy choćby tylko w „polskim Londynie”, składa się z byłych pułkowników ze

sztabu marszałka Rydza-Śmigłego i byłych członków przedwojennej politycznej „elity”.

P. Ławrynowicz pisze, że „pokolenie nasze... odrzuca mit walki zbrojnej, szaleństwo i bezcelowość powstań, kwestionuje celowość adorowania naszych klęsk i otaczania chmurkami glorii tego wszystkiego co jest żalonym wynikiem impotencji politycznego myślenia”. „Tylko Polacy... słabość swoją uważają za najwyższą cnotę. Z namaszczeniem obchodzą rocznice wielkich klęsk i nieszczęść narodowych.” „Kult powstań i konspiracji, wpływ hasła w rodzaju 'za naszą wolność i waszą spowodował, że Polacy biją się gdzie się da bezmyślnie i niepotrzebnie.” P. Ławrynowicz krytykuje także „cierpiętnictwo i tromtadrację”, oraz boleje nad nieposiadaniem przez nas „zdolności trzeźwego myślenia, ani rozumu politycznego, ani poczucia solidarności, ani znajomości świata i zrozumienia międzynarodowych gier, bez którego cała dawna i niedawna historia jest bajką dla grzecznych dzieci”.

Czy naprawdę p. Ławrynowicz sądzi, że tylko nowe pokolenie tak myśli? Mogłbym wynaleźć cytaty, w których myśli te wypowiedziane są niemal dosłownie tymi samymi słowami w książce mojej „Tragizm losów Polski”, wydanej 22 lata temu, w której na blisko 700 stronicach krytykowałem w sposób miążdzący nasze powstania XIX stulecia, zarówno jak politykę Piłsudskiego. I mogłbym te same myśli — z o wiele większym talentem wypowiedziane — zacytować z „Myśli nowoczesnego Polaka” Romana Dmowskiego, ogłoszonych blisko 60 lat temu. W książce „O wyjście z kryzysu”, ogłoszonej równo 20 lat temu, napisałem, że Polska idzie ku katastrofie i że ma przetrzącony kręgosłup. A na przestrzeni paru dziesięcioleci ogłosiłem serię książek, poświęconych rozważaniom nad historią Polski, w których starałem się powodować „trzeźwym myśleniem” i „rozumem politycznym”, wymagającym „zrozumienia międzynarodowych gier... itd.” (jak wyżej). — Czy p. Ławrynowicz czytał coś z tego wszystkiego? — Pojdejrzam, że nie.

Twierdziłem zawsze i nadal twierdzą, że powstanie Kościuski spowodowało trzeci rozbiór, a więc ostatecznie zlikwidowało polską państwowość, powstanie listopadowe zlikwidowało Królestwo Kongresowe, powstanie styczniowe utrwaliło naszą niewolę na dalsze pół wieku, próby powstańcze Piłsudskiego w 1904, 1905 i 1914 tylko dłużej nie przeskoczyły odbudowaniu w 1918 niepodległej Polski, ponieważ się nie udały, a powstanie warszawskie 1944 i ruchawka partyzancka A.K. w 1943 były co najmniej niepotrzebne. Twierdziłem także, że powstania 1794 i 1830 były w interesie rewolucji francuskiej, a powstanie 1863 w interesie Bismarcka. Twierdzą również, że powstanie węgierskie 1956 nie było zrobione w interesie Węgier i że Polsce groziło wówczas to samo.

Ale twierdziłem także zawsze, że powstanie pomorskie 1454 przeciwko Krzyżakom, polskie powstanie katolickie w 1655 przeciwko Szwedom, oraz powstania lwowskie i poznańskie w 1918 były konieczne i całkowicie udane. Uważałem także współcześnie i uważam po dziś dzień, że A.K. była formacją potrzebną, bo mogło się tak zdarzyć (na przykład w razie alianckiego desantu na Bałkanach i ofensywy na Węgry), że powstanie w Polsce przeciw Niemcom, będzie mieć

szanse, a w takim razie trzeba je będzie zrobić, a więc mieć do tego potrzebne narzędzie. Nie należy wpaść w przesadę. Polska „ideologia powstańcza” jest ideologią chorobliwą i obłądną, za którą się przeważnie kryją obce agentury, służące interesom obcym nam, a często wrogim, ale powstanie narodowe, tak samo jak wojna, jest czasem rzeczą konieczną. Nie należy szafować krwią w sposób bezmyślny i głupi. Ale naród, który w decydującej chwili nie jest zdolny do poświęceń i nie jest gotów się bić, nie dla demonstracji, ale dla zwycięstwa, nie jest wart niepodległości.

P. Ławrynowicz pisze o klęsce militarnej 1939 i klęsce politycznej 1945 roku, które złamały stare pokolenie, trzymające się psychicznie „obrazu Polski przedwrześniowej”. To nie jest sformułowanie ściśle. Dla mnie na przykład główna klęska przypada na rok 1938, gdy Polska przyłożyła rękę do obalenia Czechosłowacji a tym samym do obalenia systemu wersalskiego w Europie i stworzenia tej sytuacji, której nieuchronną konsekwencją był upadek także i Polski. Stoczyłem na wiosnę 1938 walkę o to, by się takiemu kierunkowi polskiej polityki przeciwstawić, ale walkę tę przegrałem; miałem wtedy lat 35, a więc byłem, przypuszczam, mniej więcej rówieśnikiem autorów. Po klęsce politycznej 1938 nie miałem już wątpliwości, że przyjdzie katastrofa polityczno-wojenna. Klęska wrześniowa przerosła moje oczekiwania swoim tempem, a po części i swoimi rozmiarami, ale nie była dla mnie niespodzianką co do swej istoty. Co się zaś tyczy roku 1945, to patrząc nań z perspektywy historycznej, był on rokiem poprawienia się, a nie pogorszenia położenia Polski, choć poprawa ta była dużo mniejsza, niż można było mieć nadzieję. Bądź co bądź, w 1945 r. odzyskaliśmy byt państwowy, a więc doczekaliśmy się przekreślenia rozbioru. Otrzymanie Wrocławia i Szczecina było dla nas nawet wielkim tryumfem. Ziemi Wschodnich nie odzyskaliśmy, tak samo jak nie odzyskaliśmy pełnej suwerenności. Ale nawet na wschodzie odzyskaliśmy rzeczy drobne, lecz nie pozbawione znaczenia: Przemyśl, Łomżę, Białystok.

Uwaga nawiasowa przy tej okazji: nasze osiągnięcia 1945 roku nie zrobiły się same. Gdyby nie nasze wysiłki lat 1939-1945, sytuacja nasza byłaby z pewnością gorsza. To też nie należy za bardzo biadać nad stratami poniesionymi przy zdobywaniu „sławnej dzisiaj góry” Monte Cassino. Wagi bitwy pod Monte Cassino nie należy przeceniać, ale nie można również twierdzić, że poniesione w niej straty poszły całkiem na marne. Także i wawóz Somosierry nie był rzeczą niepotrzebną. Był on fragmentem akcji współpracy z Napoleonem, której owocem było w latach 1807-1813 Księstwo Warszawskie, a w latach 1815-1831 Królestwo Kongresowe, bądź co bądź duża poprawa położenia w porównaniu do lat 1795-1807. I to pomimo, że Napoleon ostatecznie przegrał.

Co do naszej tęsknoty za „obrazem Polski przedwrześniowej”, jest to tęsknota tylko częściowa. Jeśli idzie o mnie, to tęsknię za Lwowem, Wilnem, Pińskiem, Krzemieniem, Nowogródkiem, Grodnem, Okopami Świętej Trójcy, tęsknię także za dawną, tak niepotrzebnie zburzoną Warszawą. Ale nie tęsknię za zachodnią granicą Polski przedwrześniowej, za chorągwią ze swastyką na

ratuszu wrocławskim, a nawet na ratuszu gdańskim, za rolę kapitału niemieckiego i żydowskiego w przemyśle śląskim i łódzkim, za Berezę Kartuską, oraz za polityką Piłsudskiego i Becka.

4) Zniechęcenie do operetkowej strony życia politycznego na emigracji nie może być powodem do odsuwania się od życia emigracji w ogóle. To nie tylko starzy, ale także i młodzi są emigracją. „Państwo na emigracji” stało się dziś operetką, ale emigracja jest realnym faktem. Znaczenie tego faktu w życiu narodu jest wcale niemałe. Po pierwsze, jesteśmy masą ludzką i masa ta, z przyczyn historycznych, których nie odrobimy, żyje tutaj i ze zbiorowości narodu nie ma powodu być wykreśloną; jej życie jest życiem części narodu i to zgoła niemałe. Po wtóre, życie Kraju jest skrepo-

wane i niepełne i dlatego musi być uzupełnione tym co się robi i dzieje na emigracji. Wiemy o tym jaką rolę odegrała w życiu polskiego narodu emigracja, której członkami byli Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Chopin, Lelewel, Czartoryski i inni. Od nas zależy, czy chcemy i potrafimy wnieść... wkład w życie Polski... I nie opowiadamy, że wynarodowienie jest dla emigracji koniecznością nieuniknioną. Po listopadowym Adampol dotąd jest wsią na wskroś polską. A Żydzi potrafili przetrwać na emigracji prawie 2000 lat. — Nie chcę tu powtarzać artykułów o roli emigracji, jakie ogłosiłem w paryskich „Horyzontach”.

5) Pokolenie rówieśników pp. Ławrynowicza i Paszkiewicza miało początki trudne, było opóźnione w studiach, było wytracone z równowagi przebytymi przejściami i peł-

nymi poświęceń wysiłkami, było wreszcie rozczarowane i rozgoryczone — i dlatego jest rzeczą zrozumiałą, że się odsunęło od życia zbiorowego i poświęciło sprawom prywatnym. Ale od zakończenia wojny minęło lat 13. Czas już, by swój „urlop” uznało za zakończony i wróciło do czynnego udziału w zbiorowym życiu polskim. Oczywiście, udziału w takiej formie i na takich polach, jakie wedle rozumu swego uważa za rozumne i słuszne.

6) Pokolenie to nie jest młodzieżą. Ojciec wie dzieciom, 13 lat temu zdemobilizowani z szeregów sił zbrojnych, nie są młodzieżą, lecz pokoleniem dojrzałym. Zagadnienie młodzieży jest zagadnieniem odrębnym, nie mającym ze sprawami tego pokolenia nic wspólnego.

Jędrzej Giertych

## NASZE SPRAWY

# POWOŁANIA KAPŁAŃSKIE

Jak wygląda polski katolicyzm w porównaniu do katolicyzmu innych krajów? Lepiej, czy gorzej? — Jest to pytanie, które polscy katolicy często sobie stawiają.

Na pytanie to trudno dać odpowiedź krótką i wesołą, bo sprawa jest skomplikowana. Z jednej strony każdy, kto zna Polskę i naród polski, wie o głębokiej wierze polskiego ludu, o sięgającej granic mistycznych modlitwie tego ludu np. u stóp Jasnej Góry czy Ostrej Bramy, oraz o tradycyjnych wartościach polskiego katolicyzmu, jego instynktownej mocy i niezłomności, które wyraźnie górują nad trochę zracjonalizowanym i ziemskim, przeciętnie dużo mniej mającym w sobie elementów mistycznych katolicyzmem zachodnim.

Z drugiej strony, wystarczy choć trochę poznać zarówno inteligencję polską, jak inteligencję katolicką zachodnią, by stwierdzić przez porównanie, że poziom zarówno intelektualny jak moralny polskiego katolicyzmu warstw górnych i średnich (łącznie z półinteligencją) jest niesłychanie niski. Wiedza religijna przeciętnego polskiego lekarza, prawnika, inżyniera, nauczyciela, starosty, czy oficera, tytułującego się bez zająknięcia katolikiem, jest w porównaniu do jego odpowiednika na Zachodzie rozbrajająca nikła. (Proszę sobie wyobrazić polskiego pułkownika lotnictwa, przychodzącego do księgarni po to, by kupić cały stos książek z dziedziny teologii i filozofii katolickiej, oraz rozmyślań pobożnych, dla swego kasyna oficerskiego! W angielskiej księgarni, w której pracuję, jestem do takich wizyt przyzwyczajony.) A moralność? — Wystarczy wymienić liczbę rozwodów wśród polskiej inteligencji rzekomo katolickiej oraz przypomnieć sobie pojęcia polskiej inteligencji o zagadnieniu środków zapobiegających zapłodnieniu i wyobrażenia polskiej młodzieży na przykład oficerskiej o tym, co wolno jest nieznanemu mężczyźnie w postępowaniu wobec kobiety. Nie da się zaprzeczyć, że katolicyzm polski w swej odmianie inteligentycznej (w dużym zresztą stopniu oddziałującej i na lud) stoi w porównaniu do katolicyzmu zachodniego na poziomie XIX stulecia.

Wielu Polaków nie potrafi tego zrozumieć. Ale może zrozumienie ułatwi zapoznanie się z mało znanym faktem, mianowicie ze statystyką duchowieństwa w różnych krajach, a więc z rezultatem liczebności lub szczupłości liczebnej powołań.

Wedle ogłoszonej niedawno statystyki wypada w Polsce 1 ksiądz na 1.650 osób lud-

ności katolickiej. Porównajmy to z innymi krajami.

W Portugalii proporcja ta wynosi 1 na 1.599, na Węgrzech 1 na 1.226, a w Niemczech 1 na 1.015.

Ale we Francji 1 ksiądz wypada na 766 katolików, we Włoszech 1 na 757, w Stanach Zjednoczonych 1 na 696, w Holandii 1 na 605, w Irlandii 1 na 597, w Kanadzie 1 na 510, w Belgii 1 na 498, w Anglii 1 na 465 (w Szkocji 1 na 686, a w Walii, kraju przeważnie misyjnym, 1 na 290), w Szwajcarii 1 na 430, na Malcie 1 na 317.

Oznacza to, że opieka duszpasterska nie może być w Polsce tak dobrze zapewniona jak w większości krajów „zachodnich”. Nie raz chwalimy się tym, że w Polsce kościoły są pełne, a w Anglii pozornie puste. Ale wynika to także stąd, że w Polsce jest za mało kościołów, za mało księży i w rezultacie za mało Mszy, a więc ludzie muszą się bardziej tłoczyć. Aby dobrze uczestniczyć w nabożeństwie, trzeba mieć siedzące miejsce (kazania na przykład wysłuchiwać siedząc), trzeba mieć dość miejsca na to, by móc swobodnie klęczeć, trzeba wszystko dobrze widzieć i słyszeć, trzeba nie być zmuszonym do rozpychania się łokciami, trzeba mieć łatwy dostęp do Komunii św.

To nie jest zresztą tylko zagadnienie Mszy. To jest także zagadnienie częstego spowiadania się, czy tylko raz na rok, czy też raz na miesiąc, lub nawet raz na tydzień, to jest długość ogonków do konfesjonau i w związku z tym pośpiech spowiedników, nie mogących starannie każdego penitenta wysłuchać i potraktować bardziej indywidualnie. To jest również czas, jaki ksiądz ma na czytanie, na pogłębianie swej wiedzy, na lepsze opracowywanie kazań. To jest wreszcie kontakt księdza z parafianami, udział w organizacjach społecznych, bractwach, kołach młodzieży, wykłady, zebrania.

To prawda, że istnieje kraje, w których sytuacja jest jeszcze gorsza niż w Polsce. W Chile 1 ksiądz wypada na 2.878 wiernych, w Argentynie 1 na 3.568, w Meksyku 1 na 4.473, w Brazylii 1 na 6.018, a w Guatemali nawet 1 na 11.091. Ale to są wszystkie kraje, w których Kościół jest w ruinie. W krajach tych od 150 lat rządzi masoneria, są to kraje, które wszystkie przeszły przez okresy prześladowań religijnych i nie podźwignęły się jeszcze z nich, kraje religijnie często wręcz zdziczałe, o kościołach rozsypanych w gruzy i porośniętych zielskiem, o odradzającym się pogaństwie wśród ludności tubylczej, pozbawione po-

wołań, klasztorów, szkół, nauki religii. W niektórych z tych krajów, w bardziej zaopieczonych okolicach, ludzie widują księdza raz lub parę razy w życiu, zawierają związki małżeńskie i odbywają chrzciny bez księży, nie spowiadają się i nie bywają na Mszy. Oblicza się, że w Ameryce Łacińskiej potrzeba jest natychmiast 70.000 księży ponad tę ilość, która już tam jest. Ameryka Łacińska stała się z powrotem krajem misyjnym, zasilanym przez księży nie tylko z Hiszpanii czy Irlandii, ale nawet z protestanckich w większości Stanów Zjednoczonych.

Nie zapominajmy przy tym, że kraje takie jak Irlandia, Belgia, Holandia, a nawet Francja, Anglia, Stany Zjednoczone, Włochy, utrzymują w świecie ogromną liczbę misjonarzy. Bez wszelkiego porównania większa, proporcjonalnie, niż Polska! Także i liczbę misjonarzy trzeba więc dodać do liczby księży, jakich dany kraj z siebie wydał.

Czego dowodzi mała liczba księży? Dowodzi małej liczby powołań. A czego dowodzi mała liczba powołań? Dowodzi oziębłości katolickiego środowiska.

W Anglii, w Stanach Zjednoczonych, we Francji, czy w Belgii zostać księdzem — to jest duże poświęcenie, ale w Polsce nie zawsze tak było, a nawet nie zawsze i nie wszędzie i dzisiaj tak jest. Dla synów licznych kategorii ludności wiejskiej w Polsce powołanie kapłańskie oznaczało awans społeczny, poprawę (niezwykle bardzo znaczną) położenia materialnego, zapewnioną egzystencję i stanowisko. Korzyści te w dużym stopniu łagodziły ofiarę, jaką stanowiło zrezygnowanie z możliwości założenia rodziny. Proszę mnie fałszywie nie rozumieć: jestem jak najbardziej daleki od solidaryzowania się z twierdzeniem antykatolickiej propagandy o „zmaterializowaniu” polskiego duchowieństwa wiejskiego i o nieszczerości powołań. Twierdzenia te mogą być uzasadnione w odosobnionych wypadkach, są jednak bez wszelkiej wątpliwości nieuzasadnione ogólnie. Motywy wstąpienia do seminarium niejednego polskiego (a tak samo irlandzkiego, czy włoskiego) chłopskiego syna mogą być skomplikowane, stanowiąc mieszaninę szczerego powołania z ambicją, a nawet i z rachubami materialnymi, w sumie jednak, człowiek zostający księdzem wie, jakie na siebie bierze obowiązki i spełnia potem te obowiązki lojalnie i z przekonaniem.

Ale jest faktem, że niejednym z tych, którymi choć trochę powoduje ambicja i nadzieja na spokojny i względnie dostatni żywot, być może cofnąłby się przed wstąpieniem do seminarium, gdyby wiedział, że nie poprawi przez to, lecz pogorszy swój byt

materialny i swe widoki życiowe. Otóż spójrzmy na chłopca zostającego księdzem w Anglii! Ma on maturę, a więc mógłby pójść na uniwersytet, zostać świetnie płatnym inżynierem, chemikiem, fizykiem, zostać lekarzem, prawnikiem, a choćby nauczycielem. Powodziłoby mu się sto razy lepiej niż księdzu. Ale on zostaje księdzem. Klepie biedę. Wyjeżdża na jeszcze większą biedę — na misje.

Księża w Anglii — to są z reguły synowie rodzin mieszczańskich, inteligentnych, robotniczych. Prawie nie ma w Anglii powołań wiejskich tego typu, co w Polsce. To-

też 1 ksiądz na 465 katolików w Anglii to jest dowód większego urodzaju na najbardziej szczerze powołania, niż było 1 na 465 w Polsce. A przecież w Polsce 1 ksiądz wypada nie na 465, lecz na 1.650 katolików!

Dlaczego liczba duchowieństwa jest w Polsce proporcjonalnie tak mała? Dlatego, bo bardzo mało mamy w Polsce żarliwej, prawdziwie katolickiej inteligencji. Powołania nie wśród synów niezbyt pobożnych rodziców jest rzeczą tylko wyjątkową. Normalnie, powołania rodzą się w rodzinach pobożnych, w rodzinach takich, w których rodzice cie-

szą się, że syn idzie na księdza, a nie marwią się tym i nie usiłują mu tego wyperśwadować. Normalnie także — w rodzinach liczych.

Czy dużo jest takich rodzin wśród polskiej inteligencji? Czy dużo jest matek i ojców wśród tej inteligencji, którzy ucieszyliby się z tego, że syn idzie na księdza, a nie zmarli tym? Myślę, że niedużo.

Polski katolicyzm posiada jedną wielką piętę Achillesa. Jest nią polska inteligencja.

Polonus

## ŻYCIE KOŚCIOŁA

# Ojczyzna ludzka i wieczna

(Z PRZEMÓWIEN OJCA ŚWIĘTEGO)

### Patriotyzm

„...Spotykamy dziś nieraz obywateli, którzy jakby się obawiali okazać swe szczególne oddanie ojczyźnie. Jakoby miłość do własnego kraju łączyła się koniecznie z pogardą dla innych krajów, jakoby naturalne pragnienie, by widzieć własną ojczyznę piękną, kwitnącą dobrobytem, cenioną i szanowaną przez obcych, miało koniecznie powodować niechęć do innych narodów. Nie brak nawet takich, którzy unikają słowa ojczyzna...“

„...Można by powiedzieć, że Włochy nie należą do samych tylko Włochów, gdyż należą one do wszystkich narodów... Prawo rzymskie jest dziedzictwem ludzkości; filozofia tomistyczna, narodzona we Włoszech, jest najpowszechniejszą ze wszystkich filozofii, gdyż przedstawia i wyjaśnia hierarchię bytu; „Boska Komedia“ jest poematem zarówno narodowym i powszechnym jak ludzkość zebrana w trwodze w oczekiwaniu Sądu Ostatecznego jest najwyższym wyrazem sztuki Michała Anioła. Dodajmy, że kultura grecko-italijska jest początkiem kultury europejskiej, a więc i kultury nowoczesnej...“

### Ojczyzna i świat

„...Jest tylko jeden słuszny pogląd na świat przy utrzymaniu równocześnie miłości do prowincji i ojczyzny: trzeba sobie uświadomić jedyną najwyższą rzeczywistość: Kościół.“ (23 marca 1958)

### Światłość świata

„Człowiek tylko przez Chrystusa i w Chrystusie osiągnie osobistą doskonałość; ...przez Chrystusa i od Chrystusa człowiek będzie miał pełność i doskonałość życia, przedtem jeszcze, nim powstaną na horyzontach wiecznych nowe niebo i nowa ziemia... Nie może być prawdy, dobroci, harmonii i życia, które nie brałyby początku z Chrystusa, nauczyciela, podpory i przykładu ludzi. O, gdyby uznali oni rzeczywistość słowa Chrystusowego «Jestem światłością świata» i przyjęli je w całej jego rozciągłości, która nie zna granic ni ograniczeń, i wystawili na Jego Boskie promienie umysły i serca — jakież życie, jakaż pogodna nadzieja zakwitłaby na tym naszym padole!“

„Światła Chrystusowego depozytariuszem jest Kościół przez Niego założony i wspomagany, a więc w prawdziwym znaczeniu «światłość ze światłości», rzeczywistość widzialna i wieki, równocześnie ludzka i Boska, doczesna i wieczna. Temu «miastu na górze leżącemu» (Mat. 5, 14) Chrystus

powierzył «potwierdzoną mowę Proroków, której trzymając się jako świecy w ciemnym świecącej miejscu, dobrze uczynicie» (2 Piotr 1, 19)...“ (6 kwietnia 1958)

### Cel ostateczny

„...Wyraz «osobowość» spotyka się dzisiaj prawie wszędzie, ale w różnych znaczeniach... My definiujemy osobowość jako «jedność duchowo-cieleśną człowieka, ustaloną i rządzoną przez duszę»...

Najważniejsze cechy osobowości z punktu widzenia moralnego i religijnego są następujące:

a) Człowiek jest całkowicie dziełem Stwórcy...

b) ...Człowiek może i ma obowiązek doskonalić swoją naturę, nie jak on ją rozumie, lecz według planu Bożego. Ażeby dokończyć obrazu Boga w swej osobowości, nie powinien iść za swymi instynktami, lecz za normami obiektywnymi... Kto zaniedbuje lub lekceważy normy obiektywnego porządku moralnego, zdobydzie tylko zniekształconą i niedoskonałą osobowość.

c) ...Stwierdzenie odpowiedzialności i wolności jest również istotne dla osobowości...

d) Wreszcie ażeby dobrze pojąć osobowość, nie można pominąć aspektu eschatologicznego. Dopóki człowiek żyje na ziemi, może chcieć dobra jak i zła; ale dusza, gdy raz odłączy się od ciała przez śmierć, pozostaje utrwalona w skłonnościach nabytych w czasie życia. Z punktu widzenia moralnego i religijnego, elementem decydującym w strukturze osobowości jest właśnie postawa zajęta przez osobowość w stosunku do Boga, celu ostatecznego wyznaczonego jej przez samą naturę...“ (10 kwietnia 1958)

### Miłość Boga

„...Nie jest to ani lęk, ani żal, ani nawet roztrąpaność, które zaludniają samotnie klasztorów. Jest to miłość Boga. Czy to będzie wśród wielkich miast nowoczesnych, w najbogatszych krajach, czy na równinach Gangesu lub w lasach Afryki, jakimż zwycięstwem Wszemocnego, jaką chwałą dla Zbawiciela są dusze gotowe do poprzestania przez całe życie na adoracji i wychwalaniu, które poświęcają się chętnie dziękczynieniu i orędownictwu, które bez przymusu czynią się rekojmnią ludzkości wobec Stwórcy, opiekunami i orędownikami swych braci u Ojca niebieskiego! A życie klasztorne nie jest w swej istocie niczym innym.“ (11 kwietnia 1958 r.)

## SPRAWIEDLIWA OBRONA

Intencje Kościoła zostały wyłożone w przemówieniu Ojca św. do kierowników Kolegium Studiów Obronnych Paktu Północno-Atlantyckiego:

„... Jest prawdą, że św. Piotr podniósł swój głos ostrzeżenia, by być wstrzeźliwym i czuwać, bo wróg kraży, jako lew ryczący, szukając kogo by pożarł (por. 1 Piotr 5, 8). A św. Paweł radził Efezjanom, by przyoblekli się w zbroję Bożą, aby mogli się ostać przeciw zasadzkom diabelskim. „Albowiem prowadzimy walkę nie z ciałem i z krwią, ale... przeciw złym duchom w przestworzach niebieskich“ (por. Efez. 6, 11-12).

Ale mieli oni na myśli walkę człowieka przeciw wrogom Boga, o zbawienie swej nieśmiertelnej duszy. Ta walka w porządku ducha trwać będzie aż do skończenia czasu, każdego dnia i każdej godziny, lecz każdy człowiek musi osobiście czuwać, by obronić się, jeśli nie chce być pokonanym. Cel waszego kolegium jest zupełnie inny. Zmierza on do pouczenia was, jak być czujnym na atak waszych bliźnich na tym świecie.

Czyż to nie smutne, gdy rozważa się, że taka obrona jest konieczna? że człowiek chce obrabować człowieka z jego praw, które są wszak naturalnym wpływem wrodzonej godności jego osoby, godności uświetnionej nieskończeniem przez wartość, jaką jej nadał Boski Odkupiciel? Czy nie należałoby oczekiwać, że wszyscy członkowie wielkiej rodziny ludzkiej będą szczęśliwi we wspólnym uczestnictwie w swym osobowym prawie, wcześniejszym od jakiegokolwiek państwa, w wypełnianiu swych świętych obowiązków wobec swego Stwórcy, jak również w swym narodowym prawie do rozwoju ich własnej kultury i charakteru, wolni od widma wrogiej im mocy?

Jednak trzeba spojrzeć w oczy rzeczywistości — oto odpowiedź. Tak, to prawda, ale równocześnie z ufnością i rozsądnym optymizmem trzeba pracować w oczekiwaniu dnia, kiedy to opieka i obrona będą mogły być zapewnione przez minimum siły, i gdy Prawda i równa dla wszystkich sprawiedliwość staną się przewodnikami, jakich wytrwale trzymać się będą ci, których wielkim obowiązkiem jest prowadzić ludzi do najwyższego celu trwałego pokoju. Prawda i równa dla wszystkich sprawiedliwość — jakżeż to drogie i uszlachetniające, lecz jak puisto te słowa brzmią dla tych, co nie wierzą w Boga.

Oby, więc, Bóg zechciał przyspieszyć brząsk tego dnia, kiedy to wszyscy ludzie składają Mu będą hołd swej wiary i miłości. Kuć będą ogniwo, które złączy ludzi w harmonii i pokoju...“

# „CIVITAS DEI” W BRUKSELI

## TEOCENTRYCZNY HUMANIZM KOŚCIOŁA

Gdy inicjatorzy światowej wystawy w Brukseli w roku 1958 zwrócili się do Papieża Piusa XII, jako głowy Città del Vaticano, z propozycją, aby Stolica Apostolska wzięła w wystawie udział, Ojciec chrześcijaństwa wyraził swą zgodę na udział Kościoła po raz pierwszy w tego rodzaju czysto świeckiej imprezie. Samo bowiem założenie wystawy brukselskiej domagało się udziału Stolicy Piotrowej, gdyż uwypukla ono nieodzowność humanizacji współczesnych osiągnięć cywilizacyjnych, a więc położenia fundamentu moralnego pod nie, oraz wskazuje na znaczenie współpracy wszystkich narodów w budowaniu nowego, lepszego ładu. Ten program, oparty na uznaniu godności i roli człowieka płynącej z jego ostatecznego przeznaczenia realizuje najpełniej Boża społeczność Kościoła, która też pragnie ukazać swe działanie w świecie.

Obecność Kościoła w budowaniu nowego ładu ujawnia najwymowniej pontyfikat Piusa XII, który często i autorytatywnie zabiera głos we wszystkich aktualnych zagadnieniach moralnych naszej gorączkowej i pełnej komplikacji epoki.

## WSPÓLPRACA WSZYSTKICH

Komisarzem Stolicy Apostolskiej dla wystawy został dyplomata belgijski Paul Heymans, a sekretarzem generalnym o. Jan Joos, C.I.C.M., dyrektor flamandzkiej radiostacji katolickiej, dawniej kierujący radiofonią katolicką w Chinach. Jemu to głównie zawdzięczamy doktrynalne opracowanie tego, co nazwiemy „tematem” pawilonu, nazwanego „Bożą Społecznością” — „Civitas Dei”.

We wszystkich krajach katolicy potworzyli miejscowe komitety udziału w wystawie. Rozpoczęto też wszędzie zbiórkę na pokrycie kosztów udziału w wystawie, które wynoszą ponad 2 miliony dolarów; trwa ona zresztą nadal na wystawie. Główny udział we wzniesieniu i urządzeniu pawilonu przypadł gospodarzom Belgom, potem Holendrom, Francuzom, Niemcom, Włochom, Austriakom, Anglikom, jakkolwiek nie zabrakło wielu innych narodów z różnych części świata. Niestety, wśród nich nie było Polski ani w pawilonie katolickim ani na wystawie ogólnej, w której reprezentowane są 53 narody.

## CZŁOWIEK POTRZEBUJE BOGA I KOŚCIOŁA

Doktrynalny plan pawilonu ujęto w dwu rzutach myśli:

Pierwszy z nich — zasadniczy — wskazuje jak człowiek współczesny rozpaczliwie poszukuje sensu życia, który się zatracił wśród nieszczęść trapiących ludzkość, pomimo wielkiego postępu materialnego. Człowiek szuka swego celu, a więc swego Stwórcy - Boga, ale i Bóg wyciąga rękę do człowieka, zsyłając mu swego Syna, który żyje wśród nas, naucza, cierpi i umiera za nas, wstaje z martwych i zsyła nam swego Ducha, pod którego kierownictwem dalej przez wieki prowadzi dzieło Zbawiciela — założona przez Niego społeczność Kościoła.

Drugi rzut — praktyczny — ukazuje znaczenie i wpływ Kościoła Bożego w rozmaitych dziedzinach życia człowieka i całej ludzkości, a zatem w zakresie misyjnym, w dziełach miłosierdzia, w rodzinie i zawo-

dzie, w wychowaniu człowieka, w całej problematyce społecznej i gospodarczej, w kulturze, nauce i sztuce, w zakresie stosunków międzynarodowych i w dziele pokoju, w zakresie techniki szerzenia Prawdy itd.

## PAWILON „CIVITAS DEI”

Na tym planie oparto rozkład właścivego budynku wystawowego w pawilonie. Cały pawilon, pomyślany w kształcie starożytnego miasta, otoczonego wysokim na 15 m białym murem, z przerwaniami na wejścia i jednym wielkim przepustem dla światła, jest dziełem zespołu architektów pod kierunkiem Paul Rome, absolwenta architektury na uniwersytecie katolickim w Louvain.

Pokrywając przestrzeń prawie 15 tysięcy m kw., pawilon założono na olbrzymiej literze V. Na samym proździe, w ostrym jego kącie umieszczono „gospodę dla pielgrzymów”. Na rogu dziedzińca przed wejściem wznosi się kratowa konstrukcja wysokiej wieży z wielu dzwonami, tzw. carillon.

Założony na trapezie budynek wystawowy pawilonu ma trzy piętra. Parter stanowi jedna wielka hala, w dwu miejscach przetrwana wysokimi, sięgającymi aż do oszkłonego dachu westybulami. W tej hali uwidoczniono to, co wyraża pierwszy rzut planu doktrynalnego.

Wchodzącego uderza wizja „ran świata”, ukazanych w całym ich realizmie. Wszystkie stare i nowe nędze ludzkie wołają o jakieś rozwiązanie. Ale szczęście człowieka zależy od jego stosunku do Boga. I tak wyłania się problem przeznaczenia człowieka, stworzonego przez Boga, odkupionego przez Chrystusa i prowadzonego przez wieki ku swym celom ostatecznym przez Kościół, który jest przedłużonym dziełem Wcielenia Boga w ludzkość. Oglądamy zatem w skrótach dzieje stworzenia, potem życie Odkupiciela i Jego misję, w końcu narodziny i posłannictwo Kościoła. W pierwszym westybulu olbrzymie malowidło ściennie pokazuje stworzenie człowieka, w drugim panuje modernistyczna rzeźba Chrystusa zmartwychwstałego, wykonana z oksydowanego aluminium, dzieło znanego w Anglii węgierskiego rzeźbiarza A. Fleischmanna i dar katolików brytyjskich.

## ODPOWIEDZ KOŚCIOŁA

Z końca wielkiej hali prowadzi schody do sal rozłożonych na trzech piętrach i zwiedzający przechodzą od zagadnienia do zagadnienia, które razem tworzą konsekwentną i logicznie powiązaną całość. Następne więc zagadnienie to rola Opoki Piotrowej jako fundamentu Kościoła. Papież wywierają wpływ na życie duchowe ludzkości i na jej kulturę, zwłaszcza społeczną. Imponująco wygląda dorobek Piusa XII, przedstawiony w postaci 18 grubych tomów jego przemówień, encyklik, listów i oświadczeń.

Z kolei widzimy jak ewangelizacja ogarnia świat i jaki wpływ wywiera na wiele dziedzin życia Dobra Nowina. W następnym dziale zilustrowano plastycznie aktualność przypowieści o miłosernym Samarytaninie i jej współczesne zastosowania praktyczne. Opiekę Kościoła nad nauką ukazują: Papińska Akademia Nauk, Biblioteka Watykańska, Obserwatorium Astronomiczne w Casted Gandolfo i uniwersytety katolickie w tyłu krajach świata. Patronat Kościoła nad sztuką zaznacza wystawa arcydzieł malar-

skich na temat Chrystusa, nazwana „Imago Christi”, na której znalazły się obrazy ze skarbów sztuki w Watykanie i z innych krajów.

W zakresie problematyki społecznej akcent położono na wpływ Kościoła na życie rodziny i zawodu, podkreślając zarazem iż trzeba zaspakajać zarówno potrzeby duchowe jak i materialne rodziny. Całość dzieła społecznego ogarnia hasło: „Vos estis omnes fratres” — „Wszyscy jesteście braćmi”. Widzimy dalej, że Kościół jest przewidującym wychowawcą człowieka od kolebki do grobu, przygotowując go do życia społecznego na ziemi i kierując do życia wiecznego.

W końcu wykazano, iż w głoszeniu Bożej Prawdy posługuje się Kościół wszystkimi nowoczesnymi środkami przekazywania myśli ludzkiej. Programy religijne w radiu i telewizji, prasa i książka katolicka, informacja i dokumentacja znalazły tutaj swe miejsce. Wśród oddziałujących na człowieka wpływów Kościół uczy wybierać właściwe.

Nie pominięto i wielkich międzynarodowych organizacyj katolickich. Symbolem Kościoła Milczenia jest rekonstrukcja starożytnych katakumb rzymskich, a aktualnym wyrazem jego losów są pokazane postacie biskupów więzionych w wielu krajach środkowo-wschodniej Europy i Dalekiego Wschodu. Słowa modlitwy Piusa XII za Kościół prześladowany wołają ze ściany o pomoc dla cierpiących braci.

## TRYUMF SZTUKI I PLASTYKI

Na wkroś nowoczesna metoda wystawy działa silnie na wyobraźnię, pomagając utrwać wrażenia w pamięci zwiedzającego. Środkami jej są obrazy, rzeźby, olbrzymie powiększenia fotograficzne i uderzające fotomontaże, a przy nich hasła, krótkie informacje i daty. Nowa technika zmienia i wyprzedza wszystko, co dotychczas było stosowane na największych wystawach katolickich.

Po przejściu całej wystawy widz schodzi znów do wielkiej hali, a przeszedłszy ją wzdłuż po raz drugi, idzie na dziedziniec i staje przed wysoką ścianą szczytową, którą wieńczy wielki krzyż wznoszący się ponad 70 m nad całą wystawą. Do kościoła wchodzi się od tyłu, od jego najniższej strony. Już od wejścia podłoga opada z wolna w dół aż ku stojącemu w głębi i doskonale zewsząd widzialnemu prostemu ołtarzowi z kamienia pod kulistym baldachimem wspartym na czterech smukłych kolumnach z brązu. Od niskiego wejścia podnosi się ku górze jedyny w swym rodzaju dach, wiszący na linach stalowych jak dach namiotu, zaczepiony wysoko o szczyt kościoła. To rozwiązanie oparto na wzorach szwedzkich, zamykając z boków przestronną nawę tylko słupami przyporowymi, między którymi rozpościerają się wielkie przestrzenie szkła, zdobne w barwne abstrakcyjne kompozycje.

Świątynia Christi gloriosi, promieniującego chwałą, jest przestronna i przejrzysta, jasna i radosna jak świat przez Boga stworzony. Z namiotowego stropu zwisają ozdobne lampy. Abstrakcyjne ujęte stacje Drogi Krzyżowej są z niebieskiej emalii.

W korytarzu przykościelnym znajduje się sześć ołtarzy, poświęconych poszczególnym Sakramentom św., Eucharystii poświęcono osobną kaplicę, która w odróżnieniu od ko-

ściola jest ciemna i półkolistą, o ścianach falistych i posiada tylko jedną ozdobę. Jest nią olbrzymia monstrancja rozpościerająca się na suficie, z której centralnego punktu pada silne światło na złote tabernaculum. Powoduje to tak silne skupienie uwagi, że nawet niekatolicy mimowoli kłękają. Wiele osób trwa w niemej kontemplacji tajemnicy nieustannej obecności Boga Człowieka wśród ziemskich braci.

W kościele na wystawie codziennie jest odprawiana Msza św. i można się w nim wypowiedzieć w wielu językach świata. W niedziele jest kilka nabożeństw, w tym też wieczorne. W czasie niektórych z nich wyjaśnia się obecnym niekatolikom znaczenie bezkrwawej Ofiary. Do października bieżącego roku odbywać się będą w tej świątyni

specjalne nabożeństwa urządzone przez poszczególne narody.

Posąg błogosławiącego Piusa XII, ustawiony na dziedzińcu obok kościoła, nie jest w pełni udany, bo postać Papieża jest przerysowana. Piękne są natomiast umieszczone od wewnątrz na murze pawilonu stare symbole chrześcijańskie w postaci ryb i krzyżyków w kole, zrobione z ciemnego metalu.

Poza świątynią znajduje się wielka, sala-audytoryum, mogąca pomieścić półtora tysiąca ludzi, a przeznaczona na kongresy katolickie, które się odbywają w czasie trwania wystawy. Największy z nich ma być 14 i 15 sierpnia z udziałem kardynała Agagianiana, kanclerza Adenauera i biskupa Sheena jako głównych mówców.

Jeden z pisarzy katolickich zauważył, iż pawilon „Civitas Dei“ powinno się zwieźć po oglądnięciu całej wystawy (mieści się on zresztą w sąsiedztwie dwu największych pawilonów: amerykańskiego i sowieckiego). Konieczne jest bowiem to przejście od społeczności ludzkiej do Bożej, aby człowiek upojony materialnymi cudami nowoczesności mógł dostrzec, że to nie wszystko, że jest także rzeczywistość inna, która nadaje sens tamtej tak się narzucającej wizji współczesności. Gdy się widzi tak wyraźnie Kościół ten sam wczoraj i jutro, rozumie się w pełni, że bez niego świat dzisiejszy pozbawiony byłby duszy.

Juliusz Jacyna

## KATOLICY I NOWA AFRYKA

W Amersfoort, w Holandii, Stowarzyszenie Pax Romana zorganizowało (9-12 kwietnia 1958 r.) seminarium na temat „Inteligencja katolicka w służbie nowej Afryki“. Klimat obrad i wyniki zastępują na wagę.

Pod przewodnictwem sekretarza generalnego Pax Romana, prof. Sugranyes de Franch, w konferencjach wzięło udział około 50 uczestników, w tym 6 Murzynów. Wśród prelegentów wybijali się: Murzyn z Senegalu, Diop, redaktor „Présence Africaine“ i dr Aujoulat, dyrektor Stowarzyszenia „Ad Lucem“. Przedstawiciele Międzynarodowej Organizacji Pracy z Genewy dostarczyli materiałów informacyjnych.

Oto niektóre wnioski, wysunięte w toku obrad:

„Współpraca wszystkich ludzi tej epoki okazuje się nieodzownym warunkiem przetrwania ludzkości. Jedną z charakterystycznych cech tej solidarności jest to, że każdy naród będzie powołany do wzięcia swego losu w swe ręce“.

„Ludzie Zachodu (Europejczycy) powinni zrozumieć, że są współodpowiedzialni za losy społeczeństwa afrykańskiego i za zdarzenia, które ich obecność tam wywołuje, oraz że są dłużnikami Czarnego Kontynentu“.

„Dysponujemy środkami technicznymi, które mogą i powinny być oddane do dyspozycji naszym braciom z Afryki. Uwzględniając ich osobowość afrykańską, powinniśmy czuć, aby nie czynić z naszej pomocy pretekstu do przedłużania naszej hegemonii.“

„Przed wszystkim chrześcijanie powinni współdziałać w wypełnieniu tych obowiązków. Współpraca może mieć miejsce tylko w ścisłym kontakcie z inteligencją afrykańską i musi być dostosowana do wymagań ducha i kultury afrykańskiej.“

„W chwili obecnej narody afrykańskie są ożywione wielką nadzieją i wielką wiarą w lepszą przyszłość. Te pozytywne strony nacjonalizmu afrykańskiego stanowią nie tylko siłę mogącą współdziałać w budowie wartościowego społeczeństwa, ale również są nieodzownym czynnikiem rozwoju Afryki. Wierność temu ideałowi zawiera w sobie

poszanowanie dla ugrupowań regionalnych i lokalnych.“

„Można przewidywać, że kadry inteligencji katolickiej, europejskiej, wywrą dodatni wpływ na społeczeństwo afrykańskie, nie tyle przez kierowanie i zarządzanie, co przez wspólną akcję z inteligencją autochtoniczną. Akcja ta wyrobi z czasem u autochtonów samodzielność działania.“

„Inteligencja afrykańska powinna wziąć w swoje ręce inicjatywę formowania Afryki i powinna być odpowiedzialną za jej przyszłość. Biali natomiast dać mogą wiedzę techniczną i fachową i być raczej czynnikami doradczymi.“

„W dziele emancypacji Afryki poczesne miejsce przyspaść musi w udziale rozwojowi współpracy zbiorowej. Wspólnoty są bardzo ważne nie tylko dlatego, że stanowią one o dobrobycie, ale ponieważ są to formy dające się zastosować w różnych sytuacjach. Spółdzielnie kredytowe, produkcyjne, transportowe i inne są czynnikami rozwijającym poczucie obowiązku i demokratycznego społeczeństwa. Rzecz taka wymaga wyszkolonych kadr.“

Gospodarzem tego pionierskiego spotkania był Holender, Tom Kerstjens, sekretarz generalny ruchu studenckiego w Pax Romana. Uczestnicy seminarium: byli na przyjęciu, u wydanym przez arcybiskupa Utrechtu, dr. B. J. Alfrinka.

Stowarzyszenie „Ad Lucem“, którego kilku członków było obecnych w Amersfoort, werbuje, formuje i przygotowuje świeckich katolików, pragnących poświęcić się pracy apostołowskiej. Istnieje ono od 25 lat. Posiada obecnie ponad 400 członków. Siedzibę ma w Paryżu, 12 Rue Guy-de-la Brosse, Paris V). Członkowie przechodzą dwuletnie przeszkolenie w dziedzinie doktrynalnej, rozwoju życia wewnętrznego, pracy społecznej, kulturalnej i humanitarnej. Rekrutują się z różnych zawodów. Przewodniczącym Rady jest J. Em. kardynał Lienart, a „dyrektorem generalnym“ dr Aujoulat.

Józef Kozłowski

## PAPIESKIE DZIEŁO POMOCY

Międzynarodowa katolicka organizacja dobroczynna zwana „Caritas Internationalis“ jest rozszerzeniem na całą Europę i Amerykę działalności Pontificia Opera Assistentia (POA), to jest Papieskiego Dzieła Pomocy. Na czele jednej i drugiej organizacji stoi ten sam mons. Baldelli, główny współpracownik Papieża w dziedzinie niesienia pomocy materialnej i religijnej. Wszelkie akcje z zakresu pomocy materialnej dla ofiar katastrof żywiołowych (np. powodzie, pożary, trzęsienia ziemi), a także politycznych (np. powstanie węgierskie) — przeprowadzane są przez POA i „Caritas Internationalis“.

W dziedzinie pomocy religijnej obie organizacje dysponują bogatym materiałem pedagogicznym i liturgicznym, jak filmy religijne, katechizmy, wydania Ewangelii w różnych językach, ołtarze polowe, pomoce biurowe i techniczne.

## CHRZEŚCIJANSKY KLASYCY

Trzy rodzaje wydawnictw francuskich ułatwiają ludziom XX wieku poznanie klasycznej literatury chrześcijańskiej. „Sources chrétiennes“ dają oryginalny tekst grecki czy łaciński i możliwie dosłowne tłumaczenie. „L'Eglise de hier et d'aujourd'hui“ i „Ecrits des Saints“ podają wprowadzenie do tekstów i ich wybór lub streszczenie dzieł większych. „Ictus“ daje pełne teksty w wiernym tłumaczeniu, ale językiem, który nie brzmiały obco dla nowoczesnego czytelnika; wydawnictwo to ma uprzystępnić chrześcijańskich klasyków od pierwszych czasów Kościoła po dni dzisiejsze. Chodzi o dzieła, które nie straciły na aktualności w czasach dzisiejszych i których autorzy pod niejednym względem są dziś bardziej nowoczesni niż wielu nam współczesnych.

„Katolicką encyklopedię człowieka dzisiejszego“ rozpoczęły wydawać zasłużone w Italii Edizioni Paoline. Encyklopedia składać się będzie ze 150 tomików liczących ok. 180 stron każdy. Dotychczas ukazały się trzy tomiiki: „Tajemnica Boga Zyczącego, Jednego w Trójcy“, „Historia muzyki chrześcijańskiej“, „Hinduizm“.

Robotnicy w Ca'Emiliani, pracujący w weneckim Porto Marghera, postawili kościół poświęcony Jezusowi Robotnikowi. Mimo że parafianie nie są zamożni, co roku zostaje wykonana pewna część świątyni, zawsze na dzień 1 maja, tj. uroczystość św. Józefa Rzemieślnika. Kościół w Ca'Emiliani ma pierwszą w Italii kryptę dla tych, którzy zginęli jako ofiary pracy.

Nowe wydawnictwo  
OFICYNĄ POETÓW I MALARZY

### TYMON TERLECKI EGZYSTENCJALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

Do nabycia:  
Oficina Poetów i Malarzy, 146 Bridge  
Arch, Sutton Walk, London, S. E. 1.

Cena: 6 szyl.



ETAP NASTĘPNY...

W dwa lata po poznańskim zryw i eksplozji dążeń wolnościowych, których wynikiem pozytywnym był „polski październik”, a tragicznym całopaleniem powstanie węgierskie — znajdujemy się w okresie odmiennym. Rok 1956 niósł nadzieję; rok 1958 przyniósł depresję.

W Sowietach następuje nawrót do ortodoksji partyjnej. W Chinach „mróz” warzy „kwiaty” tolerancji. Jugosławia znowu znalazła się na cenzurowanym. W Polsce rośnie nacisk sowiecki i szantaż stalinowców w łonie partii. Na Węgrzech terrorem likwiduje się powstania spuściznę.

Wiariotomne morderstwo Imre Nagya i towarzyszy, z polecenia Moskwy, przez komunistyczną dyktaturę na Węgrzech, rzuciło jaskrawe światło na odwrót od „odwilży”, „destalinizacji”, „demokratyzacji”, na walkę z „rewizjonizmem”...

W roku 1956 warunki zewnętrzne pozwalały dać wyraz nieszablonowemu pragnieniu wolności. Trudności wewnętrzne w Sowietach paraliżowały nacisk centrali na państwa satelickie. —W roku 1958 Kreml otomował wrzenie i tarcia, a sukcesy techniczne i polityczne Związku Sowieckiego dają mu przewagę w stosunku sił wobec Zachodu, grzędnącego w kryzysach politycznych, gospodarczych i społecznych.

Na jak długo „mróz” przychodzi? Trudna odpowiedź na to pytanie jest pilnym zadaniem polityków. Wydaje się, że nawrót do stalinizmu sprzeczny jest z wymaganiami rzeczywistości, chyba że kierownictwo świata komunistycznego nie widzi innych środków jak ta rozpaczliwa próba „zamrożenia” procesów grożących komunizmowi rozkładem? Logika wskazuje, że odprężenie przyjęć musi, tym silniejsze im silniej zostanie przykręcona śruba.

Zanim przyjdzie chwila, w której odżyją hasła rzucone w Poznaniu i w „październiku”, potrzeba cierpliwości, spokoju, umiarkowania, zwłaszcza po tamtej stronie gęstniejącej „kurtyny”. Zeby przetrzymać!

Po tej stronie obowiązuje wstrzemięźliwość w interpretowaniu wydarzeń tam zachodzących, a zwłaszcza we wskazaniach dla krajów opanowanych przez komunizm. Wstrzemięźliwość tym większa, im bardziej Zachód okazuje się nieudolny w rozumieniu i ocenianiu tamtejszej rzeczywistości.

Niech raczej Zachód skoncentruje wysiłki na odbudowaniu jedności działania i wzmożeniu siły, nie tylko materialnej. Niech szuka środków prowadzenia politycznej ofensywy pokojowej, by powstały warunki zewnętrzne, które umożliwią następny etap w dążeniu do wolności i sprawiedliwości. Nacisk pokojowych inicjatyw, takich np. jak plan neutralizacji w Europie, będzie przynajmniej hamował sowiecką agresję wewnętrzną i zewnętrzną. Nie wolno dopuszczać do kroków nieodwracalnych, jak np. atomowe uzbrojenie Niemiec.

Nawrót do stalinowskich metod jest samooskarżeniem komunizmu. Ale oburzenie nie jest wystarczającą reakcją. Trzeba przede wszystkim umacniać „moralny wolnego świata, walczyć w polityce, stosunkach społecznych i gospodarczych, z nieprawością i zakłamaniem. To szczególne zadanie katolików w życiu międzynarodowym i wśród swoich społeczeństw.

Koniunkturę dla etapu następnego potrafią wykorzystać i wygrać tylko zdrowe nacje.

S. G.

# REWIZJONISCI

STEFAN ŁOCHTIN

Korespondent angielskiej gazety stał patrzeć z przejęciem na tłum wypełniający wnętrza cerkwi klasztornej św. Sergiusza pod wezwaniem Świętej Trójcy w Zagorsku pod Moskwą.

Poruszony obrazem modlącego się tłumu w czterdziestym pierwszym roku po rewolucji bolszewickiej w Rosji, zwrócił się do towarzyszącej mu przewodniczki z oficjalnego „Inturista”:

— Czy ty także chodzisz do cerkwi?

Urzędniczka odpowiedziała tonem oburzenia:

— Nie! Tylko stare kobiety chodzą do cerkwi, młodzież już nie chodzi i nie wierzy w przesady religijne.

Anglik zwrócił jej uwagę, że kilka kroków od nich, w zatopionym w modlitwie tłumie, widać młode kobiety i młodzietkie dziewczęta.

— Nie! To nieprawda! Tylko stare kobiety chodzą do cerkwi... — powtarzała z uporem oficjalna reprezentantka partii, wbrew prawdzie i oczywistej rzeczywistości. Anglik nie dyskutował...

Ale Anglik nie był wychowany pod panowaniem komunizmu. Nie uczył się od dziecka w szkole, że świat obraca się wokół słońca według reguł marksizmu-leninizmu. Nie powtarzał za nauczycielem, że historia jest jak chemiczny proces — ujęta w prawa dostępne naukowej obserwacji i działające w sposób określony, nieublaganie kształtująca jednostki — że można jej przebieg przepowiadać z góry jak reakcję w laboratoryjnej retorcji.

A tymczasem miliony ludzi wychowują się właśnie w takich szkołach, w takiej atmosferze i chłoną od dziecka komunistyczną naukę, nie próbując sprawdzić w życiu, co warte są jej twierdzenia.

Gdy zachodni człowiek słyszy kłamstwa propagandy, to tylko wzrusza ramionami. Ale gdy człowiek spod panowania komunizmu dojdzie do tego, że go oszukano, że mówi mu co innego, choć on widzi co innego, a powtarzane bez przerwy kłamstwo jest tylko źródłem dalszych kłamstw a nieraz i zbrodni — wtedy następuje bunt.

Współczesny „rewizjonizm” jest jednym z przejawów takiego buntu jednostki i grup wychowanych w szkole komunistycznej, a nieraz i szkolonych w służbie państwa czy ruchu komunistycznego. Jego przedstawiciele odważyli się przerwać powtarzanie wyuczonych sloganów, a zaczęli badać, ważyć i sprawdzać wartości intelektualne otrzymane w szkole. Część z nich ugięła się przed siłą, oportunistycznie pogodziła się z rzeczywistością, część oczekuje wygnania, uwięzienia lub salwy z automatu. Wygnanie już spotkało Dudincewa, uwięziony jest Harich, a Imre Nagy zmarł pod kulami morderców.

Na czym polega istota twierdzeń rewizjonizmu?

Odpowiedź ortodoksyjnych komunistów brzmi tu raczej nieprzekonywująco. W świetle np. wypowiedzi sowieckiej czy chińskiej prasy nie podobna zorientować się kto jest rewizjonistą. Oskarża się o to „przestępstwo” i opozycjonistę Dedięra i jego przeciwnika prezydenta Tito. To samo miano stosuje się do Imre Nagya i do niemieckiego profesora Haricha, niemieckiego komunisty Leonharda, węgierskiego filozofa Gyorgy Lukacsa, do Polaków: Leszka Koł-

kowskiego, Wiktora Woroszylskiego, czy Jana Kotta, choć trudno znaleźć wyraźną nic wspólną u tej plejady różnych opozycjonistów wobec kursu rządzącego w Moskwie. Oczywiście, łączy ich opozycja, ale nie jej sformułowania. To jednak wystarczy ortodoksyjnym komunistom, by ich wszystkich określić jednym mianem, od wielu lat używanym w szeregach sowieckiej partii komunistycznej dla napiętnowania odstępców.

Ktokolwiek odchyłał się od oficjalnej linii partyjnej na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat, ten mógł być pewien, że zastosują do niego określenie „rewizjonista”. Stosowano wprawdzie i inne terminy, ale ten jeden trwał. Nie mógł on przy tym oznaczać stale jednego zjawiska. Skoro bowiem teoria bolszewizmu twierdzi, że zmiana sytuacji jako funkcji układu sił ekonomicznych przynosi konieczność nowych sformułowań politycznych, a nawet rzekomo powoduje zmianę pojęć społecznych czy moralnych, to jest jasne, że sformułowania opozycji wobec zmieniających się sformułowań komunizmu muszą być różne w różnych okresach.

Tu też jest powód, że miano „rewizjonista” jest pojęciowo puste i w słowniku komunistycznym oznacza tylko takiego wychowanka komunizmu, który chciałby myśleć inaczej niż centrala partii.

Ale zjawisko ostatnich kilku lat, zjawisko specyficznego ruchu umysłowego wśród pewnej części komunistów nie jest pojęciowo puste, szczególnie, gdy chodzi o jego sformułowania negatywne, zwrócone przeciw pewnej rzeczywistości materialnej i myślowej.

Gdy Milovan Đilas wskazuje, że nowa klasa rządząca nie spełnia pragnień związanych z jej powstaniem, gdy charakteryzuje jej egoizm, interesowność itp., to wydaje on sąd z dziedziny moralnej, sąd oparty o przeświadczenie, że istnieją wartości niezmiennie, które pozwalają na przeprowadzenie porównania postępowania ludzi różnych epok.

Gdy Leszek Kołakowski utrzymuje, że nawet przyjęcie zasad determinizmu historycznego, nie zwalnia jednostki od odpowiedzialności za to, czy zgadza się ona z poszczególnymi aktami systemu, to też zakłada on, że pewne zasady moralne istnieją dłużej niż zmienne reżymy polityczne.

Pisarz sowiecki Dudincew, bardziej pośrednio, ale równie mocno ocenia swych bohaterów nie według bieżącej „linii” partyjnej, ale według ich postępowania wobec przyjaciół, współpracowników, czyli według ich zasad moralnych czy też ich braku. Przyjmuje on, że moralność ma być autonomiczna, niezależna od zmian w „bazie” materialno - produkcyjnej społeczeństwa, czyli, że jest ona elementem wyższym, stałym miernikiem — przyznaje jej więc znacząco te cechy, które ortodoksyjny komunizm odrzuca.

Nie wszyscy pisarze i myśliciele „rewizjonizmu” koncentrują się na tych zagadnieniach. Ale wszyscy krytykują postępowanie „stalinowców”, czy „dogmatyków”, i zarzucają im czyny niedopuszczalne, takie, jak niedotrzymywanie obietnic, łamanie słowa wobec towarzyszy, represje wobec bliskich, a więc przestępstwa, których istota polega przede wszystkim na łamaniu praw moralnych.

Ta nuta poszukiwania lub milczącego uznania zasad niezmiennych lub co najmniej mających być dłuższy niż konkretne rozwojowe fazy ekonomiczne czy polityczne jest niemal powszechna wśród „rewizjonistów“.

Jest to zrozumiałe w świetle genezy „rewizjonizmu“.

Ludzie typu choćby Wolfganga Leonharda wierzyli mocno we wszystko, co im partyjni nauczycieli powiedzieli. Wychowani w odcieciu od reszty świata, przyzwyczaili się nawet do zbrodni stalinowskich, wierzyli bowiem, że to tylko przejściowa choroba. Wychowanie komunistyczne utworzyło w nich coś w rodzaju systemu warunkowych refleksów, który działał reakcjami zamiast świadomych analiz, wniosków intelektualnych i fizycznych. Ale system refleksów uzyskanych w szkole komunistycznej działał tylko wtedy, gdy trwała wiara w celowość, słuszność i potrzebę komunistycznej nauki. Najmniejsza wątpliwość podrywała ten system, gdy nagromadzenie drażliwych pytań go całkowicie niszczyło.

Praktyka życia tymczasem bez przerwy stawiała pytania.

Młodzi komuniści w okresie nauki w szkole nie mieli powodów by wątpić w filozofię, której wykład obfitował w blaski bohaterstwa w boju o „lepszą przyszłość ludzkości“, i znał się żelazną logiką, nieubłagane prowadzącą do nowych stosunków na świecie.

Ale codzienna trudna rzeczywistość życia przeczyła słowom wykładu, kazała myśleć. Nasuwały się pytania:

— Czy można osiągnąć sprawiedliwość, gdy się ciągle stosuje terror?

— Czy można wychować dobrych komunistów, gdy widzą oni, że ruch komunistyczny jest zasadniczo niewdzięczny wobec tych, którzy dlań pracowali i walczyli?

— Czy można kłamać, że jest dobrze, gdy jest źle?

— Czy dyscyplina osiągnięta przez zakłamanie i terror może naprawdę przynieść wysiłek prowadzący do lepszego życia?

— Czy nadejdzie taki moment, w którym komunistyczna teoria i komunistyczna praktyka staną się jednością zgodnie z postulatami Lenina?

Ostatnie pytanie działało niszcząco na cały nabyty bagaż światopoglądowy, gdyż praktyka komunizmu stała w jaskrawej sprzeczności z teorią niemal bez przerwy przez dziesiątki lat, a najlepiej o tym byli poinformowani sami komuniści. Oportuniści wśród nich nie przejmowali się, ale uczeni szukali nowych wyjść. Tu też, w zasadniczej niemoralności systemu zaczął się nowy rewizjonizm, tu powstało rozpaczliwe pytanie Kołakowskiego, który zwątpił, by można było nazwać socjalistycznym taki

kraj, w którym obywatel czeka każdej nocy na pojawienie się tajnej policji.

Rewizjoniści postawili jeszcze więcej pytań w swych artykułach i esejach. Ich implikacje były głównie skierowane przeciw uzasadnieniu dyktatury bez odpowiedzialności wobec cierpiącej nędze i okłamywanej ludności.

Nie stworzyli oni wprawdzie logicznego, jednolitego systemu w odpowiedzi na komunizm, ale za to wysunęli szereg zastrzeżeń przeciw istniejącemu porządkowi.

Oto np. węgierski filozof Gyorgy Lukacs wypowiedział się za skasowaniem partyjnego kierownictwa w literaturze. W bardziej bojowy jeszcze sposób wypowiedział się po tej linii Tibor Dery, pisarz węgierski. W Polsce młody Krzysztof Toeplitz przypomniał, że wczesne rządy bolszewickie w Rosji zgadzały się z samodzielnością literatury i na tym oparł żądanie wolności dla pisarza. Wypowiedzi tego typu podkopywały ustaloną tezę, że pisarz musi być wyznawcą idei komunistycznych, sługą partii i wykonawcą jej rozkazów w dziedzinie polityki kulturalnej.

Podobnie w dziedzinie gospodarczej prąd płynący od Tity i jego przeciwnika Džilasa spowodował podminowanie stalinowskich zasad w gospodarstwie. Zaczęto głosić tezę, że pracownikom przysługuje prawo rządzenia ich przedsiębiorstwem i stąd powstała teoria „rad robotniczych“. Wprowadziła ona rządy niepartyjnego społeczeństwa, czyli większości tam, gdzie dotąd „demokratyczny centralizm“ partii (a więc mniejszości społeczeństwa) był źródłem decyzji i władzy.

Dla nas, patrzących z Zachodu, jest oczywiste, że wszystkie te usiłowania nie są systemem filozofii, nie są nowym systemem totalnym w polityce, ale reprezentują tęsknotę za demokracją, a więc za systemem, który pozwala różnym systemom współżyć w tym samym społeczeństwie.

Sformułowań końcowych, mówiących jak rządzić społeczeństwem, rewizjoniści nie stworzyli. Główną przyczyną tego było, iż im nie pozwolono... Walka z rewizjonizmem rozpoczęła się natychmiast, gdy się okazało, że rewizjoniści w dużym stopniu wypowiadają życzenia społeczeństwa, a więc są silni poparciem mas, choć występują jako nieliczne jednostki i małe grupy.

Tak więc rewizjonizm nie stał się ruchem przełomu, ruchem na nowo organizującym komunizm. Ale walka przeciw niemu, jej natężenie, wyrażające się nawet w morderstwach politycznych Imre Nagya i towarzyszy, wskazuje, że ortodoksyjny bolszewizm przestraszył się rewizjonistów.

Wielu ludzi na Zachodzie twierdziło przez pewien czas, że samo zjawisko rewizjonizmu nie istniało, że była to świadoma dywersja organizowana przez sam komunizm, dla wprowadzenia w błąd przeciwników.

Otóż, pomijając fakt, że tego typu twierdzenia raczej wskazują, że ich autorzy holdują jakimś rodzajowi politycznego maniactwa, trzeba zauważyć, że rewizjonizm poczynił tak głębokie wyrwy w szeregach komunistycznych, że Moskwa i Pekin zdecydowały się podkopać szanse własnych sukcesów na zewnątrz dla rozwiązania sobie rąk w walce z herezją.

W rewizjonizm można było wątpić do procesów węgierskich, do anty-titowskiej kampanii w bloku komunistycznym, do morderstwa Nagya. Teraz już nie ma wątpliwości, że był on zjawiskiem poważnym, trawiącym umysły ludzi, którzy z tytułu wychowania i pracy wydawali się być najwierniejszymi podporami komunizmu.

I tu też leży znaczenie tego nieskoordynowanego ruchu. Wystąpienie rewizjonistów spowodowało załamanie poglądu, że wychowanie komunistyczne jest w stanie odciąć swych uczniów od cywilizacji czy wpływu religii. Świat przez pewien czas wierzył Stalinowskim twierdzeniom, że komuniści wychowują „nowego człowieka“. To twierdzenie było powodem pesymizmu na świecie — wierzone, że uratowało się tylko to, co wyjechało za granicę w ucieczce przed komunizmem lub pozostało tam w proteście ludzi wolnych. Świat więc miał się kurczyć, starzeć i wymierać.

Pojawienie się rewizjonistów wskazuje, że przemiany na lepsze mogą przyjść z wewnątrz świata komunistycznego, jeśli będą miały odpowiednią szansę. Otwiera to lepszą perspektywę dla ludzkości, gdyż przypomina, iż miliony poddanych systemu sowieckiego są równie zdolne do myślenia jak i wolni ludzie poza systemem. Okazuje się, że wychowankowie komunizmu mogą sami zrzucić z siebie jarzmo intelektualne, oczywiście... w warunkach osłabienia władzy sowieckiej.

Dlatego zapewne pesymiści twierdzą, że „inteligenci“ się ludzą — nie mają oni szans w walce z brutalną przemocą materialną państwa sowieckiego. Nie może być reformy bolszewizmu — mówią — gdyż próby reform kończą się plutonem egzekucyjnym...

Gdyby pesymiści mieli rację w tym rozumowaniu, to we Francji panowałaby monarchia absolutna, gdyż Montesquieu był na pewno słabszy od królewskich dragonów.

Gdyby pesymiści mieli rację, to nie byłoby Sowietów, gdyż Lenin na pewno był słabszy od cesarskich żandarmów... I tak dalej.

Myśli mają ten szczególny przywilej, że mogą obezwładniać przeciwników. Widać to było w Berlinie w roku 1953, w Poznaniu i Budapeszcie w roku 1956.

Nie należy nie doceniać procesów myślowych odbywających się wśród wychowanków komunizmu.

Stefan Łochtin

## TRZY FEDERACJE NIEMIECKIE

Wybitny publicysta katolicki, Paul Wilhelm Wenger poddał dyskusji (w Tauberbschofsheim, na zjeździe CDU, 20 kwietnia 1958) niemiecką politykę zjednoczeniową i zarysował wizję przyszłej „zjednoczonej“ Europy, zorganizowanej na zasadach federalnych. Referat spowodował ostrą reakcję opinii. Posypały się protesty przeciwko „umniej-szytelowi ojczyzny niemieckiej“ i „zdrajcy sprawy narodowej“, ataki i groźby socjale-

mokratów i liberałów. Nawet centrala CDU odcięła się od wygłoszonych tez.

Wenger, choć nie należy do CDU, jest współredaktorem kolońskiego tygodnika „Rheinischer Merkur“, który uchodzi za nieoficjalny organ kanclerza Adenauera.

Rozpętana przez niego dyskusja trwa nadal, wywołując szczególne zainteresowanie w kołach młodzieży akademickiej i w szeregach młodej inteligencji. W wystąpieniu Wengera sprawy polskie zajmują ważne miejsce.

Wenger szuka metod zjednoczenia Niemiec. „Zjednoczenie, dla którego ewentualnie Rosja mogłaby udzielić swego placet, nie

potrzebuje — mówi Wenger — a nawet nie powinno się dokonać w formie centralistycznej fuzji wschodnich i zachodnich Niemiec. Tylko w oparciu o założenia federacyjne, obejmujące nie tylko obie części Niemiec, ale i inne państwa europejskie, może być odzyskana — zdaniem Wengera — wolność dla wschodniej Niemieckiej Republiki Demokratycznej i dla pozostałych krajów wschodniej i południowo-wschodniej Europy. „Nie ma wolności dla środkowych Niemiec tak długo, jak długo nie będzie jej dla Polski, dla Pragi, dla Węgier.“ Żłudne są nadzieje tych, co w Strassburgu próbują tworzyć „małą“ Europę. Zjednoczona Europa powstać może

## N A S I K A P Ł A N I

tylko na zasadzie współpracy autonomicznych członów federacyjnych, nawiązujących do dawnych historycznych wzorów, to jest do federacji zachodnio-europejskiej, do federacji nadunajskiej i do federacji prusko-polskiej, „która od trzystu lat stanowi misję historyczną Prus”. Kraje prusko-polskiej federacji powinny być powiązane przede wszystkim gospodarczo jako wschodnio-europejska wspólnota węgla i stali, regionalny wspólny rynek itp. Wspólnota ta nie mogłaby jednak być podporządkowana zachodnio-europejskiej wspólnocie, lecz obie ponadpaństwowe organizacje powiązane być winny ogólnoeuropejską nadbudową ekonomiczną. Organizacja militarna nie byłaby scalona, bo musiałaby być dostosowana do zadań obrony każdego z członków federacji. Każdy zaś człon winien posiadać pełne możliwości rozwoju rodzimej kultury, szerokiego samorządu i własnych urzędów prawnych.

Warunkiem powodzenia tych planów jest wyzbycie się przez poszczególne narody wizji historycznej, opartej o kompleks „odwiecznego wroga”. Konieczna jest świadomość europejskich powiązań.

Rosja, uwolniona od zmyru niemieckiej agresji, zechce wyzwolić — ufa Wenger — wschodnie Niemcy i kraje wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Do Polski wrócić... Wschodnia Małopolska ze Lwowem i tu fantazje niemieckiego publicysty zahaczają o rewizjonizm, bo konsekwencją „gestu” rosyjskiego miałyby być odzyskanie przez Niemcy (względnie Prusy) Śląska...

Wengera uważamy za przyjaciela Polaków. Odcina się on od antypolskiej polityki Bismarcka: zamiast „Bismarck-Deutschland” widzi swoją „zjednoczoną Europę”.

Nie szczędzi uwag pod adresem Polski. Fakt na przykład wywieszania w szkołach niemieckich i w ministerstwie spraw zagranicznych w Bonn map, na których Ziemia Odzyskana zaznaczona są jako prowizorycznie należące do Polski, Ziemia Wschodnie natomiast jako definitywnie przynależne do Rosji, nazywa Wenger moralnym skandalem i zdradą stanu w stosunku do Polski. Za aksjomat niemieckiej polityki zagranicznej uważa, by polityka ta już nigdy „nie zgrzeszyła” w stosunku do Polski.

Ale wywody jego budzić muszą poważny niepokój wśród narodów, które tak często zawodził „naród poetów i myślicieli”. Traktując jako ideał „wielko-niemieckie” rozwiązanie, obejmujące również i Austrię, zmierza w istocie do stworzenia w Europie trzech federacji „niemieckich”, rządzonych z Bonn, Berlina i Wiednia. Tak też projekt ten został zakwalifikowany przez niektóre pisma niemieckie (vide berliński „Kurier” z 3.6.58). W sumie: zła przysługa, oddana służnej idei zjednoczenia Europy. Sugerowanie Polakom unii z Prusami, czy rozważanie rezygnacji Polski z Ziemi Zachodnich, świadczą o całkowitym zapoznaniu politycznej i psychicznej rzeczywistości w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ciekawe jest jednak, że Wenger stwierdza, iż bez rewizji polskiej granicy wschodniej nie mają Niemcy „żadnych szans odzyskania Śląska...”. O Prusach Wschodnich i zachodnim Pomorzu milczy, uważając widocznie te obszary za ostatecznie dla Niemiec stracone. Ciekawe jest także pośrednie przyznanie faktu, że przemysłowe okręgi Polski i jej sąsiedzi stanowią odrębny ośrodek. Interesujący jest wreszcie fakt, że młodzież niemiecka podejmuje wizję Wengera jako punkt wyjścia dalszych rozważań na temat przyszłości Niemiec i miejsca ich w Europie.

S. C.

Powołani przez Boga spośród nas, byli z nami i na obczyźnie: w szeregach wojska i w obozach jenieckich, na zsyłkach, w łagrach i kacetach. I zostali z nami na tułaczce, aby po polsku głosić nam słowo Boże i aby wśród nas dzielić Chleb Żywota, abysmy nie zapominali, żeśmy dziećmi Kościoła w Polsce.

Przypominają nam o nich, o ich nieraz tak niezwykłych losach i ich pracy wśród nas i dla nas, skromne uroczystości srebrnych i bardzo rzadkich złotych jubileuszów kapłaństwa. W te dni, tak radosne dla tych, którzy się wyrzekli rodzinnego ogniska i którzy potrzebują ciepłego ludzkiego serca, okażmy wdzięczność za ich trudy. Składajmy życzenia najlepsze. A przede wszystkim módlmy się za nich, a wraz z nimi o nowe, liczne i dobre powołania kapłańskie.

## W WIELKIEJ BRYTANII

Złote gody kapłańskie, pierwsze tu na obczyźnie, obchodzili 28 czerwca bież. roku ks. prof. kanonik Leopold Dallinger, kapelan, prefekt i profesor w klasztorze i zakładach wychowawczych sióstr nazaretanek w Pitsford Hall. Senior polskich kapłanów w Wielkiej Brytanii urodził się w roku 1884 w Horodence, w woj. stanisławowskim i po studiach na uniwersytecie we Lwowie został wyswięcony w katedrze lwowskiej 28 czerwca 1908 roku. Pierwsze jego placówki duszpasterskie to wikariat w Stryju i Złoczowie. Pierwszą wojnę światową spędził jako kapelan Polaków w armii austriackiej. Po wojnie osiada na stałe w Kołomyi, gdzie przez z górą dwadzieścia lat jest profesorem języków i historii oraz katechetą, a w końcu dyrektorem gimnazjum żeńskiego. Uczy też w seminarium nauczycielskim i w gimnazjum sióstr urszulanek i jest ich kapelanem, podobnie jak i sióstr marianek. Urodzony i powołany kapłan i głęboko wykształcony wychowawca młodzieży, cieszył się powszechnym uznaniem i miłością wszystkich, którzy się z nim zetknęli.

W czasie deportacji do Sowiec w roku 1940 dobrowolnie jedzie z wywozonymi jako ich opiekun duchowy i razem z nimi pracuje w kamieniołomach w Kazachstanie, znosząc ten ciężki okres głodu i poniewierki z przykłądną pokorą i godnością chrześcijańską, czym podtrzymuje na duchu innych. Toteż garną się do niego ludzie i szukają pociechy, a postawą swoją wzbudza także szacunek a nawet podziw u sowieckich nadzorców pracy i Każaków, co wpływa dodatnio na traktowanie całej związanej z nim grupy wysiedleńców. Po opuszczeniu Rosji z wojskiem polskim, jest kapelanem obozów uchodźców, najpierw w Iranie, potem w Indiach, gdzie uczy także w gimnazjum polskim w osiedlu Valivade; jest jakiś czas na Środkowym Wschodzie, a od 1948 r. wśród Polaków w Anglii, wszędzie pozostawiając pamięć swej wielkiej dobroci i ujmującej skromności. Niebawem może powrócić do ukochanej pracy nauczycielskiej i wychowawczej i od dziesięciu lat, mimo słabego, nadwreżonego w Rosji zdrowia, pracuje z zaparciem się siebie w jednej z dwu polskich szkół średnich w Anglii, jako pedagog i duszpasterz, otoczony czcią i miłością za swój pełen mądrości i wyrozumienia stosunek do spraw ludzkich, za swoje złote, prawdziwie kapłańskie serce.

Srebrne gody kapłańskie w tym roku obchodzili:

**Ks. Andrzej Busiuk** z diecezji lubelskiej, urodzony w 1907 w Hrubieszowie i wyswięcony w Lublinie 18 czerwca 1933. W czasie ostatniej wojny, jako kapelan garnizonu w Suwałkach, został ks. Busiuk internowany na Litwie, a potem wywieziony do Rosji. W obozach służył pomocą duchową i wszelką inną swym towarzyszącom niedoli i umiał się ujmować za nimi i stawać w obronie ich godności ludzkiej. Wraz z wojskiem polskim odbył potem wędrowkę przez Bliski Wschód do Włoch, jako kapelan brał udział w bitwie pod Monte Cassino i za swą odwagę został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po przybyciu do Anglii przez szereg lat był duszpasterzem w obozach polskich i w osiedlu Petworth (Sussex) a ostatnio pracuje z poświęceniem w osiedlu Daddington.

**Ks. Michał Lewandowski**, urodzony w 1909 w Małopolsce Wschodniej, po studiach we Lwowie został wyswięcony na kapłana w katedrze lwowskiej 18 czerwca 1933. Na kolejnych placówkach pracy, a więc na wikariacie w Chodorowie a potem probostwie w Burakówce koło Zaleszczyk, młody kapłan okazał wielką gorliwość nie tylko duszpasterską, ale i uzdolnienia społeczne w pracy w Akcji Katolickiej, charytatywnej, i gospodarczo-społecznej w spółdzielniach i kasach bezprocentowych. Na wojnę wyruszył jako kapelan 14 pułku Ułanów Jazłowieckich. Wzięty do niewoli przez Niemców przebywał w obozach jenieckich, a potem w kacetach, gdzie poważnie zostało nadwreżone jego zdrowie. Po uwolnieniu z Dachau był kapelanem w 2 dywizji pancerniej we Włoszech. Po przybyciu do Anglii pracuje ofiarnie przez 7 lat jako duszpasterz w Ludford, a od 3 lat w Foxley koło Herefordu. Ks. M. Lewandowski jest czynnym przyjacielem prasy i książki katolickiej.

**Ks. Marian Walczak** jest Wielkopolaniem, urodził się w Śremie w 1907, studia duchowne ukończył w Gnieźnie i Poznaniu, 13 czerwca 1933 otrzymał święcenia kapłańskie z rąk Kardynała-Prymasa Hlonda. Uzdolniony jako pedagog uczył religii, polskiego i historii w gimnazjum w Wolsztynie, opiekował się tam harcerstwem i Kat. Stowarzyszeniem Młodzieży Żeńskiej oraz brał udział w akcji bibliotek powszechnych. W kampanii wrześniowej, jako kapelan pułku strzelców konnych zostaje wzięty do niewoli pod Tomaszowem, przebywa w obozach jenieckich i w kacetach. Uwolniony z Dachau jest najpierw duszpasterzem obozu AK-owców w Austrii, a potem uczy w gimnazjum i liceum 3 dywizji strzelców karpaccyckich we Włoszech. Po przybyciu do Anglii jest prefektem w szkołach polskich w Bodney, Bottisham i Diddington. Od szeregu lat pracuje jako duszpasterz w Liverpoolu.

## W NIEMCZECH

Młodym jublatem jest w tym roku również kapelan naczelny polskich Oddziałów Wartowniczych w Niemczech, **ks. kanonik Juliusz Stanisław Janusz**. Urodzony na Podhalu w 1906, studiuje prawo w Krakowie, a teologię w Tarnowie i Łucku i tam otrzymuje święcenia kapłańskie 10 czerwca 1933. Zdolny redaktor pisma dla kleryków kieru-

(Dokończenie na str. 29)

# Przyjaciel polskiej oświaty

„Niechaj nikogo nie wprowadza w błąd zdanie często słyszane: Co ci Polacy robią w Anglii? Czemu nie wracają do siebie? — Nie wracają, bo nie mogą. Postawmy się w ich położenie. Gdyby nasz kraj był oddany największemu odwiecznemu wrogowi, czy chcielibyśmy wrócić?”

Były to słowa Franka Harroda, sekretarza Komitetu Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, a od jesieni 1954 prezesa Komitetu Oświatowo-Bibliotecznego przy Polskim Ośrodku Naukowym (Polish Research Centre), wypowiedziane na zebraniu Rotary Club 30 października 1950 roku, po jego trzyletniej już pracy w Komitecie Oświaty, kiedy już mógł pochłubić się osiągniętymi rezultatami, które nazwał usiłowaniem spłacenia honorowego długu zaciągniętego przez Anglików wobec „bardzo tragicznego narodu”. Po trzech latach przekonał się, że ogromny procent ludzi dorosłych, którzy znaleźli się w Anglii, nie mówią ani słowa po angielsku, dzięki doksztalcaniu przez Komitet mógł być zatrudniony w swoim zawodzie. Tysiące młodych ludzi, którzy na skutek wojny przerwali studia w Polsce, studiowało na wyższych uczelniach mając stypendia dalekie od głodowych zapomóg dla uczących się, a szkoły powszechne i przedszkola zatrudniały polskich nauczycieli opiekujących się setkami polskich dzieci.

Jak wspominałem, Frank Harrod był sekretarzem Komitetu. Tytułu tego nie należy rozumieć w powszechnie u nas przyjętym znaczeniu. Sekretarz w tym wypadku to dyrektor, kierownik. Stał więc na czele naszego Komitetu Oświaty 1 kwietnia 1947 roku, przechodząc do nas, zamiast na emeryturę, po 23 latach kierowania oświatą w Coventry jako tamtejszy Director of Education.

Sprawę ze swoich poczynań zdawał przed naszym Komitetem Oświaty i nie zdarzyło się, aby kiedykolwiek zdezawuowano jego decyzje lub nie zatwierdzono tego o co prosił. Jak konsylium, które potwierdza diagnozę mądrego lekarza. Do pomocy w centrali miał jednego Anglika, swego dawnego koleżę, oświatowca, a poza nim cały wielki aparat w Londynie i na prowincji, złożony wyłącznie z Polaków.

Komitet Oświaty przestał istnieć blisko cztery lata temu. Wiele spraw, wiele osiągnięć poszło w zapomnienie, a rad bym je przypomnieć. Rozpoczął działalność na wiosnę 1947 roku, kiedy oświata pozaszkolna, dla dorosłych, kierował w czterech obozach — w jesieni 1948 roku było ich już 43, gdzie każdy bezpłatnie uczył się angielskiego, mógł chodzić na kursy szycia, introligatorstwa, wyrobów skórzanych, dziewiarstwa, etc. Kilka szkół powszechnych doszło do liczby przeszło 40 i tyleż przedszkoli w czasie największego nasilenia działalności Komitetu. Największą chlubą były szkoły internatowe mieszczące się w barakach szpitalnych z czasu wojny, bądź w barakach administracji lotnisk i o czko w głowie nas wszystkich — internatowa szkoła powszechna dla sierot i pół-sierot w Shephalbury Mansion. W pewnej chwili było pięć wielkich szkół średnich, z czego 4 liczyły 500 uczniów i uczennic każda. Personel nauczycielski polski zdobył się na ogromny wysiłek opanowania obcego języka w takim stopniu, aby posługiwać się nim ucząc przedmiotów ogólnych.

W tym rozroście szkolnictwa polskiego leży wielka zasługa Harroda, który rozumiał,

że Komitet jest organizacją elastyczną, która musi dostosowywać się do narastających potrzeb i problemów. Przy zakładaniu go wydawało się, że początkowa liczba szkół czy stypendiów wystarczy, tymczasem po osiedleniu się pierwszej fali Polaków, wojskowych z I i II Korpusu i ich rodzin, zaczęły napływać nowe fale z Afryki, Palestyny, Libanu, Indii i Meksyku. Ustawa o rozmieszczeniu Polaków z 1947 (Polish Resettlement Act) zapewniała, że każde dziecko polskie będzie kształcone, a że dzieci te nie mogły być kształcone w szkołach angielskich, bo nie znały języka — zresztą tych szkół nie było dosyć nawet dla angielskich dzieci, Harrod podpisywał nasze wnioski o tworzenie nowych szkół, nigdy nie oświadczając się na to, że potrzebne pieniądze rozsadziły ramy pierwszego budżetu. Nie krępował swobody projektowania prac, toteż Komitet pomyślany na 2-3 lata, dotrwał do 7 i pół.

Wielu z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, że był rok, kiedy budżet Komitetu Oświaty wynosił prawie dwa miliony funtów, a na kształcenie Polaków w czasie siedmioletniego trwania Komitetu rząd angielski wydał przeszło 9 milionów funtów. Przeszło 7.000 młodych Polaków i Polek otrzymało stypendia na wyższe studia, 6.500 dzieci przeszło przez szkoły Komitetu, a 2.500 dzieci polskich w szkołach angielskich internatowych lub dziennych otrzymało pomoc. Cyfry suche, ale jakże wiele mówiące.

„Pięć dni w tygodniu pracuję dla Polski, w sobotę dla Anglii” — mówił Harrod. Codziennie z uderzeniem godziny dziesiątej zjawiał się w biurze i w jego pokoju na parterze przy Cadogan Square, gdzieśmy zajmowali trzy domy, koncentrowało się życie Komitetu. Jego zdolności administracyjne i organizacyjne były wręcz niezwykle; jednym rzutem oka obejmował każde zagadnienie, decyzje jego były jasne, miał ogromną łatwość precyzowania myśli i tekst podpisany przez niego nie zostawiał żadnych wątpliwości. Jak każdy mądry kierownik wiedział, że od niego powinny wychodzić dyrektywy i rozstrzygnięcia, wykonanie natomiast — wybór środków, personelu — pozostawiał urzędowi, tj. nam, Polakom. Mielśmy pełną autonomię i miał do nas pełne zaufanie. Z początku irytowało nas, że dyskutując nad jakimś zagadnieniem mówił nieraz: „You Poles”, wkrótce jednak przekonaliśmy się, że nie było w tym żadnej ukrytej złośliwości lub chęci dokużenia, ale tylko podkreślenie naszej odrębności. Nasze metody były zupełnie inne, on bronił swoich i nie wychodziliśmy na tym źle.

Cenił cudze zdanie i nie widział żadnej ujemy dla siebie, kiedy pokazywał przygotowane przez siebie teksty i pytał o zdanie. Czasem, gdy spotkał się z opozycją, irytował się, co zwłaszcza dawniej łatwo mu przychodziło, wołał „Nonsense!” — ale później nieraz przyznawał racje.

Nie odgradzał się od ludzi, każdy miał do niego dostęp i życzliwe zrozumienie, ale nigdy nie wydał żadnego zlecenia niezgodnego z zasadami hierarchii, niezbędnej w każdej praworządnej jednostce organizacyjnej. Miał ludzi, których lubił, ale nigdy nikogo nie faworyzował, nikomu nie przypisywał większych wartości niż je miał. Był niesłychanie sprawiedliwy, obiektywny i ludzki. Zdarzało się, że miał za złe jakiś nietakt, był oburzony, ale nie wyciągał żadnych konsekwencji i potem temu samemu czło-



FRANK H. HARROD, M.C.

wiekowi pomagał. Po zlikwidowaniu Komitetu dawni urzędnicy pisali z podziękowaniem, że na skutek jego świadectw dostawali pracę. „My bark is worse than my bite” — lubił mówić o sobie; pilnował powierzonych mu spraw, ale nigdy nie gryzł.

Są dwie strony jego działalności, które warto specjalnie podkreślić: jego stosunek do zagadnienia polskości emigracji i jej potrzeb religijnych.

W ciągu przeszło 11 lat współpracy z Polakami nie odczuliśmy nigdy najmniejszej tendencji do wynarodowienia nas, ani braku poszanowania dla naszych tradycji czy potrzeb narodowych. Uważał, że każdy powinien zostać wierny swojej narodowości i swemu językowi. Przez cały czas trwania szkół polskich, nawet wówczas kiedy młodzież zupełnie dobrze opanowała angielski, przedmioty ojczyście były wykładane po polsku. I przez całych 11 lat Komitet Oświaty a potem jego spadkobierca Komitet Oświatowo-Biblioteczny, łożył na prowadzenie Kursu Korespondencyjnego dla nauki języka polskiego, polskiej historii i geografii dla dzieci polskich w szkołach angielskich, z którego korzystały setki dzieci i młodzieży. Bywał chętnym gościem na polskich obchodach narodowych w szkołach czy w hostelach, lubił wchodzić między ludzi, przemawiał niezmiernie prosto, bezpośrednio, po paru zdaniach nawiązywał kontakt ze słuchaczami, co jest cechą każdego dobrego mówcy.

Drugim, niezmiernie ważnym rysem jego działalności było zrozumienie naszych potrzeb religijnych. Sam protestant, głęboko wierzący, rozumiał znaczenie religii i potrzebę zachowania jej przez Polaków w obcym kraju. Dlatego też w każdej szkole była zapewniona nauka religii, a wielkie szkoły internatowe średnie miały każdą swego kapelana-katechetę.

Weszliśmy w jego życie już po zakończeniu jego pracy zawodowej, kiedy myślał, że będzie wycocywzać, czytać i pielęgnować kwiaty w ogrodzie, w otoczeniu kochanej i kochającej go rodziny. Tymczasem stało się inaczej. Rozpoczęła się faza tak intensywnej działalności, jakiej chyba nie prowadził nawet za młodo. Przyglądał się swo-

jej pracy jakby ze zdziwieniem i mówił, że lata spędzone między nami zaliczał do najszczęśliwszych i najbardziej owocnych. Pracę dla Polaków uważał za swoją misję, broił naszych spraw, tak, jak nieraz nie umielibyśmy obronić ich sami. Szedł na konferencje w naszych sprawach, przygotowany do najdrobniejszych szczegółów i rzadkie były wypadki, kiedy nie wywalczył tego czego żądał.

Mówiąc o wynikach pracy Komitetu Oświaty, nazywał je „phenomenal achievement”, ale nie powiedział, że gdyby nie on,

nigdy tego określenia nie można by użyć. Mówiliśmy mu to przy różnych okolicznościach. Dziś, kiedy Frank H. Harrod odszedł, widzimy, że nie mówiliśmy mu tego dosyć mocno i dosyć często.

Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego w W. Brytanii i Polish Research Centre mianowały go swoim członkiem honorowym. Gdybyśmy byli mogli wrócić do wolnej Polski, uczcilibyśmy go wysokim orderem i gorącym przyjęciem, bo prawdopodobnie niemal w każdej dziedzinie pracy państwowej miałby swoich pupilów. Możemy, niestety, uczcić

go tylko zachowaniem we wdzięcznej pamięci jako przyjaciela i opiekuna, którego zasługi dla młodego pokolenia polskiego są ogromne i trwałe.

Stanisław Szydłowski

Autor wspomnienia był od powstania Komitetu Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii; zastępcą p. Harroda jako polski dyrektor Komitetu. Obecnie jest sekretarzem Komitetu Oświatowo-Bibliotecznego. (Red.)

## „POSZEDŁ PO SWOJĄ ZAPŁATĘ...”

3 kwietnia bież. roku zmarł w Genewie, przeżywszy lat 53, Konstanty Górski. Syn Pawła i Gabryeli z Kossakowskich. Należał do rodziny, która dała Kościołowi wybitnego członka Episkopatu i położyła znaczne zasługi w dziedzinie organizacji pracy charytatywnej i podniesienia kultury religijnej w Polsce. Zamieszczamy wspomnienie nadesłane przez przyjaciela.

Każdy, kto czytał wspomnienia o s. p. Konstantym Górskim, które ukazały się w prasie szwajcarskiej i polskiej zagranicznej, musiał być pod wrażeniem niezwykle wielostronnej jego działalności dla sprawy narodowej jak i na terenie społecznym, gdzie przez lat bez mała szesnaście zajmował bez przerwy liczne odpowiedzialne stanowiska: że wymienimy tu prezesury Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii, czy Związku Polaków w Genewie „Polonia”, które w dużej mierze powstały za jego sprawą — długoletnie kierownictwo komisją Skarbu Narodowego, prezesurę szczególnie bliskiego jego sercu szwajcarskiego komitetu pomocy lekarskiej dla Polski, którego wznowienie niemal na łożu śmierci jeszcze rozważał, wreszcie intensywną działalność pomocy dla Kraju przez objęcie w roku 1944 przewodnictwa Komitetu Pomocy Warszawie i Deportowanym, jedynej organizacji polskiej należącej do Aide Suisse à la Pologne, instytucji koordynującej do roku 1948 akcje pomocy Szwajcarii dla Polski.

Sprawą Rapperswilu ś.p. Konstanty Górski szczególnie się zajął i zaopiekował. Utratę zamku rapperswilskiego dla Polski odczuł boleśnie, występuje więc w roku 1952 z inicjatywą urządzenia tam wystawy sztychów zamków polskich. Pełny sukces tej wystawy, zorganizowanej w porozumieniu z Międzynarodowym Instytutem Badania Zamków, zdecydował o powrocie Polski do Rapperswilu. Wybrany przewodniczącym Komisji Rapperswilskiej przy Związku Organizacji Polskich, bierze czynny udział w założeniu i pracach Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu i wchodzi w skład jego zarządu.

Za swe zasługi dla Polski Konstanty Górski odznaczony został krzyżem komandorskim Polonia Restituta.

W ostatnich latach swego życia Zmarły położył również wielkie zasługi dla Rycerskiego Zakonu Szpitalników św. Jana, zwanego maltańskim, którego był kawalerem honorowym i dewocyjnym. W pięknie położonej starożytnej Komandorii w Compesières pod Genewą założył stałą wystawę przedstawiającą historię i teraźniejszość Zakonu. Stworzył ją własnym niemal wysiłkiem ce-

lem zapoznania szerokiej publiczności z wielką działalnością maltańczyków na rzecz chorych, m. in. w Polsce. W uznaniu tej jego owocnej inicjatywy otrzymał wysokie odznaczenie Zakonu.

Powyższą bogatą działalność kulturalną ułatwiła ogromna wiedza Konstantego Górskiego w dziedzinie nauk historycznych i



KONSTANTY GÓRSKI

bibliofilstwa; poloników zdołał zgromadzić piękną kolekcję, tak książek jak i map historycznych. Zorganizowana przezeń w roku 1944 wystawa rzadkich map polskich w Genewie obrazowała dobitnie zasięg Rzeczypospolitej na przestrzeni wieków.

Całość tej często ogromnie absorbującej i nie zawsze wdzięcznej działalności jest tym bardziej godna podziwu, że rozwijał ją Konstanty Górski w trudnych bardzo warunkach — w czasie ostatniej wojny i w okresie powojennym.

Najbardziej uderzającą cechą charakteru odzwierciedlającego się w pracach Zmarłego było jego niezwykle poczucie harmonii: w stosunku do Boga i do ludzi, w życiu codziennym, w licznych pracach społecznych i w przyjaźni. Dawał zawsze z siebie co najlepsze, z żarliwym, prawdziwie chrześcijańskim oddaniem.

Ta niezwykła równowaga ducha, oparta przede wszystkim na głębokiej wierze katolickiej i religijności, a poza tym na wyjątkowo szczęśliwym pozyciu małżeńskim i rodzinnym, była w dużej mierze punktem wyj-

ściowym wszelkich ważniejszych poczynań Konstantego Górskiego.

Nie można na tym miejscu pominąć niewyczerpanych wprost zasobów szczęścia osobistego i wiary w życie, jakie przyniosła Zmarłemu doskonała harmonia w pozyciu — tak drogą mu małżonką, Marią Teresą, z domu Ponti, matką sześciorga ich dzieci, harmonia, która trwała niezmiennie od pierwszego ich spotkania do chwili, w której Bóg zdecydował powołać do Siebie Konstantego Górskiego.

Jasny płomień tej miłości, jakże chrześcijańskiej, świecił Konstantemu Górskiemu bez przerwy i mocno przez całe jego życie, ułatwiając mu przezwyciężenie przeróżnych trudności życiowych, których los mu, jak wielu spośród emigracji, nie zaoszczędził. Z takich „opresji” Konstanty Górski wychodził prawie zawsze zwycięsko, a co najważniejsze, nigdy nie tracił wrodzonego humoru i do końca życia cechował go ten prawdziwie polski rozmach, który był decydującym elementem jego tak ogromnego uroku osobistego.

Kto znał bliżej Konstantego Górskiego i miał sposobność poznać jego młodzieńczą duszę o naturalnej prostocie, jego wyjątkowy, prostolinijny charakter, jego usposobienie nacechowane życzliwością i wielką subtelnością, kto miał okazję stwierdzić jak zawsze był pełen radości życia, ten musiał pojąć, że wszystkie te cechy charakteru zostały uformowane i utrwalone przez jego — jak mówiliśmy — tak bliski, oparty na niezłomnej wierze stosunek do Pana Boga oraz przez wyjątkowe szczęście w pozyciu małżeńskim.

Każdy, kto potrafił prawdziwie przybliżyć się do tego niezwykle człowieka, poznać wrażliwą jego naturę, musiał go szczerze pokochać, a miłość ta łączyła się z uczuciem wielkiego szacunku dla tej, jakże godnej postaci.

Konstanty Górski opuścił nas przedwczynie, po bardzo długiej, przyczyniającej mu wiele cierpienia chorobie. Gdy ktoś bardzo mu bliski wypowiedział niedawno słowa: „Poszedł po swoją zapłatę”, to tym jednym zdaniem ujął może najlepiej całość tego, co można powiedzieć o Zmarłym.

Wierna pamięć o nim pozostanie u tych, którzy mieli sposobność i przywilej spotkania go podczas tej ziemskiej wędrówki, zakończonej budującą, i prawdziwie wzniosłą w swym całkowitym poddaniu woli Bożej, śmiercią.

Antoni Lanckoroński

Genewa, w czerwcu 1958 r.



MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

## wiosna i pochyłość wieku

zielen uderza do głowy drzewom  
musująca i ciepła  
dnem podstepu groźbę niemą  
niesie człowiek dla człowieka

ciężki lot łabędzi  
zwiewności nieba urąga  
zli prorocy fałszywi święci  
palą księgi niszczą ludzkie dobra

ostrożnie w palcach dwóch  
podnoszę kwiat który ktoś urwał  
i rzucił. Żal. Zachodzi duch  
materii noc powtórna

## na północ od Chelsea

kraj gdzie starcy  
pokazują bezwstydnie  
prawdziwe rany  
a młodzi ludzie  
usiłują kupić oklaski  
uśmiech dziewcząt  
i małą sławę  
za dwa  
sfalszowane talenty

gdzie usta  
brukowane są wolnością  
i prawami człowieka

kraj w którym  
bywałem częstym gościem  
ale który nigdy  
nie stał mi się ojczyzną

stworzony  
przez Wielki Wiatr  
ale porzucony przezeń  
u kolebki  
kraj ten leży  
na północ od Chelsea

prawdziwa rozpacz  
i wielka tęsknota  
mieszka tam  
wśród płaskich intryg  
i chodzi na nocną zmianę  
do niepotrzebnych prac

nie wymówię  
jego nazwy  
jak nie wymawia się imion  
przedwcześnie gwałtownie  
aby [zmarłych  
nie nawiedzali nas nocą

stojąc na uboczu  
śledzić będę  
groteskowy taniec  
i obrzydliwość konwulsji  
powtórnego konania  
— dziejopis bezradnie  
kochający kraj ten  
który jak rzekłem był  
nie jest mą ojczyzną

## lubię

lubię spacerować  
gdzie samotne drzewa  
zmagają się  
z gwałtownością wiatru  
ale tłum  
wścibskich człowieczków  
pstrzy natręctwem  
każde miejsce

lubię przeszłość  
a wydany jestem  
bez reszty  
nieuchronnie  
trywialności  
bieżących dni

i lubię  
łagodne światło  
Twych długich  
ciężkich włosów  
takich właśnie  
jakimi ozdabiał  
anioły i Magdaleny  
Filippo Lippi

ale wiążesz je w kok  
albo obcinasz  
nie wiem czemu

i tak  
wszystko co lubię  
jest mi niedostępne

ubrany w nieswoją  
ośmieszającą brzydotę  
waszego wieku  
brnę z trudem  
przez zabagnione miejsca  
płytkie przenośnie  
i grząską uciechę  
ku dalekiemu odbiciu  
wszystkiego co lubię  
w topieli nieśmiertelności

## epitafium powstańcom

czoło zgnilizną opuchło  
odeszła wielkość śmiertelności  
cuchnie robaczywe truchło  
duch świeci na wysokościach

którymi śmierć w walce wzgardzi  
małość sięją na gorzki chleb  
krew w żyłach szemrze niewyrażnie  
oszczędzona uniesieniu wbrew

gdy przyszło życie wieść  
niewygodne i trzeźwe  
wielką w oddaleniu śmierć  
podziwiają jak antyczną rzeźbę

## nagana wielkich liczb

nie dziw się  
gdy stara kobieta  
zabita w wypadku  
któregoś był świadkiem  
obchodzi cię więcej  
niż ofiary kataklizmu  
w Azji Środkowej

zabrano jej życie  
i koszyk  
świętecznych zakupów  
nie dając nic w zamian

to nie jest złe  
gdy zasmucenie dziecka  
znaczy dla ciebie więcej  
niż zagłada narodu  
jeśli odległy jest naród  
a dziecko bliskie

strzeż się  
cierpiących za ludzkość

często nie znajdują  
dosyć litości  
dla psa przybłądy  
i zdradzają przyjaciół  
nawnie ufnych

to straszne — mówisz —  
że świat jest taki zły

będzie lepszy  
uwierz mi  
jeżeli zgasisz w sobie  
jeden rudy płomyk  
kiełkującego oszczerstwa

## oto jest wielkie miasto

kochają w nim  
są niecierpliwi  
urągają Bogu  
piszą listy  
i kłamią

taki  
jest  
nieład  
świata

ale ty kronikarzu?

zapisano od dawna  
tropy kataklizmu  
i przebieg gnicia

ta wiedza nie zbawia

w wielkim mieście  
gdzie kochają  
i gdzie jest wiele zła  
nieład świata  
w którym  
masz swoje miejsce  
utrwalasz czytelnie  
ku zdumieniu  
przypadkowych świadków

małość i pośpiech  
wyrosną kiedyś  
kwiatami ruin

oto  
było  
wielkie  
miasto

powiedzą  
patrzac na gruzy  
może  
czytajac twój opis

## nowy most

na stacyjce  
ponad torami  
w ciągu jednej nocy  
zbudowano most

jest nieludzko wysoki  
ceły z brył cementu  
które ktoś  
gdzieś  
przygotował zawczasu

niewinną brzydotę  
starego mostu  
przeżarła rdza  
malowano go  
zaciekle i na próżno

widać żeń było  
przejazd i tory  
aż do łagodnego  
ramlenia zakrętu  
kilka drzew  
i podróźnych  
niecierpliwosc

blaszany dach  
chronił przychylnie  
od zmienności pogód

nowy most odtrącił  
łagodność i wygodę

wąski i smukły  
sprzyja łokowi  
— wrogowi człowieka —  
ma odkrytą głowę  
i zasłonięte oczy

niech was Bóg strzeże  
znużeni i smutni  
przed nowym mostem  
i złymi siłami które  
wzniosły go wśród nocy

## ogród samotności

owoce co najświeższe  
i złego serca skrawek  
gdy po śnie krzepiącym wreszcie  
wstaniesz dam ci nawet

gęste słodkie powietrze  
roślinnego pełne trwania  
z ptaków i liści się ciesz  
lub serce ku radości skłaniaj

ciężko jest żyć — wiem —  
w świecie pustym i głośnym  
lecz sprzyjają myśli nieme  
ogród samotności

## przebudzenie

śpiącej z książką zaglądam przez ramię  
policzek rzuca cień obły  
krzywo łamie  
i zdania i ozdoby

tom — widzę — miłosnych tłumaczeń  
poematów na perły wymiar  
cień usłużny zawsze  
powabu im przyczyniał

potrąciłem ją nagle  
zdjęty przekorą smutku  
popatrzyła na mnie z żalem  
jakbym lalce serce stłukł

## wędrowka

z węzów i wiatrów  
plecione są  
gniazda niecierpliwosci  
dorasta w nich ptak  
o niespokojnym sercu  
czulość

osłonecznioną polaną  
niosę dzban  
pełen postanowień

z niedalekich zarośli  
z wysokości gniazda  
śledzą mnie  
głodne oczy  
„i tym razem

donikąd nie dojdiesz  
nieczytelny jest  
wętek twego tropu  
brzydoko się garbisz  
od ciężaru dzbana

wyprzedzą cię ci  
którym dopomaga  
wesołoióra  
muza bezmyślności“

wiem o tym ptaku  
ptaku o  
niespokojnym sercu  
ale cieszy mnie  
wędrowka w słońcu  
a dźwigany ciężar  
uczy o prawach  
władających ziemią

## tylko człowiek

jeśli wodom postawić tamę  
rosną wzwyż  
potężnieją

sosna w gąszczu  
pnie się uparcie  
szybko  
ku stopom nieba

tylko człowiek...

ale czemu wszystko  
wprost lub na opak  
służyć ma  
za miarę i lustro  
człowiekowi?  
jego czulości  
gniewowi  
błędom

czyż nie lepiej porównywać  
trawy do gwiazd  
i złote karpie  
do zatopionych księżyców

świat pełen jest  
sprzeczności podobieństw  
i szlachetnienia  
potężnienia w wielości

...tylko człowiek  
grzęznąc w tłumie  
maleje i słabnie  
gada płasko  
na zer  
własnej pogardzie

i szukając  
z zadartą głową  
czulości  
chleba  
uroku  
wpada w sieć  
drapieźnej zazdrości

tylko człowiek...

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

# Modlitewnik ks. Staniszewskiego

Życie modlitwy na każdym jego stopniu wymaga kultury modlenia się, a zatem wzorów i praktykowania zarówno modlitwy społecznej w kulcie publicznym, jak i osobistej. Rozwijający się od paru dziesiątków lat ruch liturgiczny wśród świeckich ma między innymi i tę niemałą zasługę, że nie tylko zwrócił powszechną uwagę na Ofiarę Mszy św. jako na centrum kultu katolickiego oraz na znaczenie czci publicznie oddawanej Bogu, lecz także ukazał piękno tekstów modlitewnych Kościoła, ich prostotę i celowość.

Akcent kładziony przez gorliwych zwolenników ruchu liturgicznego na kult publiczny zawsze budzi pewien sprzeciw tak zwanych, niesłusznie zresztą, „indywidualistów”, którzy podkreślają, iż katolik ma również obowiązek modlitwy osobistej, nawet „własnymi słowami”, w której wyraża się jego stosunek do Boga.

Trwająca na ten temat dyskusja ma widoczny wpływ na ostatnio ukazujące się książki do modlenia, w których widoczne jest staranie o zachowanie równowagi między modlitwą społeczną i osobistą, zbiorową i jednostkową. Na konieczność zachowania tej harmonii zwraca uwagę pośrednio obecny Ojciec św., gdyż obok zachęty do udziału w obrzędach Kościoła i w życiu eucharystycznym oraz udzielania licznych ułatwień w tym kierunku, jest Pius XII autorem ponad 80 modlitw na rozmaite okoliczności, wśród nich zaś wielu do osobistego odmawiania, jako modlitwy stanowe itp.

Nie podobna dziś wyobrazić sobie dobrego modlitewnika, który by nie zawierał części stałych Mszy św. i niektórych obrzędów kościelnych, podobnie jak prawie w każdym mszaliu dla świeckich mamy dodatek zawierający podstawowe modlitwy, litanie, nabożeństwa itp.

W ten sposób nowoczesny modlitewnik przybliża wiernym wspaniałą liturgię Kościoła i przygotowuje do korzystania z mszału dla świeckich, a ten znowu zwraca uwagę na tradycyjne nabożeństwa i znaczenie modlitwy osobistej.

Szczególne zadanie przypada modlitewnikowi polskiemu przeznaczonemu dla rodaków pozostających poza granicami swego kraju i nieraz daleko mieszkających od polskiego kościoła, lub w ogóle pozbawionych polskiego nabożeństwa i kapłana.

W tych warunkach modlitewnik staje się nieodzowną pomocą dla wszystkich pragnących zachować związek z Kościołem w Polsce, modlić się po polsku i swoje dzieci tego nauczyć.

Wszystkim tym warunkom dobrego, nowoczesnie opracowanego polskiego modlitewnika odpowiada piękna książeczka, która się niedawno ukazała w księgarniach polskich na emigracji.\*) Opracował ją wybitny kapłan polski, wytrawny duszpasterz i długoletni rektor Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, a po ostatniej wojnie wikariusz-delegat dla Polaków w Anglii i Walii. Zna do-

skonałe potrzeby duchowe Polaków mieszkających na obczyźnie, a zarazem orientuje się w nowoczesnych tendencjach duszpasterskich i ma kontakt z życiem religijnym kraju. Zasluga, i to trwała zasługa, ks. prałata Władysława Staniszewskiego pozostanie zarówno inicjatywa wydania, jak zwłaszcza celowy dobór działów tej książki do modlenia, jej przejrzysty układ, a przede wszystkim bogaty wybór pięknych polskich modlitw.

Każdy, kto otworzy ten nowy polski modlitewnik, znajdzie w nim na wstępie modlitwy podstawowe, ranne i wieczorne i zaraz po nich modlitwy podczas Mszy św., a więc jej części stałe po polsku i po łacinie, a potem części zmienne ze Mszy św.: na uroczystość Trójcy Przenajświętszej i Najświętszego Serca Pana Jezusa i pierwsze piątki, Mszy za nowożeńców, oraz czterech różnych Mszy św. żałobnych. W dziale poświęconym Sakramentom świętym mamy wyjaśnienie istoty oraz obrzędy i modlitwy towarzyszące udzielaniu każdego Sakramentu. Pominęto tylko długie obrzędy Sakramentu Kapłaństwa. Następnie mamy pięć litanii zatwierdzonych do publicznego odmawiania i dwie do prywatnego (do św. Stanisława Kostki i św. Teresy od Dzieciątka Jezus) oraz 40-godzinne nabożeństwo.

Bardzo obfity jest dział nabożeństw różnych z Drogą Krzyżową, Gorzkimi Żalami, Godzinkami, Różańcem, nieszpornymi polskimi oraz polskimi procesjami: rezurekcyjną, Bożego Ciała, w Dni Krzyżowe, w Dzień Zaduszny. Zbiór 9 nowenn i 4 koronek oraz aż 65 modlitw przygodnych — zdumiewa, zważywszy na niewielkie rozmiary tej książki. Wśród modlitw przygodnych jest 10 modlitw Papieża Piusa XII oraz parę dostojnych w stylu niezapomnianego Kardynała Prymasa Hłonda, którego ks. prałat W. Staniszewski przez szereg lat był bliskim współpracownikiem i który go skierował do pracy duszpasterskiej wśród Polaków w Anglii. Wezwanie kardynała Hłonda aby Polacy poza granicami swej ojczyzny modlili się „pacierzem swego narodu” i „łączyli się z pacierzami w kraju, gdzie modlitwa jest służbą Bożą i służbą Ojczyźnie” — widnieje jako motto na czele modlitewnika, który jest uzupełniony przez krótki katechizm i około 100 pieśni religijnych.

Książka ta ma jeszcze jedno ważne znaczenie, oto teksty modlitw obdarzonych odpustami zostały uzgodnione z ich łacińskimi oryginałami, a te modlitwy, litanie i nabożeństwa, których poprawne teksty zostały podane przez Episkopat Polski po wojnie, są w tym brzmieniu w niej umieszczone. Tak więc dzięki redaktorowi książeczki, dr. W. Jelonkowi, który pieczołowicie tego uzgodnienia dokonał, jest ona obecnie najpoprawniejszym zbiorem modlitw, pozbawionych przeinaczeń zdarzających się nieraz przy czestych przedrukach.

Każdy modlitewnik w przekonaniu większości jego nabywców powinien być nie tylko bogaty, ale i poręczny, a więc łatwo mieścić się w kieszeni, czy też damskiej torebce. Ten warunek spełnia również omawiana książeczka: wydania na papierze brewiarzowym są wcale cienkie, mimo ponad pół tysiąca stronic. Inną zaletą jest dość duży, czytelny druk i czcionka o szerokim oczku, co jest ważne dla ludzi starszych.

Staranną oprawę graficzną uświetnia stronica tytułowa jak również winiety, rysowane przez wybitnego grafika Tadeusza Korwin-Piotrowskiego. Dwubarwna strona tytułowa ma prawie klasyczną prostotę, a słowa tytułu „Pan mój i Bóg mój” rozkładają się symetrycznie. Winiety tytułowe działów nawiązują do XVII-wiecznych rysunków i w sposób niekonwencjonalny oddają myśl religijną każdego działu. Wydawcom należy się uznanie za zerwanie z szablonem, jaki niestety pokutuje w postaci słodkich obrazków i rycin w wielu polskich książkach do modlenia. W kanonie Mszy św. umieszczono świetny drzeworyt pt. „Ukrzyżowanie”, znanego w latach przedwojennych artysty religijnego w Poznaniu, S. Raczynskiego.

Czy modlitewnik ma braki? Z pewnością ma, gdyż się tego uniknąć nie da nawet przy najstaranniejszym przygotowaniu i wykonaniu. Tylko korzystający z modlitewnika może ocenić i o tym napisać do wydawców, co należałoby dodać w następnym wydaniu, a co mu się wydaje zbyt wiele. Ze swej strony zgłaszam: konieczny wydaje mi się wstęp, zawierający krótką rozprawkę o modlitwie, oraz przy spowiedzi trochę szersze opracowanie tak zwanej strony pozytywnej tego Sakramentu, to znaczy świadomego kierowania swym życiem nie tylko przez unikanie grzechu, ale i przez wyrabianie w sobie cnót, przez postęp w dobrem.

Książka jest wydana przez „Veritas” bardzo estetycznie, tak że nie tylko wydanie luksusowe, lecz i najtańsze przyjemnie jest wziąć do ręki. Katolicy polscy w Anglii zawdzięczają ks. prałatowi Staniszewskiemu prawdziwie piękną nową książkę do modlenia. Znajdą w niej najlepszego przyjaciela i przewodnika w życiu duchowym, mocny i żywy łącznik z Kościołem ojczystym i nieocenioną pomoc w katolickim i polskim wychowaniu dzieci.

Z. I.

NOWE

WYDANIE

Franciszek Werfel

PIEŚŃ  
O  
BERNADECIE

DWA  
TOMY  
W  
JEDNEJ  
KSIĄZCE

Oprawa płócienna,  
obwoluta.

Stron 272 i 240.

Szyl. 30/-; dol. 5.00.

Z a m ó w i e n i a

do KATOLICKIEGO OŚRODKA  
WYDAWNICZEGO „VERITAS”

12 Praed Mews, London, W. 2.

\*) PAN MÓJ I BÓG MÓJ — Modlitewnik. Opracował ks. Władysław Staniszewski. Stronę tytułową i winiety rysował Tadeusz Korwin-Piotrowski. Wydał Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1958, stron 528. Cena — zależnie od rodzaju papieru i oprawy — od 10 szyl. do 30 szyl.



# W ŚWIECIE BEATY OBERTYŃSKIEJ

Beata Obertyńska nie godzi się ze śmiercią rzeczy, nie znosi przemijania na zawsze. Uznaje kolejność zmian wewnątrz trwającego istnienia, ale nie tych, które prowadzą do zagłady.

Czytuje się czasem w drobnych, kalendrzowych ciekawostkach statystyki w rodzaju: ile by to miliardów pomnożonych przez miliardy żywych owadów zaludniło powietrze i ziemię, gdyby przestały one umierać przez rok czy lat 10. Beata Obertyńska chciałaby zachować przy życiu wszystkie fruwaćce i pełzające żyjątka, ptaki, zwierzęta, powściągnąć odlot wiatru, nie oddać odpływającej wody. „Gdzie dzisiaj ta woda?” — pyta zaniepokojona; ta woda, która musi płynąć, ale powinna być, być zawsze, jak jej czujna, zawsze wierna pamięć. W tej pamięci mijanie trwa a trwając, raduje i dręczy.\*)

Każde szczytowe wrażenie — jednorazowe lub powtarzające się w czasie — jest zapamiętane jako jedyne warte przeżycia. Co kilka stron naplatają się określenia: „żadne potem”... „nigdzie i nigdy potem nie widziałam”... „i tylko raz”... Z żarliwym przekonaniem twierdzi pisarka, że dane doznanie było niepowtarzalne. A to był czar dzieciństwa przerzucony na rzeczy widziane i sprawy odbywające się. To była potęga najpierwszych wrażeń. „Pamiętam wszystko, wszystkimi zmysłami” — oto właśnie.

Między zmysłami Obertyńskiej a przedmiotem utrwalonym niezmiennie w jej pamięci nawiązała się nierozzerwalna nić. Słowo nadała tuż za obserwacją i przylega do przedmiotu jak przejrzysta błona. Przywiązanie do wrażeń zrodzonych z kształtów i zjawisk, uszczęśliwia zmysły i pozostaje w nich. Ten niemal bałwochwalczy stosunek jej do piękna widzialnego i doznawanego stwarza szczególnie dojmujący żal przemijania. Z latami, zwłaszcza odkąd te lata nie nabywają, lecz już tylko tracą, ta postawa utrwaliła się, ale istniała zawsze: najwcześniejsza, przedwiosenna jej książka „Gitarą i tamci” dźwięczała już nutą żalu za minionym i niepowracalnym. Wczesna młodość rozpamiętywała wzloty zachwytów dziecięcych nad kołędnicami i za mroźnym oknem, już tęskniła za czymś wstecz, nie chciała przeboleć strat jakichś ogrodów, jakichś letnich nocy ocierających się o nagrzane ściany. Za ścianą, za oknem, zawsze zostawało to najmiłsze, utracone.

To jest właściwa postawa Obertyńskiej, w której ona jest najbardziej sobą. Pisząc o spotkanej na ulicy londyńskiej staruszce spod Grodna czy Białegostoku, powtarzając jej bezbębne wywody, mimo całej inności postaci, środowiska i wystowienia, pisarka mówi tak, jak gdyby tłumaczyła z własnego języka na język Walentyny Buczko. „Co to takiego jest w człowieku, że na swoim to zaraz inaczej?” — dziwi się ta „babka” i rozważa, jak się wszystko zmienia, gdy człowiekowi zbraknie przyrodzonego zaplecza. Tam dorobiła się szacunku ludzkiego, „bo też wtedy — żeby jak — stało za mną całe gospodarstwo i ten kawałek pola i dom i ta

chudoba”. Tak tam było — a tutaj? „Jat taka durna, że ani be ani me! Pójdiesz tu — nie rozumieją. Pójdiesz tam — to się na ciebie wypatrzą.”

Nie chcemy przygadywać autorce „Ziarnek piasku”, że i ona tu „taka durna, że ani be ani me”, ale prawdę mówiąc czy jest zasadnicza różnica? Zaścianek emigracyjny — dobrze, garstka zgubionych współwyznawców, tak, to swoje własne, ale świat? Ten świat szeroki, który otoczył obcymi ścianami? Czyż nie to samo? „Pójdiesz tu — nie rozumieją, pójdiesz tam — wypatrzą się. Ot, dziadówka, myślą.” Nie ma się co lu-



dzie, tak jest nam wszystkim na nie swoim gospodarstwie: ot, dziadówka. Mówi Walentyna Buczko spod Grodna: „czasem słodko po dobrym i popłakać” — i mówi Beata Obertyńska: „Można (człowieka) skrzywdzić, zniweczyć, ograbić do ostatniej radości i koszuli. Nic mu jednak nie cofnie szczęśliwego dzieciństwa i nic mu nie odbierze tego — co pamięta”.

Choć różna, wspólna im jest terazniejszość londyńska, samotność w mieście niezmiernym, o którym mówi „babka”: „Ten Londyn... takie to małe, takie ciasne, takie — niech Bóg zachowa — het ze wszystkich stron...” Określenie tego ogromu jako czegoś małego i ciasnego, a jednocześnie „het ze wszystkich stron” jest w swej nielogiczności przejmująco trafne.

W tym zacieśnieniu olbrzymią i obcą małością Walentyna Buczko wspomina gruszę cukrówkę, która tak rodziła, że każdą gałąź podpierała się żerdkami, wspomina konia, krowę, świnię dwie i krzak piwonii kwitnący jak jeden bukiet, przesadzony spod okna na grób córki i nagle skradziony, wydarty z ziemi przez bezbożników. „Tom się z placu opamiętać nie mogła... Najpierw mąż, potem matka, potem córka, a na ostatku piwonie. Bo człowiek w żalości wszystko pomiesza... już sam w końcu nie wie, co ważne a co nie.”

Tak też i Obertyńska rozpamiętuje: „odchodziło moje własne, jedyne życie”. Nawraca uporczywa nuta: „swoje”, „własne”, „stracone”, „głębiej uszczęśliwiający i tak niepojęcie — własne”. Ci najbliżsi — i piwonie. A tu znów: „Smutny chlupot kopyt... I już... I nic... Nikły plusk z powrotem w wodę ciśniętych kamyków. Słyszałeś? A teraz szumi rzeka...” Ta sama rzeka, która tamtej zabrała córkę i piwonie, chudobę i własny drewniany kościółek, gdzie można było płakać nad Panem Jezusem przy odprawianiu Drogi Krzyżowej; nad Panem Jezusem, nie tak jak tutaj — nad sobą.

Ze od dzieciństwa Obertyńska nie mogła znieść rozstania z niczym, świadczy choćby „obezwładniający żal i strach”, który ogarnął ją po odlocie kolorowego balonika. Wieczorem w łóżku „zaczynał się ryk gorący, rozchlipany, od którego zamakały mi uszy i poduszka.” Płakała i nad swoją stratą i nad niedolą balonika błakającego się nocą między gwiazdami. Nie umiała tracić. A jednak wiedziała, że jeśli balon nie zerwie się ze sznurka, to i tak nie dożyje do następnego ranka: „zbabczeje — jak szczęście”. Nawiasowo: świetna jest obosieczność określenia uwiędłego szczęścia: zbabczeje.

Wycieniowana trafność języka i rodzaj wrażliwości Obertyńskiej narzuca porównanie — w zakresie doznań zmysłowych — do Colette. Ale tylko w zakresie tych doznań, które obejmują wyczuwanie natury, zrozumienie zwierzęcia, pewnych cech i reakcji człowieka. To znaczy, porównanie ogranicza się do stron poświęconych przez Colette dzieciństwu, matce, obcowaniu z przyrodą, przyjaźni z psem, z kotem (kota u Obertyńskiej nie ma, czego osobiście nie mam jej za złe; jestem po stronie psa) i to jeśli idzie o rodzaj obserwacji i drobiazgową dokładność wyrazu. Poza tym, nie. Nie ma u Obertyńskiej tego nalotu rozwiązłości, który zaczadził prawie wszystkie książki Colette. prócz nielicznych, tchnących duchem jej matki, coraz wszechładniej opanowującym ją pod starość.

Czytelnik dzisiejszy, a bardziej jeszcze dzisiejszy krytyk, jest wrogiem przymiotników. Najczęściej słusznie. Relacja faktów i zdarzeń konkretnych zyskuje na oszczędności w użyciu przymiotników zacierających ostrość rysunku. Ale są pisarze, którym przymiotnik przystoi. Skreślając część z ich mnogości, Obertyńska nie wypowiedziałaby się w pełni. Należy do pisarzy kolorystów, nasycających swój styl barwami od soczystych do zwiewnych. Nie chodzi o to, co powie, ale jak powie. Określa i cieniuje przymiotnikami, gra nimi i dzwoni, każde zdanie szumi, musuje, pieni się ich bogactwem, są zawsze mówiące, nigdy zdawkowe. Byłoby też przykro zrezygnować z jej nielicznych, ale wyrazistych prowincjonalizmów, jak „marony”, „nieglaźny”, „kałatać”, „masny”, „kałabania”. Albo zmienić coś w takim zdaniu, jak to o cieście, które kucharka, „u-głaskawszy” na blasze, „myziała” pęczkiem piór, po czym „szurnięta w rurę blacha znikła w piecu”.

Wolimy jej pisanie z natury niż z wyobraźni. Nie czuje się w nim budowania tematu, ogólna charakterystyka nie przygważdza lotności szczegółów i nie jest potrzeb-

\*) Beata Obertyńska: ZIARNKA PIASKU. Opowiadania i nowele. Tom 34 serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”. Londyn 1958. Stron 258. Cena 15 szyl.

na, szczegóły wystarczą. Są tak żywe i stonowane, że wylaniają z siebie zarysy postaci.

Opowiadanie o Faustynie jawiącej się pod zamkniętymi powiekami, wydaje się typowym przejawem ucieczki od rzeczywistości. Zaświadcza o tym dedykacja współtowarzyszkom niedoli obozowej. Wszystko jak najdalej od więziennego bytowania znalazło wyraz w tej opowieści, płynącej z ozdobną przesadą przez salony i parki. Autorka wynagradza sobie dramat niewoli dramatyzowaniem życia ludzi pozbawionych troski o byt materialny, jak gdyby brała odwet za przemoc, brud, zaduch, odebranie swobody. Styl dostraja się do krynolinowej napuszystości, jest bujny, błyszczący, najeżony wykrzyknikami, zawieszany wciąż na wielokropkach. Jest w tym sztuczność i przestarzałość zamierzona, a może i nie zawsze zamierzona. Chciałoby się wierzyć autorce na słowo, że opisywane uczucia są głębokie i wstrząsające, ale to poręczenie nie wystarcza: robią wrażenie czegoś zewnętrznego, jak misterne malowanie na porcelanie.

Podobnie zewnętrzne wrażenie sprawia bajka o strasznym karle, ale to w porządku, od postaci bajkowych nie wymaga się pulsowania żywą krwią. Jest to fantastyczny film, cały w posępnych dekoracjach, napraszający się o wyświetlenie disneyowskim sposobem.

Takie fantazje mają swych entuzjastów i na pewno zachwyca niejednego, pragnącego zapomnieć o codzienności.

Obertyńską stać na różne stylizacje, ale

sobą, najlepszą sobą jest, gdy opiewa zwyczajną codzienność. Deszcz, pogoda, strych, drzewo, pranie, rzeka, psy, smak i kolor owocu, chleba, mleka, smak i kolor dnia powszedniego przechowanego we wdzięcznej pamięci. Otóż to właśnie: wdzięcznej. Stosunek do przeszłości bywa wdzięczny i niewdzięczny. Jedni pamiętają same pogodne lata, inni same słotne. Dzieciństwo Beaty było szczęśliwe. Czy dlatego, że płynęło w osobliwie sprzyjających warunkach? Być może. Ale przede wszystkim dlatego, że chłoneła z niego samo szczęście. Niektórzy zaprzeczają kategorycznie możliwości szczęścia w dzieciństwie. U Obertyńskiej mamy nie mniej kategoryczne jego stwierdzenie. Od pewnego znanego pisarza, który, mówiąc o swych dzieciennych latach, oświadcza: ojciec był zły — wszyscy ojcowie są źli (bez cudzysłowu, nie rękując za dosłowność) — nie możemy się spodziewać wspomnień prześwieconych szczęściem. Może przeżywał i jasne chwile, ale ma pamięć wroga, niewdzięczną, taką, która przechowuje jedynie momenty ujemne. Tworzywo, z którego Obertyńska wysnuła zachwyczone przeżycia, dostarczyłoby mu zapewne wspomnień zakurzonego strychu, zepsutej rywny, podejrzanych romansów ognistej służącej, niemilych dreszczów po zbyt zimnej kąpeli w potoku, nudnej sloty i męczącego upału. To byłaby także prawda.

Istnieje koszarowa parafraza wdzięcznej piosenki „Tam na błoniu błyszczą kwiecie”, gdzie w miejsce słów „a dziewczyna jak malina niesie koszyk róż” jest „a dziewczucha jak ropucha niesie w łapach karalucha”.

Potem „stój, zaczekaj, moja duszko, dokąd drobną strzyżesz nóżką?” — zmienia się na: „Stój, zaczekaj, moja miła, gdzie tak leżysz jak kobyła?” Inne zwroty są niepotwarzalnie wulgarnie. Może to i zabawić w pierwszej chwili, ale na bardzo krótko. Ta parafraza dowodzi, że są rodzaje wyobraźni, które nie potrafią oprzeć się pokusie splugawienia prostego i wdzięcznego obrazu. Nie umieją patrzeć na świat inaczej niż pod kątem brzydoty. Obertyńska widzi go pod kątem piękna. Nawet cierpiąc poniżenie w „domu niewoli” umiała się zachwycać późnojesiennym lasem i grą światła na górach Uralu („piękno jego zmoгло mnie mimo całej nienawiści do wszystkiego, co tutejsze”).

Storożka jest niczym nie skażona, każde wrażenie bije tam wprost ze źródła, więc i na ułomność ludzką nie pada cień niechęci. Pisarkę interesuje i zadziwia gatunek człowieka, jego charakter, jego odrębność. Więc i żywiłowa Antonia i prostoduszny Hryń ze złamanym sercem i dowcipkujący listonosz i mdła Hania anemicznie zazdrosna i, na innym miejscu, dwie starzejące się Francuzki, jędrna i zamaszysta niania Marysia — wszyscy oni widziani są życzliwie, jak ciekawe obiekty obserwacji w pasjonującym te spraw i rzeczy inscenizowanych przez życie.

Ten stosunek do otoczenia sprawia, że świat Obertyńskiej jest świetlisty nawet w niepogodę i że w smutku jej nie ma goryczy, choć jest nieuleczalny.

Zofia Kozarynowa

## Bez paniki i bez demagogii

Kiedy redakcja ZYCIA zwróciła się do mnie o napisanie recenzji nowej książki Tadeusza Felsztyna,<sup>\*)</sup> odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że w dziedzinach takich jak fizyka i chemia, nie mówiąc już o zagadnieniach energii atomowej, którym książka jest poświęcona, jestem zupełnym profanem.

— Tym lepiej! — odpowiedziano mi. — Książka nie była pisana dla fachowców. Chodzi właśnie o stwierdzenie, w jakim stopniu będzie ona dostępna dla nieprzygotowanego czytelnika.

Tu l'as voulu, George Dandin — pomyślałem więc tylko. Był bowiem inny jeszcze, ważniejszy, bo mój własny, powód, który zdecydował o tym, że podjąłem się pisać o „Atomie w służbie ludzkości”. Powstał on pewnego zimnego i deszczowego popołudnia przed paru miesiącami, kiedy — jak to mówią — „pełniąc obowiązki zawodowe” wziąłem udział w demonstracyjnym marszu zorganizowanym w Londynie jako protest przeciwko doświadczeniom atomowym („ktokolwiek by je przedsiębrał”, jak głosiły ulotki). Miałem później napisać o tym raporcie dla pewnego europejskiego dziennika. Manifestacja niewiele zresztą (chyba brakiem temperamentu uczestników) różniła

się od podobnych imprez, jakie już widziałem we Francji, w Niemczech zach, i jeszcze gdzie indziej. Wszystkie pachniały „kominformem”, choć zapewne większość uczestników zapachu tego nie czuła.

I wtedy właśnie, w czasie tego dość niemrawego spaceru, powiedziałem sobie, że muszę przeczytać jakąś dobrą książkę o problemach atomowych, która uporządkowałaby w mej głowie to wszystko co wpadało do niej przypadkiem poprzez artykuły w piśmie, filmy dokumentarne i relacje z końcowej fazy ostatniej wojny.

Książka Felsztyna wyszła temu właśnie postanowieniu naprzeciw.

Nie zamierzam — rzecz jasna — opowiadać Czytelnikom „własnymi słowami” treści zawartej w ośmiu częściach tego kompendium dostępnej dziś wiedzy o atomie. Na pewno nie potrafiłbym tego zrobić np. z pierwszymi rozdziałami poświęconymi energii chemicznej w ogóle, rozszczepianiu atomów i atomowym przemianom, a dalej stosom atomowym, paliwom i chłodziwom oraz zwalniaczom i pochłaniaczom neutronów. Karty te nie zaliczają się do lektury łatwej i nie należy się przy ich czytaniu spieszyć. Niech się więc Czytelnik nie przeraża i nie niecierpliwi, że nieraz będzie musiał przystanąć, a nawet cofnąć się do poprzednich stronic, by sprawdzić czy dobrze zrozumiał. Trud ten oplaci mu się niezawodnie w dalszym czytaniu, które wciąga nas w swój rzeczowy rytm, bez reszty absorbując naszą pęczniejącą ciekawość, uj-

mując ją zarazem w ramy pojęć podstawowych zabezpieczających przed zawieruszeniem się uwagi.

Doczytawszy do rozdziałów o izotopach (część III) przekonujemy się, że stanowią one temat wręcz pasjonujący. Dotyczy to zwłaszcza rozlicznych i czasem zupełnie nieoczekiwanych zastosowań izotopów promieniotwórczych w wielu dziedzinach życia praktycznego, a więc naprawdę w służbie l u d z i, których z upartym zamiłowaniem do abstrakcji upieramy się nazywać „ludzkością”.

O zastosowaniach izotopów w medycynie czytaliśmy już niejednokrotnie; wiemy o ich znaczeniu przy wykrywaniu chorej tarczycy, przy leczeniu nowotworów, a także wrzodów w mózgu (coś dla Kisielea z „Tygodnika Powszechnego”). Czy wiedzieliśmy jednak o przydatności izotopów w rolnictwie (nowożytna sztuczna walka ze szkodnikami, nie mówiąc już o sztucznym prowokowaniu mutacji gatunków roślin)? Albo o nowych widokach przemysłu konserwowego, jakie otwiera naświetlanie żywności przez popioły promieniotwórcze? Z innych rozdziałów dowiemy się o zastosowaniach izotopów w dziedzinie pomiarów i samoregulacji przyrządów: o znaczeniu polimeryzacji w przemyśle plastikowym i przetwarzaniu produktów ropy naftowej, a nawet o zastosowaniu tuszu promieniotwórczego w grafice.

Felsztyn przechodzi następnie do wyluśnienia nam najbardziej efektywnych (poza bombami, oczywiście!) osiągnięć techniki przy zastosowaniu energii atomowej. Poprzednio omówił już szerzej znaczenie jej jako źródła, które jedynie zaspokoić może rosnące potrzeby energetyczne przyszłych ludzkich pokoleń. Jeśli pamiętać o nieu-

\*) Tadeusz Felsztyn: **ATOM W SŁUŻBIE LUDZKOŚCI**. Tom VI serii zielonej „Biblioteki Polskiej”, „Veritas”, Londyn 1958. Str. 334 i 6nl.; 88 ilustracji; obwoluta. Cena 15 szyl.

chronnym i dającym się już dziś obliczyć wyczerpawaniu się na ziemi paliw naturalnych (węgiel, ropa, gazy etc.), to łatwo godzić się z autorem, że energia atomowa objawia nam się w chwili obecnej jako nowy, bezcenny dar Boży, bez którego poziom materialnego życia człowieka musiałby być niebawem cofnięty do form niemal prymitywnych.

Po szczególnej słowni atomowej strukturę i nieregularność atomów podwodnych terytorii, które należą do wody, zrodzoną z tysięcy mil po wieloletnich wynikach ocenia autor, że energia atomowa to także szansa napędzenia atomowego, choć sceptycyzm w dziedzinie atomowej jest.

Poświęciwszy uwagę rudości w mapie fizyki atomowej, zagadnienia z promieniowania, które w umysłach nasza, a nie pleńca się.

Dlatego można powiedzieć, że w swojej książce, mówiąc o groźnym, a komórki (rak), a następnie o skutkach, które w doświadczeniach, że to bezpieczeństwo, a nie atmosfery ziemskiej, do właściwych, efektywnych, którymi wrażliwość, wszelką cenę. Ciekawość atomowych, nie natężenie, wodorowymi, poziomie, przez ten sposób, aby zaledwie, człowiek otrzymuje.

Podkreśla, że w zornie niewinnych, stanowiących, omawiając, zarażenie, ki leczenia, chętnie, waniem (przykładach z Hiroshimy), kowo krótkim (nie). W innych, że dzięki stosowaniu, wym ostrożność, poszczycić się, i zachorzeń, galęzi wytwórczości w Wielkiej Brytanii.

Przestrogi i sprostowania Felsztyna przywołały gdzieś z drugiego planu mej pamięci myśl o człowieku, który u samego progu „lat atomowych“ z wnikliwością ślepeca dostrzegł był prawdziwe proporcje „wielkich“ i „małych“ spraw idącej epoki. W jednym ze szkiców swej „Czarnej księgi“ pisał Giovanni Papini o tym jak łatwo, rozdzierając szaty nad ofiarami Hiroshimy i Nagasaki, zapominamy o tych tysiącach ludzi ginących każdego dnia i każdej nocy przez naszą nie-

ostrożność, niedbalstwo i egoizm — przy zupełnej obojętności reszty tego świata.

Rozważania te pogłębia ostatni rozdział książki: „Problemy moralne związane z energią atomową“. Przypomina w nim autor, że poznanie prawd Bożych ukrytych w przyrodzie nie może być nigdy moralnie złe. Każda bowiem nowa prawda cząstkowa

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

DANUTA MOSTWIN

## DOM STAREJ LADY

POWIEŚĆ



NAKLADEM KATOLICKIEGO OŚRODKA  
WYDAWNICZEGO „VERITAS”  
W LONDYNIE

Szczegóły na odwrocie!

ten, kto ją kupuje, będzie często zaglądał; jeżeli zaopatruje się ją w tak wielką ilość rysunków i fotografii (jest ich łącznie 88) — to wypadło już wydrukować ją na lepszym papierze. Tak samo czystość składu (nie korekta), zależna od stopnia zużycia matryc, pozostawia wiele do życzenia.

Książka Tadeusza Felsztyna kończy się aktualizującymi ją jeszcze bardziej załącznikami oraz bardzo starannie sporządzonym skorowidzem.

## „TEKI HISTORYCZNE”

„Teki Historyczne“ (tom VIII, 1956-7, str. 212, cena 16/-) wydaje Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie, nakładem Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego.

Tom VIII jedyne dziś niezależnego polskiego czasopisma historycznego ukazuje się w dwuletniej, jako podwójny rocznik, o losach i dorobku polskiej literatury w ciągu tych dwóch lat. Wychodzi dla historiografii w Kraju, a także do głosu sumienia historyków i mówią o stanie rzeczy w Kraju art. Kukieła „Przesilenie w historiografii polskiej“; Władysława Wielhorskiego „Księstwo Litewskie w komunistycznej Polsce“; Marii Danilewiczowej „Rzut oka na działalność historyczną w Kraju w roku 1957“. Obie recenzje informuje szczegółowo o orędziach i pracach historycznych na obczyźnie.

W tomie ponadto artykuły i rozprawy: o „Mediewistyce na Kongresie w Rzymie“; Szyszmana „Stulecie zarządu duchownego w Polsce“; H. Świdorskiej „Kilka epizodów z historii polsko-angielskiej za Jagiellów“; Tylingi „Międzynarodowe koła filozoficzne powstania styczniowego“; Książkowski daje szczegółową historię styczeńskiego powstania, cenny do dziejów kultury polskiej na obczyźnie.

Recenzji omówione są prace F. H. Paszkiewicza, X. W. Meysztołdha Rhode (obszerna rozprawa), St. Książkowskiego, R. M. B. Petrowicza, T. Komarnickich i sprawozdanie J. Hoffmanna „Wołyńianach“ na emigracji.

W tomie zawiera wspomnienia prof. T. Turkowskim, Fr. Pułaskim, L. i E. Kipie.

### SIĄŻKI NADESŁANE

„LES RELIGIEUXS DANS LA VIE INTERNATIONALE“, wydane nakładem Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolickich i Stałego Komitetu Międzynarodowego Kongresów Apostolstwa Świeckiego, 1957, str. 91.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (Conférences sur l'Europe Centrale et Orientale), nakł. Collège de l'Europe Libre Strasbourg-Robertsau, Berger-Levrault, Nancy-Strasbourg 1958, str. 258.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

„L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS“ (III wyd.), str. 75.

na, szczegóły wystarczą. Są tak żywe i stonowane, że wylaniają z siebie zarysy postaci.

Opowiadanie o Faustynie jawiącej się pod zamkniętymi powiekami, wydaje się typowym przejawem ucieczki od rzeczywistości. Zaświadcza o tym dedykacja współtowarzyszkom niedoli obozowej. Wszystko jak najdalej od więziennego bytowania znalazło wyraz w tej opowieści, przesadą przez salony nagradza sobie dramatyzowaniem życia ludzi po byt materialny, jak go przeemoc, brud, zaduch. Styl dostraja się do krętości, jest bujny, błyszczący krzykawkami, zawieszony w kropkach. Jest w tym rzadkość zamierzona, a nie mierzona. Chciałoby się słowo, że opisywane u wstrząsające, ale to po cza: robią wrażenie jak misterne malowanie.

Podobnie zewnętrznie bajką o straszonym karle od postaci bajkowych sownia żywą krwią. film, cały w posępny praszający się o wyświł sposobem.

Takie fantazje mają na pewno zachwycać nie zapomnieć o codziennym Obertyńską stać na

sobą, najlepszą sobą jest, gdy opiewa zwyczajną codzienność. Deszcz, pogoda, strych, drzewo, pranie, rzeka, psy, smak i kolor owocu, chleba, mleka, smak i kolor dnia powszedniego przechowanego we wdzięcznej pamięci. Otóż to właśnie: wdzięcznej. Stosunek do przeszłości bywa wdzięczny i niewdzięczny. Jedni pamiętają same pogodone lata, inni same słotne. Dzieciństwo Beaty

Potem „stój, zaczekaj, moja duszko, dokąd drobną strzyżesz nóżką?” — zmienia się na: „Stój, zaczekaj, moja miła, gdzie tak leżysz jak kobyła?” Inne zwroty są niepowtarzalnie wulgarnie. Może to i zabawie w pierwszej chwili, ale na bardzo krótko. Ta parafraza dowodzi, że są rodzaje wyobraźni, które nie potrafią oprzeć się pokusie splugawienia prostego i wdzięcznego obrazu. Nie świat inaczej niż pod ką-

artyńska widzi go pod ką-  
wet cierpiąc poniżenie w  
miała się zachwycać póź-  
i grą światła na górach  
go zmogło mnie mimo ca-  
wszystkiego, co tutejsze”).

liczym nie skażona, każde  
wprost ze źródła, więc i  
ką nie pada cień niechę-  
suje i zadziwia gatunek  
arakter, jego odrębność.  
Antonia i prostopadły  
n sercem i dowiecipujący  
łania anemicznie zazdro-  
iejscu, dwie starzejące się  
i zamaszysta niania Ma-  
oni widziani są życzliwie,  
y obserwacji w pasjo-  
i rzeczy inscenizowanych

o otoczenia sprawa, że  
jest świetlisty nawet w  
smutku jej nie ma gory-  
aleczalny.

Zofia Kozarynowa

w ramy pojęć podstawo-  
jących przed zawierusze-

rozdziłów o izotopach  
nujemy się, że stanowią  
pasjonujący. Dotyczy to  
ch i czasem zupełnie nie-  
osowań izotopów promie-  
wielu dziedzinach życia  
ięć naprawdę w służbie  
z upartym zamiłowaniem  
ramy się nazywać „ludz-

izotopów w medycynie  
jednokrotnie; wiemy o ich  
krywaniu chorej tarczy-  
nowotworów, a także  
(coś dla Kisiele z „Ty-  
nego”). Czy wiedziliśmy  
ności izotopów w rolnic-  
zne, walka ze szkodnika-  
ż o sztucznym prowoko-  
lunków roślin)? Albo o  
przemysłu konserwowego,  
wielanie żywności przez  
wórcze? Z innych roz-  
ię o zastosowaniach izo-  
pomiarów i samoregu-  
o znaczeniu polimeryza-  
astykowym i przetwarza-

niu produktów ropy naftowej, a nawet o za-  
stosowaniu tuszu promieniotwórczego w gra-  
fice.

Felsztyn przechodzi następnie do wytlumaczenia nam najbardziej efektywnych (poza bombami, oczywiście!) osiągnięć techniki przy zastosowaniu energii atomowej. Poprzednio omówił już szerzej znaczenie jej jako źródła, które jedynie zaspokoić może rosnące potrzeby energetyczne przyszłych ludzkich pokoleń. Jeśli pamiętać o nieu-

Tom 62

„BIBLIOTEKI POLSKIEJ”  
Seria: czerwona. Powieść.

Płócienna oprawa; złoceńca;  
barwna obwoluta; ok. 300 str.

Cena księgarska: szyl. 15/-  
dol. 2.50  
fr. fr. 900

Cena w subskrypcji: szyl. 10/3  
dol. 1.50  
fr. fr. 615

TERMINY SUBSKRYPCJI:

dla Anglii — 30 czerwca 1958;  
dla krajów  
zamorskich — 31 lipca 1958.

Prosimy o niezwłoczne  
wypełnienie  
Karty Zamówieniowej  
i przysłanie  
na adres, jak poniżej.

(Prosimy wypełnić czytelnie, odciąć i wysłać pocztą.)

KARTA ZAMÓWIENIOWA

VERITAS FOUNDATION  
PUBLICATION CENTRE  
12 Praed Mews,  
London, W. 2, England.

DO:

Zamawiam w subskrypcji ..... egzemplarz(e)

„DOM STAREJ LADY” D. MOSTWIN. Cena za egzemplarz (z opakowaniem i przesyłką) szyl. 10/3, dol. 1.50, fr. fr. 615, lub odpowiednik w innych walutach. Należność ..... załączam — wpłacam do przedstawiciela „Veritasu” — przesyłam międzynarodowym przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić).

NAZWISKO I IMIĘ: .....

DOKŁADNY ADRES: .....

Data: ..... Podpis: .....

(Prosimy wypełnić i przesać w kopercie)

Uwagi  
administr.

CL

E

Bez

Kiedy redakcja ZYC  
mnie o napisanie re-  
Tadeusza Felsztyna.\*)  
nie z prawdą, że w dz  
fizyka i chemia, nie  
nieniach energii atom  
jest poświęcona, jest  
nem.

— Tym lepiej! —  
Książka nie była pis  
Chodzi właśnie o st  
stopniu będzie ona do  
towanego czytelnika.

Tu l'as voulu, George  
łem więc tylko. Był  
ważniejszy, bo mój wła  
decydował o tym, że  
„Atomie w służbie lu  
pewnego zimnego i  
nia przed paru miesią  
mówią — „pełnią ok  
wzięciem udział w dem  
zorganizowanym w Lo  
przeciwko doświadczeni  
kolwiek by je przedsię

lotki). Miałem później napisać o tym repori-  
taż dla pewnego europejskiego dziennika.  
Manifestacja niewiele zresztą (chyba brakiem temperamentu uczestników) różniła

\*) Tadeusz Felsztyn: ATOM W SŁUŻBIE  
LUDZKOŚCI. Tom VI serii zielonej „Bibli-  
teki Polskiej”, „Veritas”, Londyn 1958. Str.  
334 i 6nl.; 88 ilustracji; obwoluta. Cena  
15 szyl.

## „TEKI HISTORYCZNE”

„Teki Historyczne” (tom VIII, 1956-7, str. 212, cena 16/-) wydaje Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie, nakładem Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego.

Tom VIII jedyne go dziś niezależnego polskiego czasopisma historycznego ukazuje się po przerwie dwuletniej, jako podwójny rocznik. Informuje on o losach i dorobku polskiej historiografii i zagadnieniach polskiej historii literatury w ciągu tych dwóch lat, przełomowych dla historiografii w Kraju przez doświadczenia z głosu sumienia historyków i pisarzy. Mówią o stanie rzeczy w Kraju artykuły: M. Kukiela „Przesilenie w historiografii krajowej”; Władysława Wielhorskiego „Wielkie Księstwo Litewskie w komunistycznej historii Polski”; Marii Danilewiczowej „Trudny rok: rzut oka na działalność historyków literatury w Kraju w roku 1957”. Obszerna Kronika informuje szczegółowo o organizacjach i pracach historycznych na obczyźnie i w Kraju.

Tom zawiera ponadto artykuły i rozprawy: L. Koczego o „Mediewistyce na Kongresie historyków w Rzymie”; Szyszmana „Stulecie karańskiego zarządu duchownego w Trokach”; H. Swiderskiej „Kilka epizodów ze stosunków polsko-angielskich za Jagiełły”; St. Bobra-Tyngi „Międzynarodowe koła finansowe wobec powstania styczniowego”. Prof. Kościakowski daje szczegółową historię Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie w pięćdziesięciolecie jego powstania, cenny przyczynek do dziejów kultury polskiej na Litwie i obecnego jej losu.

W dziale recenzji omówione są prace F. Dvornika, H. Paszkiewicza, X. W. Meysztowicza, Gottholda Rhode (obszerna rozprawa J. Hoffmana), St. Kościakowskiego, R. E. Lesliego, M. B. Petrowicza, T. Komarnickiego, W. Kuhna i sprawozdanie J. Hoffmana o ukraińskich „Wołynianach” na emigracji.

Nekrologia zawiera wspomnienia pośmiertne o T. Turkowskim, Fr. Pułaskim, L. Piotrowiczu i E. Kipie.

## KSIAŻKI NADESŁANE

LES CATHOLIQUES DANS LA VIE INTERNATIONALE, wydane nakładem Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolickich (OIC) i Stałego Komitetu Międzynarodowych Kongresów Apostolstwa Świeckich, Paryż 1957, str. 91.

J. M. Bocheński, O.P. — DIE KOMMUNISTISCHE IDEOLOGIE, Heft 21, Schriftenreihe der Bundeszentrale für Heimatdienst, Bonn 1957 (III wyd.), str. 75.

Tymon Terlecki — EGZYSTENCJALIZM CHRZESCIAŃSKI, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1958, str. 40.

EAST-CENTRAL EUROPE UNDER THE COMMUNISTS — POLAND, pod redakcją Oskara Haleckiego, nakł. Mid-European Studies Center of the Free Europe Committee, Inc., Atlantic Books Stevens & Sons Ltd., London 1958, str. XVIII + 601, 10 map, opr. płóc., obwoluta, cena £ 3.10.0.

L'EUROPE DES DIX PAYS ABSENTS (Conférences sur l'Europe Centrale et Orientale), nakł. Collège de l'Europe Libre Strasbourg-Robertsau, Berger-Levrault, Nancy-Strasbourg 1958, str. 258.

Christine Hotchkiss (Krystyna Oppeln-Bronkowska) — HOME TO POLAND, Eyre & Spottiswoode, London 1958, str. 208, opr. płóc., obwoluta, cena 21 szyl.

Stanisław Michalski — WIERSZE WZGAR-DZONE, nakł. autora, Montreal 1958.

chronnym i dającym się już dziś obliczyć wyczerpywaniu się na ziemi paliw naturalnych (węgiel, ropa, gazy etc.), to łatwo godzić się z autorem, że energia atomowa objawia nam się w chwili obecnej jako nowy, bezcenny dar Boży, bez którego poziom materialnego życia człowieka musiałby być niebawem cofnięty do form niemal prymitywnych.

Po szczegółach budowy i działania elektrosłowni atomowych, pozajajemy obecnie strukturę i nieograniczone możliwości silników atomowych amerykańskich okrętów podwodnych typu „Nautillus” i „Wilk Morski”, które na naszych oczach zrealizowały zrodzoną z wyobraźni Vernego wizję „20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi”. Na podstawie wyników tych pierwszych doświadczeń ocenia autor perspektywę zastosowania silnika atomowego dla statków nawodnych, a także szanse szybkiej realizacji samolotu o napędzie atomowym; ba — pisze nawet, choć sceptycznie — o lokomotywie i samochodzie atomowym.

Poświęcivszy osobne części swych rozważań rudom uranu i toru i ich rozmieszczeniu na mapie ziemi, a następnie narzędziom fizyki atomowej, przechodzi dr Felsztyn do zagadnienia niebezpieczeństw wynikających z promieniowania, w której to dziedzinie panuje w umysłach ludzi wszystkich już dzisiaj ras i narodów największy zamęt i bujnie pleniąca się na nim demagogia.

Dlatego może autor wraca do tego zagadnienia w swej książce kilkakrotnie, omawiając je szczególnie wyczerpująco. Dowiadujemy się o groźnych skutkach promieniowania na komórki żywe (np. niebezpieczeństwo raka), a następnie — w osobnym rozdziale — o skutkach genetycznych oraz nieszkodliwych dozach promieniowania. Należy tu podkreślić, że Felsztyn, nie umniejszając niebezpieczeństw mogących wynikać z ewentualnego powiększenia promieniotwórczości atmosfery ziemskiej, sprowadza te sprawy do właściwych proporcji — bezlitosnych dla efektownych sloganów propagandowych, którymi wrażliwi pacyfści operują — za wszelką cenę. Czytamy więc np., że promieniotwórczość dotychczasowych wybuchów atomowych jest znikoma i że gdyby średnie natężenie prób z bombami atomowymi i wodorowymi miało się utrzymać na obecnym poziomie przez 100 lat, ilość powiększonej w ten sposób promieniotwórczości wynosiłaby zaledwie jedną trzydziestą tej, jaką człowiek otrzymuje ze źródeł naturalnych.

Podkreśla natomiast autor istnienie pozornie niewinnych źródeł promieniowania stanowiących realne niebezpieczeństwo, omawiając zarazem środki zaradcze i wyniki leczenia chorób wywołanych promieniowaniem (przykład grupy dziewcząt japońskich z Hiroszimy, wyleczonych w stosunkowo krótkim czasie w Stanach Zjednoczonych). W innym miejscu dowiadujemy się, że dzięki stosowanym w przemyśle atomowym ostrożnościom, mógł on w roku 1955 poszczycić się najmniejszą liczbą wypadków i zachorzeń przemysłowych ze wszystkich gałęzi wytwórczości w Wielkiej Brytanii.

Przestrogi i sprostowania Felsztyna przywołały gdzieś z drugiego planu mej pamięci myśl o człowieku, który u samego progu „lat atomowych” z wnikliwością ślepcy dostrzegł był prawdziwe proporcje „wielkich” i „małych” spraw idącej epoki. W jednym ze szkiców swej „Czarnej księgi” pisał Giovanni Papini o tym jak łatwo, rozdzielając szaty nad ofiarami Hiroszimy i Nagasaki, zapominamy o tych tysiącach ludzi ginących każdego dnia i każdej nocy przez naszą nie-

ostrożność, niedbalstwo i egoizm — przy zupełnej obojętności reszty tego świata.

Rozważania te pogłębia ostatni rozdział książki: „Problemy moralne związane z energią atomową”. Przypomina w nim autor, że poznawanie prawd Bożych ukrytych w przyrodzie nie może być nigdy moralnie złe. Każda bowiem nowa prawda cząstkowa przybliża nas bardziej do Boga, który jest samą Prawdą. Wypływają stąd problemy takie, jak wolność nauki, odpowiedzialność uczonego, dozwolone metody badań oraz — najważniejszy — jaki użytek uczyni człowiek z ich wyniku. Jest też w tym rozdziale omówione w dobrym skrócie i w oparciu o zeszlóroczne orędzie wigilijne Ojca św. zagadnienie prawa narodów do obrony przed złem — nawet drogą wojny.

Warto może specjalnie podkreślić wyraźną, bezkompromisową postawę autora w zawieszonym dziś nad światem konflikcie wolności z komunizmem. W przeciwieństwie do niektórych zachodnio-europejskich a także amerykańskich uczonych, Felsztyn nie ma żadnych wątpliwości po czyjej stronie jest słusność. Wyrażając z krzepającym optymizmem swą wiarę w zachodnią drogę postępu wierzy on zarazem — i nam tę wiarę przekazuje — że jedynie przestrzeganie praw etyki chrześcijańskiej może zapewnić ludzdom bezpieczeństwo i szczęście w otwierającej się przed nimi wspaniałej erze energii atomowej.

Dodać tu można — ze szczególną wdzięcznością dla papieża Piusa XII — że od dłuższego już czasu Kościół Powszechny nie stoi od zglębienia tajemnic przyrody we wszystkich jej sferach; że nie ograniczając się jedynie do oceny metod i wyników badań naukowych sam, poprzez uczonych i katolickie uniwersytety (by wymienić tylko wspaniały wydział fizyki uniwersytetu w Louvain), bierze w pracach tych udział i odpowiedzialność za ich rezultaty. Tragedia Galileusza wypierającego się przed trybunałem rzymskiej Inkwizycji wiekopomnych odkryć Kopernika i swoich własnych — należy do przeszłości.

Kończąc mą ryzykowną próbę oceny tej poważnej a zarazem interesującej książki, muszę jednak wtrącić kilka uwag krytycznych. Nie będą one oczywiście dotyczyć treści, ani nawet jej ujęcia, a co najwyżej sposobu pisania. Za często — moim zdaniem czytelnika-profana — odsyła nas autor do poprzednich rozdziałów czy nawet do swej dawniej wydanej książki. Wiem, że trudno było tego uniknąć. Wydaje mi się jednak, że lepiej czasem podstawowe sformułowania powtórzyć niż przerywać i tak wyteżoną ciągłość uwagi czytającego. Styl Felsztyna jest bardzo bezpośredni i przez to odpowiada na ogół charakterowi książki, choć można by zakwestionować celność niektórych wysłowień („...Rosja w tym kierunku nie zasypiała gruszek w popiele”).

Poważniejsze pretensje mam do wydawców książki. Jeżeli mianowicie wydaje się pracę, która ma być rodzajem encyklopedii w edycji o atomie, a więc książkę, do której ten, kto ją kupuje, będzie często zaglądał; jeżeli zaopatruje się ją w tak wielką ilość rysunków i fotografii (jest ich łącznie 88) — to wypadło już wydrukować ją na lepszym papierze. Tak samo czystości składu (nie korekta), zależna od stopnia zużycia matryc, pozostawia wiele do życzenia.

Książka Tadeusza Felsztyna kończy się aktualizującymi ją jeszcze bardziej załącznikami oraz bardzo starannie sporządzonym skorowidzem.



mach na Zachodzie, aby w przededniu uwolnienia swego kraju dowiedzieć się, że poza ich plecami dokonano w Jalcie nowego rczbioru Polski.

„Dodając obelgę do krzywdy — pisze dalej Majdalan — nasz pierwszy rząd socjalistyczny odmówił Polakom prawa udziału w paradzie zwycięstwa w 1946 r., gdyż ówczesni teoretycy Welfare State zdecydowali, iż armia polska stanowi potencjalną groźbę polityczną”. Dalej recenzent przypomina protest wniesiony w tej sprawie w Izbie Gmin przez Winstona Churchilla oraz list Harolda Macmillana do gen. Andersa, w którym obecny premier zapewniał polskiego wodza, iż w dniu, w którym będzie obchodzone zwycięstwo, „w sercach naszych obok słusznej dumy i radości odczuwać będziemy smutek a nawet wstyd”.

Majdalan uważa, że bez tego tła nie można oceniać filmu „Kanał”, którego realizatorzy ukazali jego bohaterów w tych straszliwych warunkach jako postacie bardzo ludzkie. Pisze on dalej: „Film jest bezkompromisowo okrutny, nie oszczędzono w nim widzowi ani jednego okropnego szczegółu. A jednak przez ten brud kanałowy i wszystkie okropności przeświadcza dumne przekonanie, że nawet w końcowych okresach rozpaczy duch ludzki jest ostatecznie niezniszczalny. Polacy dali potomności niezrównany przykład odwagi w obliczu straconej sprawy, a ten film straszący nas po nocach jest częścią testamentu wiary, która sprawiła, że byli do tego zdolni.”

## NASI KAPŁANI

(Dokończenie ze str. 19)

je drukarnią diecezjalną w Łucku, jest preфекtem gimnazjum i korespondentem prasy katolickiej. Po objęciu ogromnej kresowej parafii buduje w niej nowy kościół i dom parafialny, uczy religii w wielu szkołach i prowadzi organizacje katolickie.

Na wojnę rusza jako kapelan 45 pułku strzelców kresowych, dostaje się do niewoli niemieckiej i dzieli losy kapelanów polskich w obozach jenieckich i kacetach. W 1945, po uwolnieniu z Dachau, zostaje kapelanem tworzących się przy armii amerykańskiej polskich kompanii wartowniczych, potem zostaje mianowany przez władze kościelne polskie dziekanem a przez władze wojskowe amerykańskie po skończeniu w USA specjalnego kursu dla kapelanów — naczelnym kapelanem Oddziałów Wartowniczych.

Ks. kanonik Janusz jest jednym z najbardziej czynnych księży polskich na emigracji, gdyż obok swych obowiązków duszpasterskich prowadzi liczne polskie pielgrzymki w Niemczech i za granicę, bierze udział w kongresach międzynarodowych, wygłasza religijne pogadanki radiowe, zamieszcza artykuły w prasie Oddziałów Wartowniczych, jest znanym i cenionym kaznodzieją, inicjuje liczne pomoce charytatywne, szczególnie opiekuje się dziećmi polskimi w Niemczech.

Na osobną wzmiankę zasługuje akcja ks. kanonika Janusza wśród katolików niemieckich. Jego liczne kontakty z hierarchią i klerem niemieckim, wykłady i kazania wygłaszane po niemiecku, sprawiły, iż w kościołach, z którymi się styka, znacznie wzrosło zrozumienie roli polskich katolików w świecie i Polski w Kościele. Jubileusz kapłański ks. kanonika Janusza znalazł swe echo również na łamach katolickiej prasy niemieckiej.

## LISTY I UWAGI

### CYBERNETYKA I FILOZOFIA

Wdzięczny jestem inż. R. Syskiemu, że w swym liście do ZYCIA (nr 555) przytoczył całe zdanie, z którego w moim artykule „Dziesięć lat cybernetyki” (nr 554) podałem tylko pierwszą część. Widać bowiem wyraźnie, że opuszczona przeze mnie druga, umieszczona w liście w nawiasie, część tego zdania, choć wnosi dodatkową informację, nie zmienia w niczym sensu pierwszej jego części. Tym samym twierdzenie inż. Syskiego, jakoby „przekreślił sens” tego zdania, nie wydaje mi się słuszne. Z nawiasem bowiem, czy bez, sensem tego zdania jest, że cybernetyka rozstrzygnęła problem, „jak organizm może wykonywać celową czynność bez współdziałania teleologicznych układów przyczyn... na korzyść naukowego materializmu”.

Otóż, pomimo, iż inż. Syski powołuje się — i słusznie — na autorytet Wienera i Ashby'ego, nadal stanowczo twierdząc, że zdanie to jest całkowicie mylne.

Istota błędu jest natury epistemologicznej. Cybernetyka, jak każda nauka przyrodnicza, daje nam coraz głębszy wgląd w mechanizm przyrody, odkrywa nieznanne dotąd związki, wyodrębnia — jak to słusznie w swym liście pisze inż. Syski — elementy mechanistyczne, zawarte w procesach docelowych (oczywiście, jeśli cel ten został do danego układu wprowadzony przez konstruktora, co inż. Syski również potwierdza), jednym słowem powiększa naszą znajomość przyrody. Problemu jednak, czy taka lub też inna filozofia lepiej opisuje otaczającą nas rzeczywistość, cybernetyka, podobnie jak i żadna inna nauka przyrodnicza, „rozstrzygnąć” nie potrafi. Jest to bowiem problem filozoficzny, który roztrząsać należy metodami filozofii, a nie nauk przyrodniczych. Nie znaczy to oczywiście, aby wyniki nauk przyrodniczych były obojętne dla filozofii. Wprost przeciwnie, są one bardzo ważkim argumentem w sporach filozoficznych, ale jedynie materiałem, z którego czerpać powinien filozof. Nigdy jednak nie mogą sporów filozoficznych „rozstrzygnąć”.

Z tego samego względu nie mógłbym się zgodzić ze sformulowaniem inż. Syskiego, że „filozofia cybernetyki jest materialistyczna”. Nie ma bowiem „filozofii cybernetyki” (choć często się tak potocznie mówi — i ja również ten błąd popełniłem w moim artykule), podobnie jak nie ma „filozofii teorii względności”, „filozofii genetyki”, czy też „filozofii fizyki”, a są jedynie filozofujący cybernetycy, genetycy, fizycy (jak np. klasyczny pod tym względem przykład Jeansa).

Wspólnym błędem większości tych filozofujących przyrodników (co w wypadku

Jeansa druzgocąco wykazała Stebbing, a w sposób ogólny udowodnili liczni epistemologowie, zwłaszcza Maritain), jest, że usiłując zbudować system filozoficzny na przesłankach czysto przyrodniczych, przeważnie nie zdają sobie sprawy z tego, iż — aby to móc uczynić — muszą wprowadzić milcząco cały szereg przesłanek podstawowych natury filozoficznej, bez których żaden system filozoficzny nie jest możliwy. A że czynią to nieświadomie, przesłanki te są przeważnie mętne, nie sprecyzowane, zmienne i często sprzeczne ze sobą. I właśnie dlatego wszystkie systemy filozoficzne, budowane na przesłankach czysto przyrodniczych, rozspują się jak domki z kart, gdy dotknie je ostrze krytyki filozoficznej.

Toteż fakt, że filozofujący cybernetycy dochodzą do filozofii materialistycznej świadczy tylko o tym, że — choć są doskonałymi przyrodnikami — ich filozofia nie jest najwyższej klasy. Dawno już bowiem wykazano, że podstawowe filozoficzne przesłanki wszelkiego materializmu, bez względu na to, jaki mu przydamy przymiotnik (oczywiście rozróżniam materializm naukowy od materializmu dialektycznego), są wewnętrznie sprzeczne. Dopóki więc ktoś nie zdoła rozwiązać antynomii, tkwiącej w tych przesłankach, dopóty wszelka teoria materialistyczna musi być logicznie fałszywa. A dotąd nikomu się to nie udało.

Chciałbym również uspokoić inż. Syskiego, że bynajmniej się nie obawiam, aby cybernetyka, czy jakkolwiek inna nauka przyrodnicza, mogła zagrozić prawdom Wiary. Dawno już bowiem wykazała epistemologia (zwana obecnie coraz częściej „filozofią nauk ścisłych” — philosophy of science), że żadne teorie przyrodnicze nie mogą zaprzeczyć prawdom wiary, podobnie zresztą jak i nie mogą ich udowodnić. Co więcej, każde wyniki nauk przyrodniczych, jeśli tylko odrzucić często im niepotrzebnie towarzyszącą otulinę pseudofilozofii, przybliżają nas do Boga. Prawda cząstkowa bowiem przybliża nas do Prawdy Najwyższej, Boga samego.

Powyższe uwagi nie obniżają w niczym wartości pracy inż. Syskiego, ogłoszonej w Biuletynie S. T. P., o której już w moim artykule powiedziałem, że jest doskonała. Pracę tę przeczytałem z największym zainteresowaniem i uwagą, choć oczywiście nie zawsze zgadzam się ze wszystkimi twierdzeniami, a zwłaszcza definicjami autora. To przeciw czemu występuję, to uwaga filozoficzna, którą inż. Syski do tej pracy, jak sam pisze technicznie, wtrącił.

Skoro już mowa o uwadze, to — gdyby inż. Syski był uważniej przeczytał mój artykuł — byłby zapewne zauważył, że nie tylko nie „zarzucam — jak twierdzi — cybernetyce determinizmu” ale — na odwrót podkreślam, że wyniki cybernetyki dają doskonałą broń przeciw determinizmowi filozoficznemu (którego oczywiście nie należy mieszać z determinizmem przyrodniczym).

Byłby również zauważył, że na str. 29, szpalta 2 mego artykułu wyraźnie piszę o tym, że pewne działy cybernetyki powstały wcześniej, jeszcze w 1940 roku. Tak jednak bywa ze wszystkimi naukami. Bardzo wiele elementów teorii względności powstało dużo wcześniej przed Einsteinem (na podstawie czego niektórzy niechętni Einsteinowi autorzy usiłowali niedawno odebrać mu jej autorstwo), jednak jako datę powstania teorii względności przyjmuje się rok 1905, w którym po raz pierwszy Einstein opublikował swe tezy względności szczególnej. Również jako datę teorii Kopernika przyjmuję

F. A. ARCISZEWSKI

## CUD NAD WISŁĄ

(Rozważania żołnierza)

Stron 196. Oprawa. Barwna obwoluta.

Cena 15 szyl.

Na żądanie wysyła

Katolicki Ośrodek Wydawniczy

„Veritas”

12 Praed Mews, London, W. 2.

się rok 1543, datę opublikowania „De revolutionibus“, choć zasadnicze elementy jego teorii krążyły w opisach już od 1517 roku. Podobnie więc jako datę powstania cybernetyki należy przyjąć rok 1948, datę opublikowania książki Wienera, który pierwszy połączył poszczególne działy tej nauki w jedną zwartą i logiczną całość.

Na koniec mała uwaga natury semantycznej. Nazwy „nauka“ i „naukowy“ mają w języku polskim inny zakres pojęciowy, niż angielskie „science“ i „scientific“. Artykuły z zakresu nauk przyrodniczych, publikowane w ZYCIU, nie są — ze względu na charakter pisma — artykułami technicznymi („scientific“), a mają na celu podanie czytelnikom do wiadomości (w sposób nie techniczny) osiągnięć poszczególnych działów nauk przyrodniczych i ewentualne wyciągnięcie z nich wniosków natury filozoficznej i religijnej.

Tadeusz Felsztyn

## BANKRUKTWO KOLONIALIZMU

Odpowiadając na list p. Czesława Polechowicza z Północnej Rodezji pt. „Biali wyzyskiwacze“ (ZYCIE nr 5/554, str. 31-32), stwierdzam, że podtrzymuję każde słowo z tego, co napisałem w artykule „Bankructwo polityki kolonialnej“ (ZYCIE nr 2/551, str. 9-10). Bankructwo kilkuwiekowej polityki ekspansji europejskiej w świecie widać jest lepiej z Europy, niż może być widać z Rodezji, kraju, który jako teren wpływów europejskich ma za sobą niecałe 70 lat historii od czasów początku działalności Cecil Rhodesa (1889) i wojny plemienia Matabele (1893) i dlatego p. Polechowicz mi daruje, że jego argument przemawiania ze stanowiska znajomości „terenu“ pozwolę sobie odrzucić. Odwołując się, zamiast szczegółowej odpowiedzi, raz jeszcze do tego, co napisałem w wyżej wymienionym artykule, pozwolę sobie, dla lepszego uwypuklenia wypowiedzianych myśli, dorzucić co następuje.

1) P. Polechowicz miesza sprawę akcji misyjnej w świecie ze sprawą ekspansji kolonialnej. Ekspansja kolonialna czasem ułatwiała akcję misyjną, czasem ją utrudniała, a często była okolicznością z jej punktu widzenia obojętną. Ekspansja hiszpańska i portugalska w świecie z reguły torowała drogę akcji misyjnej. Ale dzieło misyjne św. Franciszka Ksawerego i jego następców w Japonii, nie związane z niczyją ekspansją kolonialną, zostało zburzone pod wpływem wydarzeń związanych z polityką kolonialną holenderską. W Centralnej Afryce ekspansja kolonialna stworzyła warunki prawne, polityczne, gospodarcze i komunikacyjne, które na ogół ułatwiły akcję misyjną, ale nawet i to nie jest bezwzględna reguła. Na przykład w Ugandzie, najbardziej katolickim ze wszystkich krajów Centralnej Afryki, ojczyźnie pierwszych beatyfikowanych Męczenników murzyńskich i pierwszego biskupa-ordynariusza Murzyńska, akcja misyjna katolicka poprzedziła europejską ekspansję polityczną i zaczęła się bez żadnego z nią związku, a nawet doznała potem z jej strony wielkich przeszkód. Ja krytykuję europejską politykę kolonialną i stwierdzam jej bankructwo, ale jest rzeczą śmieszną przypisywać mi krytykowanie akcji misyjnej.

2) Afryka jest najmłodszym terenem europejskiej ekspansji kolonialnej i mówiąc o dziejach i wynikach tej ekspansji najmniej mówię o Afryce. Istotne bankructwo tej ekspansji, to jest jej bankructwo w Azji, a mianowicie w Indiach, w Indonezji, w Indochi-

nach itd., oraz w krajach arabskich, do czego trzeba nadto dodać załamanie się wpływów europejskich w Chinach. Rządy holenderskie w Indonezji trwały blisko cztery wieki (od 1595 i 1602). Zapytuję: co Holandia w ciągu tych czterech wieków zrobiła, by zaszczerpieć w Indonezji wiarę chrześcijańską oraz cywilizację europejską pojętą szerzej niż ściśle materialistycznie? Nic, dosłownie nic. A tymczasem Hiszpania w ciągu tego samego czasu przekształciła bliźniaczo podobne Filipiny w kraj na wskroś katolicki i (używając terminologii Feliksa Konecznego) cywilizacyjnie łańciski. Także i w samej Indonezji, wyspa Flores, która była ongiś w zasięgu wpływów portugalskich, jest dziś krajem katolickim. Ale blisko czterysta lat rządów holenderskich nie wywarły na świat malański żadnego duchowego wpływu.

A czego dokonała Wielka Brytania w Indiach? Dokonała dużo materialnie i administracyjnie, pobudowała koleje, wprowadziła policję i sądy, udoskonaliła produkcję rolniczą i przemysłową. Ale duchowo?

3) Skoro już mowa o Afryce, nie zapominajmy, że dzieje ekspansji kolonialnej europejskiej w Centralnej Afryce nie mają jeszcze stu lat, ale dzieje te w Afryce Zachodniej mają ich blisko pięćset. Co Europa zrobiła dla nawrócenia i ucywilizowania Afryki Zachodniej? Nic, lub prawie nic. Uganda czy Kongo, choć tak niedawno odkryte i udostępnione, są dziś o wiele bardziej chrześcijańskie od Ghany, Nigerii, Liberii czy Sierra Leone, mimo że te ostatnie są objęte wpływem europejskim od wieków. Ghana jest usiana pięknymi starymi zamkami, zbudowanymi głównie w XVII wieku przez Anglików, Holendrów, Duńczyków, Szwedów. Ale rola tych zamków była jeszcze bardziej niegodziwa niż rola zamków krzyżackich w Prusiech. Służyły one jako wojskowe bazy handlu niewolnikami. Chrześcijańska Europa w ciągu z górą czterystu lat swego wpływu nie zaszczerpieła w Zachodniej Afryce chrześcijaństwa, natomiast popełniła wobec tej Zachodniej Afryki wołającą o pomstę do nieba zbrodnię: potraktowała ją jako miejsce obławy na niewolników, których potem wieziono w nieludzkich warunkach przez Ocean (gdzie duża ich część w drodze umierała) i sprzedawano na targach w Ameryce akurat tak, jak Turcy sprzedawali w Stambule nasz jasyr.

4) Byłoby doktrynerstwem zaprzeczać Europie prawa kolonizowania krajów pustych, lub prawie pustych. Także wprowadzanie siłą na czas przejściowy, choćby na okres kilku stuleci, ładu i sprawiedliwości tam, gdzie panują stosunki wyraźnie barbarzyńskie, da się uzasadnić szeregiem argumentów co najmniej zasługujących na dyskusję. Istnieją przejawy ekspansji europejskiej, które należy z grubsza ocenić dodatnio i istnieją inne, które należy ocenić ujemnie. Ekspansja hiszpańska i portugalska ma na swoim koncie wiele wielkich win i wielkich pomyłek, ale w sumie należy jej rezultat ocenić pozytywnie. Ameryka Łacińska jest dziś światem chorym. Przeżyła ona 150 lat rewolucji, podsyconej przez europejską masonerię i przez wpływy polityczne anglosaskie. Okazała także dużo braku równowagi wewnętrznej, konfliktów między indiańskimi tubylcami i murzyńskimi eks-niewolnikami a białymi, egoizmu białych kolonistów itd. Ale w sumie, Ameryka Łacińska (tak samo jak Filipiny) jest eksperymentem ekspansji europejskiej na ogół udanym. Należy ona, nie tylko w swoim białym odłamie ludnościowym, lecz

także w indiańskim i murzyńskim, do świata chrześcijańskiego. To samo dotyczy Ameryki i Australii anglosaskiej, choć tubylców tam mniej a konflikty rasowe nieskończenie ostrzejsze.

Miejmy nadzieję, że w ostatecznym wyniku także i ten kluczowy obszar, jakim jest Afryka, okaże się w znacznej części eksperymentem udanym.

Natomiast najważniejszy i największy obszar kolonialny, jakim jest Azja, jest eksperymentem zdecydowanie nieudanym.

5) Że Polacy wzięli jedynie tak skromny udział w akcji misyjnej w świecie — nad tym głęboko ubolewam razem z p. Polechowiczem. Ale że nie wzięliśmy udziału w akcji kolonialnej — możemy się z tego tylko cieszyć. Nie dla „podkreśniania węża“ z dumy. Po prostu: dobrze się złożyło.

Jedyny moment, kiedy w warunkach naszego położenia geograficznego i naszych losów historycznych mogliśmy być udziałem w ekspansji kolonialnej, to był wiek XVII, gdy działalność kolonialną w Afryce Zachodniej i na Antylach prowadzili nasi sąsiedzi Duńczycy, Szwedzi i Brandenburscy, a nawet nasz lennik, książę kurlandzki. Dzięki Bogu, żeśmy udziałem w tej działalności palców sobie nie powalali.

Polonus.

## TAKT — ZASADY — MIŁOŚĆ

Pan I. Dworzanski oburza się (ZYCIE nr 6) na to, że w felietonie „Delikatna kwestia“ (ZYCIE nr 3) pisałem o udzieleniu rady poszukania sobie innej narzeczonej młodemu, żarliwemu katolikowi, którego narzeczoną obstaje przy niekatolickiej postawie, dotyczącej zagadnienia posiadania potomstwa. Uważa on tę radę za niechrześcijańską, pozabawioną taktu, oraz sprzeciwiającą się idei apostołstwa.

Odpowiadam na to, że małżeństwo jest sprawą zbyt poważną i stanowiącą dostatecznie wielki cel samo w sobie, by można było je podporządkowywać innemu celowi, na przykład celowi apostołstwa. Kościół nie zaleca małżeństw z osobami innego wyznania, po to, by mieć pole do uprawiania wobec tych osób apostołstwa, ale przeciwnie, małżeństw takich stanowczo odradza i tylko w drodze wyjątku i zgola bez zapalu na nie czasem zezwala. To samo dotyczy osoby nominalnie mającej inną postawę moralną. Chodzi o utworzenie chrześcijańskiej rodziny, oraz o to, kto będzie matką i wychowawczynią naszych dzieci. Z owym apostołstwem bywa różnie: złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. Nie ma żadnej pewności, że ów katolik przerobi swoją narzeczoną; przeciwnie, musi się on liczyć z niebezpieczeństwem, że to ona go nagnie do swojej postawy. Przecież w takiej sprawie jak macierzyństwo główny głos należy do kobiety.

Patrzmy na rzeczy realnie: ten chłopak zakochał się, bo mu się dziewczyna spodobała, ale dziewczyna ta jest dla niego nieodpowiednią żoną. Jedyna roztropna rada, jakiej mu można udzielić, to jest rada, by się wycofał, póki czas, bo będzie uczynionego kroku żałował.

Oczywiście, to jest tylko rada. Każdy sam pobiera w takich sprawach decyzję, wedle własnego instynktu i własnych uczuć. Ale jeśli poszukuje rady, to trzeba mu dać taką, jaką dyktuje rozum, a nie sentymentalne frazesy.



Istnieją sytuacje, gdy rada taka jest bez wartości. Nie każdy ma swobodę wyboru (Polak na emigracji mało zna Polek, Starzejąca się panna nie ma wielu starających się). Nie każdy także jest zdolny podać swe uczucia sprawdzianowi zdrowego rozsądku. Ale sytuacje wyjątkowe nie podważają słuszności reguły. Nie ma nic niechrześcijańskiego w proklamowaniu zasady, że trzeba starać się szukać sobie żony (czy męża) wśród osób, z którymi łączy nas zarówno wspólność religii i narodowości, jak wspólność postawy moralnej. Muszę także odrzucić postawiony w związku z tym przez p. Dworzańskiego zarzut braku miłości bliźniego i pychy.

Kwestia taktu — to tylko kwestia sposobu wcielania zasad w życie. Takt — to umiejętność unikania takich posunięć, które przynoszą skutek odwrotny od zamierzonego. Nie każdemu człowiekowi i nie w każdych warunkach można udzielać rad. Także i w konkretnym, opisanym wypadku nie miałem możliwości udzielić rady w tak pełnej formie jak bym chciał, ograniczyłem się tylko do delikatnej aluzji.

Najczęściej, lepiej jest w cudze sprawy się nie wtrącać. Ale istnieją sytuacje, gdy mamy obowiązek rady udzielać (np. własnym dzieciom). Oraz także, gdy ludzie rady od nas chcą i oczekują. Trzeba być wtedy szczerym i prawdy w bawelnę nie owijając, bo rada miękka i oportunistyczna jest gorsza od braku rady: może być zrozumiana jako zła rada.

P. Dworzański pisze o niżej podpisanym: „znając tylko jedną osobę z tej pary, umieścił nieznaną sobie osobę w szufladce potępionych“. P. Dworzański się myli; niktogo w szufladce potępionych nie umieściłem, nie umieszczam i umieszczać nie zamierzam, bo nie mam do tego prawa. Wysłuchałem zwierzeń człowieka, którego dręczą wątpliwości i obawy i starałem się dać mu takie informacje i rady, na jakie mnie było stać. Narzeczony jego nie znam i nie mam prawa jej sądzić. Może będzie ona doskonałą żoną dla innego człowieka. Natomiast wiem, jak się jej postawa przedstawia oczom mojego rozmówcy i widzę, że dla niego odpowiednią żoną ona nie będzie. Jej wpływ na niego jest wpływem niedobrym i on sam sobie z tego zdaje sprawę. Należy się obawiać, że to się nie zmieni i w przyszłości.

Jest to w tego rodzaju sprawach sytuacja normalna: że się zna jedną stronę, a nie obie, i że się udziela rady subiektywnie dostosowanej do potrzeb i postawy tej jednej strony. Gdyby — w myśl poglądu p. Dworzańskiego — to było niedozwolone, nikt nie mógłby nikomu udzielać życiowych rad. Nawet spowiednik w konfesjonale.

Polonus

## BILANS, APEL I RZECZYWISTOŚĆ

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w szóstym numerze ŻYCIA artykuł redakcyjny „Półrocze“. Zawarty w nim został bilans eksperymentu, jakim jest wydawanie ŻYCIA jako miesięcznika (i w duchu nieco zreformowanym) oraz apel do czytelników i autorów o poparcie pisma i zwarcie szeregów.

Bilans, jak widać przedstawia się kiepsko. Pomimo podwyższenia poziomu i otworzeniu podwoi dla problematyki „młodych“, a nawet i dla ich artykułów i innych utworów, ilość czytelników zwiększyła się tylko nieznacznie i deficyt wciąż trwa. Słowem, wysiłek w znacznej mierze poszedł w próżnię.

Apel, jak się zdaje, ma na celu odwrócenie tej przykłej rzeczywistości. Nawołuje do propagowania pisma, zjednywania mu czytelników, wspierania piórem i monetą. Czyli — chodzi o ratowanie pisma takiego, jakim ono jest w tej chwili i jakie samo przez się nie potrafi się uratować.

Obawiam się, że i ten wysiłek trafi w próżnię, choć też zapewne niecały. Cisną się tu znane słowa poety: „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“. I — „nic skargi nie pomogą“. A przecież likwidacja ŻYCIA byłaby już nie tylko błędem. Byłaby karygodną katastrofą.

Może moje słowa wydadzą się niejednemu za twarde, może będą razić lapidarnością. Nic na to nie poradzę. Jak dotąd, moja opinia, wyrażona w liście do Redakcji w numerze czwartym ŻYCIA, zdaje się znajdować pełne potwierdzenie. Nie pomogą półroczki Pisma nie uratują ani apele, ani koncesje personalne i tematyczne. To co jest potrzebne i co niezawodnie pismo by nie tylko uratowało, ale i postawiło mocno na nogi, nie da się zamknąć w ramach starej formy. Młode wino rozerwie stare naczynia. Dlatego — trzeba dać nowe naczynie. Trzeba pismu nadać inną formę i zawrzeć w nim inną treść.

Tu nie chodzi tylko o artykuły dobre czy złe. Wiele z materiału który ukazuje się w ŻYCIU nadaje się doskonale. Chodzi o takie ułożenie i wykorzystanie artykułów, o takie artykuły redakcyjne, programowe i problemowe, które by, w sumie, dawały całość na miarę potrzeb. Chodzi o inne podejście do tematu, inny temperament pisarski, inny charakter czy styl w tym, co się nazywa pojęciem do czytelnika — a i do autora, skoro już o tym mowa. Pismo musi być dla czytelnika i dla Idei, a nie dla Redakcji i grona jej, choćby najzacniejszych przyjaciół. Cóż poradzić, opinie pokolenia starszego muszą się różnić od opinii pokolenia młodszego. Ani jedni ani drudzy nie powinni rościć pretensji do nieomyślności i starać się forsować swoich poglądów, przy jednoczesnym tłumieniu, łagodnym umiarkowanymi koncesjami, poglądów drugiej strony. Smak i kompetencje redaktorów dotychczasowych mogły być najlepsze. Cóż, kiedy zawiodły w stosunku do czytelnika... Moim zdaniem, zawiodły także w stosunku do napięcia, momentu historycznego. Stąd ich wszystkie klęski. Nikt nie zmusiłby się do czytania gazety pisanej stylem sprzed lat trzystu. Niewielu zmusi się do czytania pisma żyjącego nastrojami i pojęciami sprzed roku 1939, w dobie spięcia historycznego, jakie przeżywamy.

Dziesięcioletni czytelnik może nie rozumie zawsze dokładnie istoty i przyczyn rzeczywistości, w której żyje. Ale zawsze wyczuje dysonans powstały z przymierzania do tej rzeczywistości pojęć przestarzałych, niedostatecznych, a zwłaszcza, zawsze wyczuje letniość uczuciową autora. I nigdy jej nie daruje. Nigdy, bo czasy nie są letnie i nasza przeszłość dotychczasowa i te, co przyjdą, nie były i nie będą letnie.

Może to duży zarzut, ale twierdzę, że wbrew pozorom, w pokoleniu „starszych“ więcej można znaleźć bezideowości i letniości, niż wśród nawet najbardziej zbuntowanych „młodych“.

Są perły i są plewy wśród jednych i drugich. Proces „odsiewania“ już się zaczął i nic go nie powstrzyma. ŻYCIE mogłoby się stać jego ważnym instrumentem. Zamiast tego jednak, jak widzimy, zamiera.

Może to bardzo trudno zdobyć się na decyzje tak daleko idące. Myślę, że jeszcze by

się znalazło sporo kandydatów, którzy zgodziliby się redagować pismo z mniejszym jeszcze nakładem a większym deficytem — w stylu tym samym co obecnie. Dla osobistej satysfakcji, a nie dla czytelnika. Choć to absurdalne, bardzo to rzeczywiste. Ale, skoro już apelujemy, skoro nam zależy, spójrzmy rzeczywistości w oczy śmiało. Łudzenie się fikcjami nic nie pomoże.

Roman Jasińczyk

## ŁĄCZNOŚĆ I POMOC

...Na terenie Austrii nie ma możliwości zdobycia różnych adresów związków polskich. Przy okazji podzielę się niezbyt miłą wiadomością, a mianowicie wiele zrzeszeń polskich z różnych punktów świata, np. Chile, Wenezuela, Kanada hołduje zasadzie nieodpisywania na listy.

Nie należy się dziwić, że nowoprzybyli uchodzący lub ci z kilkumiesięcznym pobytym, starają się sami na własną rękę szukać kontaktów, aby jak najprędzej wyjechać z Austrii, jeśli nie znajdują pomocy.

Nie myślę o jałmużnie, bo ta forma pomocy tu istnieje; dać nędzarzowi datkę, łatwa rzecz, ale nikt nie zorganizował pomocy istotnej, która niosłaby możliwość normalnego, nie żebraczego życia, opartego na pracy a nie wałęsaniu się...

z. z., lek. wet.,  
(Wiedeń)

## O DOM STUDENTA

Na konferencji studenckiej o charakterze dyskusyjnym, w Fawley Court, nawiązała się dyskusja na temat domu studenckiego. Konferencja ubolewała nad faktem, że dom taki nie istnieje.

W ciągu ubiegłych lat było wiele prób stworzenia domu, jednak bez rezultatu. SPK ofiarowało pomoc w tej sprawie, ale ta pomoc nie doszła do skutku. W tej chwili sytuacja jest beznadziejna.

Studenci, jako grupa, nie mają żadnego lokalu. Nie mają gdzie urządzać odczytów, dyskusji lub innych rozrywek intelektualnych. W czasie konferencji trwających więcej niż jeden dzień, nie mają gdzie gościć delegatów spoza Londynu.

Niniejszym listem chcielibyśmy poinformować o opłakanym stanie rzeczy i apelować o zainteresowanie się tą sprawą.

K. E. Pawłowicz  
B. Watrasiewicz

30 Drayton Green, London, W. 13.

## KRYTYKA — PRAWEM DZIENNIKARZA

...Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy R. P. na zebraniu swym w dniu 13 czerwca br. powziął następującą uchwałę:

„Od pewnego czasu niektóre koła oddziałowe protestują przeciw artykułom red. Aleksandra Bregmana, których tematem była przedmowa gen. K. Sosnkowskiego do książki gen. S. Sosabowskiego pt. „Najkrótszą drogą“.

Ostatnio przyłączyło się do tej kampanii Koło Generałów i Pułkowników, b. wyższych dowódców podając w swym bardzo ogólnikowym liście określającą formę artykułów red. Bregmana „jako napastliwą“, a ton ich „jako wysoce niewłaściwy“.

Podstawowym prawem dziennikarza jest krytyka, każdej — nawet najbardziej zasłużonej — osoby, zajmującej stanowisko publicznej, co nakłada nań równocześnie obowiązek poruszania i komentowania spraw

Rud

interesujących opinie ogółu. Obowiązkiem organizacji dziennikarskiej jest obrona praw swych członków.

W związku z tym, nie wchodząc w meritum sprawy, Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy R. P. oświadcza, że uważa reakcję Koła Generałów i Pułkowników na artykuły kol. A. Bregmana za ubolewania godną próbę ograniczenia swobody publicznego wypowiedzania się i krytyki“...

B. O. Jeżewski

Dr W. Wasutyński

### SŁOWNIK BIOGRAFICZNY POLAKÓW W ŚWIECIE

Historycy, badający dzieje poszczególnych okresów życia narodu, natrafiają na największe trudności przy ustalaniu życiorysów osób, działających na arenie publicznej. O ile bowiem do wypadków historycznych istnieją dokumenty archiwalne, o tyle szczegóły, dotyczące ludzi, którzy odgrywali w nich rolę, tak są rozproszone i niekompletne, że

często nie można odtworzyć pełnego obrazu udziału ich w tych wypadkach. Rozumieją to różne narody i gromadzą życiorysy współczesnych działaczy i twórców, wydając te materiały w obszernych słownikach biograficznych, które są podstawą do dalszych opracowań historycznych.

Ponieważ poza Krajem jest czynnych obecnie wielu polskich uczonych, polityków, wojskowych, publicystów, dziennikarzy, artystów, architektów, inżynierów, lekarzy, wydawców, pracowników na polu społecznym etc., którzy nie są zgrupowani w żadnych wydawnictwach, by mogły one działalność ich przekazać dalszym pokoleniom — przeto Księgarnia Polska w Paryżu przystąpiła do opracowania współczesnego „Słownika Biograficznego Polaków w Świecie“ i zwraca się niniejszym do wszystkich zainteresowanych z prośbą o nadsyłanie autobiografii swoich w terminie do dnia 1 września 1958 r. pod adresem: Księgarnia Polska w Paryżu, 123, Bld. St. Germain, Paris VIe.

Mamy nadzieję, że ze względu na wielką wagę tych materiałów dla nauki polskiej, prośba nasza spełniona będzie przez wszystkich powołanych.

Za redakcją „Słownika Biograficznego“

Dr Stanisław Lam

**APTEKA  
JEST JEDYNĄ PLACÓWKĄ  
KTÓRA MA PRAWO  
PRZYGOTOWYWAĆ I WYDAWAĆ  
LEKI NA RECEPTY**

**JEŚLI LEKI  
TO Z APTEKI**

ADRES APTEKI GRABOWSKIEGO:

**M. B. GRABOWSKI**

175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.

### ZNACZKI DO ZBIORÓW

wysyłam

Książeczki z wyborami z całego świata, lub ograniczone do poszczególnych zainteresowań —

na

**ALFRED BEDNARKI**

zyczenie

Delamere Park,  
Northwich, Cheshire.

LEKI DO POLSKI  
**HASKOBA LTD.**

121, Earl Court Road, London, S. W. 5.  
Cenniki (400 pozycji) paczek  
NA ŻĄDANIE.



Kaide  
**£ 100.** daje  
rocznie **£ 4.0.0**  
lub **£ 4.5.0**

**OSZCZĘDZAJ  
NA  
WŁASNY  
DOM**

Lokuj swoje oszczędności bezpiecznie na dobry procent — wolny od podatku.  
4% lub 4 1/4 rocznie

POMÓZ SOBIE I INNYM RODAKOM  
W NABYCIU WŁASNEGO DOMU.

Żądajcie informacji; można pisać po polsku.

### GUARDIAN BUILDING SOCIETY

2 Southampton Row, LONDON, W. C. 1.

Członek Związku Building Society korzysta z usług bankowych NATIONAL BANK LTD.  
1/3 New Oxford Street, London, W. C. 1.

Lokaty gwarantuje

**98 LAT ISTNIENIA. £ 7.000.000 MAJĄTKU.**  
zwrot lokat na żądanie (w parę dni).



### POLSKA — W. BRYTANIA — POLSKA

Bilety kolejowe (również sypialne), lotnicze, morskie

ORAZ

ZASWIADCZENIA POKRYCIA DEWIZOWEGO

dla otrzymania paszportu w Polsce

wystawia

na terenie Wielkiej Brytanii

**POLSKIE BIURO PODRÓŻY**

# FREGATA

(Oddział spraw krajowych)

122 WARDOUR ST., LONDON, W.1. Tel. GER 2522

TRANSPORT RODZIN Z POLSKI DO:

**USA, KANADY, AUSTRALII, PŁD. AFRYKI**